



Clélie Avit

Wiem,
że tu
jesteś

Książka uhonorowana
Prix Nouveau Talent 2015!

Clélie Avit
Wiem,
że tu
jesteś

Z języka francuskiego przełożyła
Joanna Kluza



WYDAWNICTWO
SONIA DRAGA

Tytuł oryginału: JE SUIS LA

Copyright © 2015 by Editions Jean-Claude Lattès

Copyright © 2016 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga
Copyright © 2016 for the Polish translation by Wydawnictwo Sonia Draga

Projekt graficzny okładki: Mariusz Banachowicz

Redakcja: Marcin Grabski i Olga Rutkowska
Korekta: Iwona Wyrwisz, Magdalena Bargłowska, Aleksandra Mól

ISBN: 978-83-7999-647-6

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione i wiąże się z sankcjami karnymi.

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!
Polska Izba Książki

Więcej o prawie autorskim na www.legalnakultura.pl

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o.o.
Pl. Grunwaldzki 8-10, 40-127 Katowice
tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28
e-mail: info@soniadraga.pl
www.soniadraga.pl
www.facebook.com/wydawnictwoSoniaDraga

E-wydanie 2016

Skład wersji elektronicznej:

virtualo
konwersja.virtualo.pl

Spis treści

- 1.
- 2.
- 3.
- 4.
- 5.
- 6.
- 7.
- 8.
- 9.
- 10.
- 11.
- 12.
- 13.
- 14.
- 15.
- 16.
- 17.
- 18.
- 19.
- 20.
- 21.
- 22.

23.

24.

25.

26.

1.

ELSA

Zimno mi. Jestem głodna. Boję się.

Przynajmniej tak mi się wydaje.

Jestem w śpiączce od dwudziestu tygodni i wyobrażam sobie, że muszę odczuwać zimno, głód i strach. To zupełnie bez sensu, ponieważ jeśli ktoś tutaj ma wiedzieć, co czuję, tym kimś powinnam być przecież ja, ale w tej sytuacji... Mogę sobie tylko wyobrażać.

Wiem, że jestem w śpiączce, ponieważ słyszałam, jak o tym rozmawiali. Niewyraźnie. Musiało minąć sześć tygodni, odkąd „usłyszałam” po raz pierwszy. O ile dobrze policzyłam.

Liczę tak, jak potrafię. Przestałam liczyć odwiedziny lekarza. Już prawie w ogóle nie zagląda. Wolę zliczać wizyty pielęgniarek, chociaż są dość nieregularne. Najprościej jest liczyć odwiedziny salowej. Wchodzi do mojej sali codziennie około pierwszej w nocy. Wiem, ponieważ słyszę wtedy dzingiel w odbiorniku radiowym zawieszonym na jej wózku. A słyszałam go czterdzieści dwa razy.

Sześć tygodni, odkąd się obudziłam.

Sześć tygodni, odkąd nikt nie zdaje sobie z tego sprawy.

Przecież nie będą mnie trzymać w tomografie przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Skoro stojący obok mnie pulsoksymetr, który regularnie wydaje z siebie dźwięk „bip!”, nie chciał pokazać, że mój mózg znów jest w stanie uruchomić część odpowiedzialną za słyszenie, nie zaryzykują, żeby ponownie wsunąć mi głowę do pudła wartego osiemset tysięcy euro.

Wszyscy uważają, że już po mnie.

Nawet rodzice zaczynają odpuszczać. Matka rzadziej mnie odwiedza. Ojciec najchętniej przestałby przychodzić po dziesięciu dniach. Jedyne moja młodsza siostra zjawia się regularnie co środę, czasem w towarzystwie aktualnego chłopaka.

Moja siostra zachowuje się jak nastolatka. Ma dwadzieścia pięć lat i niemal co tydzień zmienia faceta. Chętnie natarłabym jej uszu, ale skoro

nie mogę, słucham, jak do mnie mówi.

Jest coś, co lekarze potrafią powiedzieć, mianowicie: „Proszę do niej mówić”. Za każdym razem, gdy słyszę to z ust któregoś z nich (rzecz jasna, zdarza się to sporadycznie, ponieważ zjawiają się coraz rzadziej), mam ochotę wepchnąć mu do gardła zielony fartuch. Właściwie do końca nie wiem, czy jest zielony, ale tak go sobie wyobrażam.

Wyobrażam sobie wiele rzeczy.

Prawdę mówiąc, nie mam nic więcej do roboty. Ponieważ męczy mnie ciągle słuchanie opowieści mojej siostry o jej sercowych kłopotach.

Moja siostra wali prosto z mostu, ale trochę się powtarza. Początek, środek i koniec zawsze są takie same. Zmienia się wyłącznie twarz kochasia. Każdy z nich jest studentem. Każdy z nich jest motocyklistą. Każdy z nich jest w pewien sposób podejrzany, tylko ona nie zdaje sobie z tego sprawy. Nigdy jej nie powiedziałam. Jeśli kiedyś wyjdę ze śpiączki, będę musiała to zrobić. Mogłabym jej tym wyświadczyć przysługę.

Odwiedziny mojej siostry mają jednak swoje dobre strony. Kiedy opisuje mi, co jest wokół mnie. Zajmuje jej to nie więcej niż pięć minut. Pierwszych pięć minut po wejściu do mojej sali. Mówi o kolorze ścian, o pogodzie za oknem, o spódnicy, jaką pielęgniarka nosi pod fartuchem, i o naburmuszonej minie sanitariusza, którego minęła po drodze. Moja młodsza siostra studiuje na Akademii Sztuk Pięknych. Gdy więc opisuje mi to wszystko, odnoszę wrażenie, że czytam poemat w obrazach. Trwa to jednak zaledwie pięć minut. Później jest bita godzina romansu jak z Harlequina.

Dziś jest chyba szary i ponury dzień, przez co mleczone ściany mojej sali wydają się jeszcze okropniejsze niż zwykle. Pielęgniarka dla urozmaicenia nosi beżową spódnice. Obecny facet mojej siostry ma na imię Adrien. Wyłączyłam się po słowie „Adrien”. Wróciłam, kiedy drzwi się zamknęły.

Znów jestem sama.

Jestem sama od dwudziestu tygodni, ale dopiero od sześciu zdaję sobie z tego sprawę. Mimo to mam wrażenie, że minęła cała wieczność. Pewnie czas płynąłby szybciej, gdybym częściej spała. To znaczy – gdyby mój umysł się wyłączał. Tylko że ja nie lubię spać.

Nie wiem, czy mam jakikolwiek wpływ na własne ciało. Jestem raczej „włączona” albo „w stanie wstrzymania”, jak urządzenie elektryczne. Mój umysł robi, co chce. Jestem lokatorką we własnym ciele. I nie lubię spać.

Nie lubię spać, ponieważ kiedy śpię, nie jestem już nawet lokatorką, tylko widzem. Oglądam wszystkie te przewijające się przede mną obrazy i nie mam żadnego sposobu, żeby je szybko odegnąć, budząc się, rzucając się albo się pocąc. Mogę jedynie patrzeć, jak się przewijają, i czekać na koniec.

Co noc jest to samo. Co noc ten sam sen. Co noc przeżywam na nowo zdarzenie, które przywiodło mnie tutaj, do tego szpitala. Najgorsze zaś w tej historii jest to, że sama się doprowadziłam do takiego stanu. Nie zawinił nikt inny, tylko ja. Ja i moja idiotyczna namiętność do lodowców, jak mawiał ojciec. To zresztą dlatego przestał mnie odwiedzać. Pewnie myśli, że sama się o to prosiłam. Nigdy nie rozumiał, dlaczego tak kocham góry. Często powtarzał, że stracę tam życie. Z pewnością jest przekonany, że dzięki mojemu wypadkowi wygrał bitwę. Mnie się nie wydaje, że przegrałam, choć nie mogę przyznać, że wygrałam. W ogóle nic mi się nie wydaje. Chcę tylko wybudzić się ze śpiączki.

Chcę naprawdę odczuwać zimno, głód i strach.

To niesamowite, ile można wyczytać z ludzkiego ciała, kiedy człowiek znajduje się w śpiączce. Można się rzeczywiście przekonać, że strach jest reakcją chemiczną. Mogłabym przecież być przerażona, przeżywając co noc na nowo swój koszmar, ale tak nie jest – ja się przyglądam. Przyglądam się sobie, jak wstaję o trzeciej nad ranem w sypialni w schronisku i budzę moich kolegów z wyprawy. Przyglądam się sobie, jak niezdarnie jem śniadanie, jak zwykle niepewna, czy powinnam wypić herbatę, czy lepiej unikać pełnego pęcherza na lodowcu. Przyglądam się sobie, jak metodycznie wkładam każdą warstwę ubrania od stóp aż po czubek głowy. Przyglądam się sobie, jak zapinam wiatrówkę, wsuwam rękawiczki, ustawiam latarkę czołową i mocuję raki. Przyglądam się sobie, jak śmieję się razem z przyjaciółmi, którzy również nie zdążyli się jeszcze całkiem rozbudzić, ale są przepelnieni radością i adrenaliną. Przyglądam się sobie, jak zapinam uprząż, rzucam linę Steve’owi, wiążę ósemkę.

Tę cholerną ósemkę.

Węzeł, który wiązałam niezliczoną ilość razy.

Tamtego poranka nie dałam go Steve’owi do sprawdzenia, ponieważ właśnie opowiadał dowcip.

Węzeł sprawiał przecież wrażenie dobrze zawiązanego.

Nie mogę się jednak ostrzec. Przyglądam się więc sobie, jak zwijam nadmiar liny w dłoni, chwytam czekan w drugą rękę i ruszam w drogę.

Przyglądam się sobie, jak dyszę, uśmiecham się, drzę, idę, idę, idę i jeszcze raz idę. Przyglądam się sobie, jak podążam miarowym krokiem. Przyglądam się sobie, jak mówię do Steve'a, żeby uważał na most śnieżny na szczelinie lodowcowej powyżej. Przyglądam się sobie, jak zaciskam zęby, przechodząc przez wrażliwe miejsce, i oddycham z ulgą po drugiej stronie. Przyglądam się sobie, jak dowcipkuję na temat prostoty tej czynności.

I przyglądam się temu, jak nogi uginają się pode mną.

Resztę znam na pamięć. Most śnieżny okazał się olbrzymią taflą. Tylko ja zostałam na wierzchu. Śnieg osuwa się pode mną, ja zaś spadam wraz z nim. Czuję szarpnięcie napiętej liny, która łączy Steve'a i mnie niczym bliźnięta związane pępowiną. Czuję, jak najpierw ogarnia mnie ulga, następnie strach, gdy lina wydłuża się o kilka centymetrów. Słyszę głos Steve'a, który wczepia się w lód rakami i czekanami. Dobiegają do mnie niewyraźne polecenia, śnieg jednak ciągle mnie przysypuje, przydusza moje ciało. Napięta wokół pasa lina Stopniowo się rozluźnia, węzeł puszcza i lecę w dół.

Nie odjeżdżam zbyt daleko. Może dwieście metrów. Śnieg przykrywa mnie ze wszystkich stron. Potwornie boli mnie prawa noga, ręce w nadgarstkach zdają się zaś wygięte pod dziwnym kątem.

Mam wrażenie, że usnęłam na kilka sekund, po czym budzę się czujniejsza niż kiedykolwiek. Serce wali mi jak oszalałe. Wpadam w panikę. Usiłuję się uspokoić, ale to bardzo trudne. Nie mogę poruszyć żadną częścią ciała. Zbyt mocno mnie przygniotło.

Ledwie oddycham, nawet przy tych kilku centymetrach kwadratowych pustki przede mną. Rozchylam nieco usta i z trudem znajduję siłę, żeby zakasłać. Ślina spada mi na prawy policzek. Zapewne leżę na boku. Zamykam oczy i próbuję sobie wyobrazić, że jestem w łóżku. To akurat niemożliwe.

Słyszę nad sobą kroki. Słyszę głos Steve'a. Mam ochotę krzyczeć. Powiedzieć mu, że jestem tutaj, dokładnie pod jego stopami. Słyszę również inne głosy, z pewnością należące do alpinistów, których wyprzedziliśmy wcześniej. Chciałabym dmuchnąć w gwizdek, ale w tym celu musiałabym móc poruszyć głową, tylko że to nie jest możliwe. Wobec tego czekam z lodowaciała, skamieniała. Stopniowo odgłosy cichną. Nie

wiem, czy dlatego, że się oddalają, czy dlatego, że zasypiam, ale wszystko zalewa ciemność.

Później zaś jedyną rzeczą, jaką pamiętam, jest głos lekarza mówiącego do matki, że skoro przeniesiono mnie do innej sali, trzeba jeszcze wypełnić dokumenty, ponieważ „sama pani rozumie, po czternastu tygodniach zespół lekarski już niewiele może zrobić”.

Następnie dotarło do mnie, że mogę jedynie słyszeć. Mój umysł nastawił się na płacz, najwyraźniej jednak mi się nie udało. Nie poczułam nawet smutku. Nadal go nie czuję. Jestem pustym kokonem. Nie. Mieszkam w pustym kokonie.

Poczwarka mieszkająca jako lokatorka w wynajętym kokonie – to być może ładniej brzmi. Bardzo bym chciała z niego wyjść, żeby powiedzieć, że jestem również właścicielką.

2.

THIBAULT

– Mówię ci, daj mi spokój!

– Nigdzie nie pójdziesz, dopóki go nie odwiedzisz.

– Zostaw mnie! Próbowałem już piętnaście razy, ale to niczego nie zmienia. On jest wstrętny, ohydny, wulgarny i ordynarny. Zupełnie jak zła kreskówka. To mnie nie interesuje.

– To twój brat, do cholery!

– To był mój brat, zanim wjechał w tamte dwie dziewczynki. Przynajmniej nie uszło mu to na sucho. Pewnie byłoby lepiej, gdyby zdechł, tak jak one, ale ogólnie dostał niezłą nauczkę.

– Kurwa, Thibault, posłuchaj, co ty mówisz! Wcale tak nie myślisz.

Sztywnieję. Powtarzam wszystkim te słowa od miesiąca, mój kuzyn nadal jednak uważa, że mówię to wyłącznie ze strachu. Ja już przestałem się bać. Bałem się na początku, kiedy zadzwonili ze szpitala, kiedy matka upadła na kuchenną posadzkę i kiedy pędziliśmy starym peugeotem 206 mojego kuzyna, przekraczając dozwoloną prędkość. Bałem się, dopóki nie ujrzałem policjanta w drzwiach szpitalnej sali brata. Od tamtej chwili jestem po prostu wściekły.

– Owszem, myślę dokładnie to, co mówię.

Wypowiedziałem ostatnie zdanie lodowatym tonem. Najwyraźniej kuzyn się tego nie spodziewał. On także przystanął w korytarzu. Wiem, że matka już jest w sali numer pięćdziesiąt pięć.

Mija nas kilka niewzruszonych pielęgniarek. Rzucam spojrzenie kuzynowi. Jest skamieniały ze wstydu.

– Przestań się nakręcać i odwal się ode mnie. Wymyśl coś i powiedz to matce. Spotkamy się przy wyjściu.

Odwracam się, naciskam klamkę drzwi po prawej stronie, prowadzących na schody, i zatrzaszukuję je za sobą. Nikt nigdy nie używa szpitalnych schodów, zamykam więc oczy, opieram się o ścianę, po czym powoli osuwam się na posadzkę.

Czuję przez dzinsy dotyk zimnego woskowanego betonu, w ogóle się tym jednak nie przejmuję. Po jeździe nieogrzanym samochodem i tak mam już zlodowaciałe stopy, a moje dłonie pewnie są sine. Nie próbuję sobie nawet wyobrazić, jaki będą miały kolor zimą, jeśli ciągle będę zapominał włożyć rękawiczki. Nadal mamy jesień, przynajmniej oficjalnie, ale w powietrzu już czuć zimą. Mnie zaś za każdym razem, gdy przekraczam próg szpitala, po prostu złość podchodzi aż do gardła. Chciałbym wyrzygać brata, wyrzygać wypadek, który spowodował, i wyrzygać alkohol, który mu wywietrzał na drugi dzień po tym, jak rozjechał te dwie dziewczynki. Tylko że moje gardło poprzestaje na kurczowym zaciskaniu się i nic przez nie nie wychodzi. Genialne. Wyrzyguję powietrze.

W nozdrza wciska mi się szpitalny odór. To ciekawe. Na ogół na schodach mniej śmierdzi. Otwieram oczy, żeby sprawdzić, czy któryś z lekarzy czegoś nie upuścił, i klnę pod nosem.

Coś mi się porąbało – jestem w sali. Musiałem pomylić symbol wyjścia ewakuacyjnego z jakąś tabliczką na drzwiach. Lepiej, żebym sobie poszedł, zanim osoba na łóżku się obudzi.

Z miejsca, w którym stoję, widzę tylko stopy. To znaczy, widzę różowe prześcieradło, które je przykrywa. Rzeczywiście w powietrzu unosi się chemiczny odór szpitala, ale moją uwagę przykuwa coś innego. Dodatkowy zapach, coś, co nie ma nic wspólnego z lekarstwami i ciągłym odkażaniem. Zamykam oczy, żeby się skupić.

Jaśmin. Pachnie jaśminem. Zapach nie należy do pospolitych. Jestem jednak tego pewien – pachnie tak samo jak herbata, którą matka pije codziennie rano.

Dziwne... skrzypiące drzwi nie obudziły tej osoby. Pewnie nadal śpi. Nie potrafię stwierdzić, czy to mężczyzna, czy kobieta, ale już po samym zapachu stawiam na kobietę. Nie znam faceta, który skrapiałby się jaśminem.

Zbliżam się powoli, przyczajony jak dzieciak za ścianą małej łazienki. Zapach jaśminu się nasila, wystawiam głowę.

Kobieta. W gruncie rzeczy nie ma w tym nic dziwnego, chociaż wydawało mi się, że potrzebuję potwierdzenia. Śpi. Świetnie. Będę mógł wyjść niepostrzeżenie.

Wycofując się, widzę własne odbicie w małym lustrze wiszącym na ścianie. Mam błędny wzrok i zmierzwiłone włosy. Matka zawsze powtarza,

że mógłbym być bardziej elegancki, gdybym zadał sobie trud i je uczesał. Ja zaś zawsze mówię, że nie mam czasu. Na co ona zawsze odpowiada, że gdybym przyglądał swoją ciemną czuprynę, wówczas bardziej podobałbym się kobietom. W tego rodzaju sytuacjach powstrzymuję się od wyjaśnienia, że mam coś lepszego do roboty niż podrywanie dziewczyn, ale ona i tak na ogół odpuszcza sobie dalszą dyskusję.

Od czasu rozstania z Cindy rok temu pochłania mnie praca. Trzeba przyznać, że sześć lat wspólnego życia odciska piętno na osobowości człowieka. Jej odejście zważyło mnie z nóg i wciąż nie mogę się pozbierać. Fryzura jest więc ostatnią rzeczą, która mnie obchodzi.

Poza tym jestem nieogolony. Ścisłej – mam dwudniowy zarost. Wcale tak źle to nie wygląda, choć matka znów powiedziała, że mógłbym się bardziej postarać. Z moich słów można by wywnioskować, że mieszkam u niej. Nic z tych rzeczy, mam własne mieszkanie – dwa pokoiki na trzecim piętrze bez windy. Bardzo sympatyczne gniazdko, przede wszystkim w przystępnej cenie. Po prostu matka od miesiąca żyje w ciągłych nerwach, dlatego dość często koczuję w jej salonie. Kiedy ojciec ją zostawił, ona także się przeprowadziła, nie ma więc pokoju gościnnego. W każdym razie to ja kupiłem kanapę. Miałem przecucie, że kiedyś mi się przyda. Było to dwa dni przed odejściem Cindy.

Pocieram energicznie policzki, dzięki czemu rozgrzeją mi się palce. Wydobywam spod swetra kołnierz koszuli i ciągnę, żeby nadać mu jako taki wygląd. Nie potrafię uwierzyć, że siedziałem w tym stroju w pracy przez cały dzień i nikt mi nic nie powiedział. Pewnie zrozumieli, że jest środa i że to dzień odwiedzin. Pewnie widzieli mój wzrok i zamknęli gęby. Z grzeczności. Z obojętności. Albo dlatego, że czekają tylko na jedno – że zostanę zwolniony, wtedy zaś zajmą moje miejsce.

Rzecz jasna, kiedy obraziłem Cindy na korytarzu, wrzeszcząc, że sypia z szefem, usłyszałem kilka uwag, później jednak ona przeszła do innej filii, ja zaś jestem jednym z ich najlepszych pracowników, więc nie chcą mnie stracić.

Z lustra spoglądają na mnie szare oczy. W porównaniu z czarnymi włosami wydają się bez wyrazu. Kładę dłoń na głowie, jakbym usiłował spełnić życzenie matki, i po chwili przerywam ten gest. Po co? Nikogo nie szukam.

Słyszę odgłos uderzania kropli o szyby i kieruję wzrok w stronę okna. Cholera! Zaczęło padać. A ja nie mam ochoty marznąć na zewnątrz,

czekając na matkę i kuzyna. Rozglądam się dokoła. Właściwie w sali jest dość ciepło. Osoba nadal śpi, zważywszy zaś na idealnie czyste meble, najwyraźniej nieczęsto ją ktoś odwiedza. Zastanawiam się przez chwilę nad słusnością całej sprawy.

Jeśli osoba się obudzi, zawsze mogę bąknąć, że niby właśnie wszedłem i pomyliłem drzwi. Jeżeli przyjdzie ktoś w odwiedzin, mogę wyjaśnić, że jestem starym przyjacielem, i się ulotnić. Może powinienem tylko przedtem poznać jej imię.

Na karcie przy łóżku napisano:

Elsa Bilier, dwadzieścia dziewięć lat, uraz czaszki, poważne obrażenia nadgarstków i prawego kolana. Liczne stłuczenia, zrastające się złamanie kości strzałkowej.

Lista ciągnie się w ten sposób aż do jednego z najokropniejszych słów, jakie kiedykolwiek słyszano na tej planecie.

Śpiączka.

Rzeczywiście nie było ryzyka, że ją obudzę. Opuszczam kartę i patrzę na kobietę. Dwadzieścia dziewięć lat. W tej pozycji, przy tylu wlewach i przewodach biegnących we wszystkie strony, wygląda raczej jak czterdziestoletnia mamuśka złapana w pajęczą sieć. Podchodząc jednak trochę bliżej, oddaję jej tych dwadzieścia dziewięć wiosen. Delikatna, ładna twarz, kasztanowe włosy, kilka piegów rozspanych tu i ówdzie, pieprzyk obok prawego ucha. Jedynie chudość ramion wystających spod pościeli i zapadnięte policzki mogłyby mnie skłonić do zmiany zdania.

Ponownie spoglądam na kartę i brak mi tchu.

Data wypadku: 10 lipca.

Jest w tym stanie od pięciu miesięcy. Powinienem odłożyć kartę, ale zżera mnie ciekawość.

Przyczyna wypadku: lawina podczas wspinaczki.

Wariaci są wszędzie. Nigdy nie mogłem pojąć, dlaczego ludzie pchają się na lodowce – te zamrożone cholerstwa pełne dziur i szczelin, w których człowiek może umrzeć, jak tylko zrobi krok. Pewnie teraz potwornie tego żałuje. Właściwie tak się tylko mówi. Na bank nie zdaje sobie sprawy z tego, co się z nią dzieje. Przecież na tym polega śpiączka. Człowiek jest gdzie indziej i nikt nie wie gdzie.

Nagle czuję odrażające pragnienie, żeby zamienić miejscami mojego brata i tę kobietę. Ona sama się w to wpakowała. Nikomu nie wyrządziła krzywdy, tak mi się przynajmniej wydaje. Z kolei mój brat za dużo wypił,

mimo to usiadł za kierownicą. Zabił dwie czternastoletnie dziewczynki. To on powinien leżeć w śpiączce. Nie ona.

Spoglądam po raz ostatni na kartę i odkładam ją na miejsce.

Elsa. Dwadzieścia dziewięć lat. Urodzona dwudziestego siódmego listopada.

O kurwa! Dziś są jej urodziny.

Nie wiem, dlaczego to robię, ale chwytam przyczepiony do karty ołówek z gumką i wycieram liczbę dwadzieścia dziewięć. Pozostaje brudna smuga, ale to mało istotne.

– Moja ślicznotko, kończysz dzisiaj trzydzieści lat – szepczę, wpisując nową liczbę, i odkładam kartę.

Znów na nią patrzę. Jest coś, co nie daje mi spokoju, i po chwili rozumiem, co to takiego. Całe to ustrojstwo, do którego jest podłączona, ją oszpeca. Gdybym wszystko odłączył, wówczas – przy zapachu, jaki unosi się w sali – wyglądałaby prawie jak kwiat jaśminu. W tej chwili toczy się spór między „odłączamy” a „nie odłączamy”. Do tej pory nie miałem zdania. Teraz chciałbym wszystko odłączyć tylko po to, żeby przywrócić jej naturalny wygląd.

– Jazda! Skoro jesteś taka ładna, zasługujesz na buziaka na urodziny.

Moje słowa zaskakują mnie samego, ale i tak już starannie przemieszczam kilka rurek, które blokują dostęp do jej policzka. Z tak małej odległości zapach jaśminu można wyraźnie odróżnić. Dotykam wargami jej gorącego policzka i czuję, jakby przeszył mnie prąd.

Od roku nie pocałowałem żadnej kobiety, najwyżej cmoknąłem jakąś koleżankę z pracy. Chociaż w tym, co właśnie zrobiłem, nie ma nic zmysłowego ani seksualnego, ale – do diabła! – skradłem kobiecie pocałunek w policzek. Uśmiecham się na tę myśl i się odsuwam.

– Masz szczęście, na zewnątrz pada. Dotrzymam ci przez chwilę towarzystwa, kwiecie jaśminu.

Przyciągam sobie krzesło i siadam. Nie mijają chyba nawet dwie minuty, kiedy zasypiam.

3.

ELSA

Bardzo chciałabym coś poczuć, ale jest tylko pustka. W ogóle nic. Zupełnie nic nie czuję.

Jeśli mnie słuch nie myli, ktoś wszedł do mojej sali dziesięć minut temu. Mężczyzna. Daję mu jakieś trzydzieści lat. Sądząc po głosie, niepałący. To wszystko, co mogę o nim powiedzieć.

I mogę mu jedynie uwierzyć na słowo, gdy mówi, że pocałował mnie w policzek.

Czego się spodziewałam? Że odegram Królową Śnieżkę? Zjawia się książę z bajki, całuje mnie i... hop! „Dzień dobry, Elso! Na imię mi X, bla, bla, bla. Obudziłem cię. Chodź, weźmiemy ślub”.

Gdybym w to uwierzyła, doznałabym okrutnego rozczarowania, ponieważ nic takiego się nie wydarzyło. To znacznie mniej interesujące. Streszczę to raczej tak: „Jestem facetem, który pomylił szpitalne sale” – to znaczy, tak przypuszczam, nie wyobrażam sobie bowiem, jak inaczej wylądowałby tutaj, teraz zaś przeczekuje deszcz (zaczęłam go słyszeć kilka chwil temu) i już głęboko oddycha.

Jestem ciekawa. Ciekawość nie jest czymś chemicznym, nadal wiem, co to takiego. Ciekawi mnie więc to, kto siedzi na krześle obok mnie. Nie znam żadnego sposobu, żeby znaleźć odpowiedź, dlatego po prostu puszczam wodze fantazji. Tylko że szybko daję sobie spokój. Jak dotąd, oprócz lekarzy, pielęgniarek i salowej, wchodzili tutaj wyłącznie ludzie, których znam. Musiałam co najwyżej wyobrazić sobie, w co są ubrani, ale nic więcej. Tym razem jestem w kropce – poza jego głosem nie mam żadnej wskazówki.

Głos wydaje mi się zresztą całkiem miły. Choć właściwie to się zmienia. To pierwszy nowy głos od sześciu tygodni, myślę więc, że nawet gdyby był ochrypły albo zupełnie zwyczajny, i tak by mi się spodobał. Kochasie mojej siostry nigdy się nie odzywają – jedyne, co słyszę z ich strony, to ewentualnie wzajemna wymiana śliny – albo zostają na korytarzu. Ten

nowy głos ma jednak wyjątkową barwę, pobrzmiwa w nim jakaś mieszanina lekkości i namiętności.

To mi pozwoliło łatwiej ustalić dzisiejszą datę.

Rzeczywiście jestem tutaj od pięciu miesięcy i, jak się zdaje, mam dziś urodziny.

Dziwi mnie jedynie to, że moja siostra nie złożyła mi życzeń. Dlaczego? Może pomyślała, że to się mija z celem. Albo po prostu zapomniała. Chciałabym mieć do niej żal, ale nie potrafię. Człowiek świętuje chyba jednak skończenie trzydziestki, nie?

Na krześle obok mnie coś się porusza. Słyszę szelest materiału i rozpoznaję dźwięk zdejmowanego swetra. Słyszę, jak wstrzymuje oddech, przekładając głowę przez kołnierz. Słyszę lekkie sapanie przy ściąganiu rękawów i uwalnianiu torsu. Słyszę, jak odkłada gdzieś sweter, następnie dobiega do mnie znów jego regularny oddech.

Jestem pod napięciem. Przynajmniej lubię sobie wyobrazać, że jestem. Wszystkie aktywne części ciała, czytaj: wyłącznie słuch, uczepliły się tej nowości niczym koła ratunkowego. Wobec tego słucham, słucham, słucham. I powoli rysuję w głowie.

Jego oddech jest spokojny. Musiał przysnąć. Deszcz lekko bębni o szyby, ja zaś potrafię rozróżnić dźwięk, jaki wydaje jego podkoszulek ocierający się o plastikowe krzesło. Raczej nie jest zbyt korpulentny, inaczej by tak nie oddychał. Usiłuję dokonać porównania z ludźmi, których znam, ale człowiek rzadko przysłuchuje się temu, jak ktoś inny oddycha. Czasem robiłam to z moimi byłymi, kiedy budziłam się pierwsza. Niektórzy mówili, że to śmieszne, i na ogół właśnie oni nie zabawiali zbyt długo. Pamiętam gościa, który oddychał w rytmie na trzy – już miałam ochotę się roześmiać, ale powstrzymałam się, żeby go nie obudzić. On również długo nie zagrażał miejsca.

W każdym razie moje sercowe historie są dość chaotyczne. Znacznie mniej liczne i mniej regularne niż u mojej siostry. Jestem w stanie doliczyć się w pamięci około dziesięciu. Jedne krótkie, inne o wiele dłuższe. W tej chwili jestem singielką. I dobrze, ponieważ nie wiem, jak mój facet zareagowałby na śpiączkę. Zostawiłby mnie już na samym początku? Czekalby? Robiłby swoje, nic mi nie mówiąc? Posłuchałby lekarzy i przyszedłby mi powiedzieć, że to koniec? Nic by go to nie kosztowało, byłby przeświadczony, że nic nie słyszę. I miałby rację co do pierwszych czternastu tygodni śpiączki.

A zatem singielka i zadowolona z takiego stanu rzeczy. Już i tak trudno jest słuchać matki, która płacze przy każdej wizycie – nie mam ochoty powtarzać tego doświadczenia z kimkolwiek innym.

Podczas gdy wszystkie te wspomnienia przebiegają mi przez głowę, pozostaję skoncentrowana na moim zuchwałym gościu. Jego oddech stał się głębszy. Naprawdę zasnął na dobre.

Nadal całą uwagę skupiam na nim. Nie chcę, żeby czas upływał. To jedyna rozrywka, jedyna nowość, niemal jedyna rzecz, która mi przypomina, że ja zwyczajnie i po prostu gdzieś tam żyję.

Nie można bowiem powiedzieć, żeby regularne odwiedziny mojej siostry i pielęgniarek czy powtarzający się płacz matki sprawiały mi radość. W tym wypadku to jest jak kamień rzucony do wody. To całkowicie zmienia postać rzeczy. To by mnie wprowadziło w drżenie, gdybym mogła się poruszyć.

Chcę, żeby czas się zatrzymał, tylko że czas się nie zatrzymuje. Mam jedynie tę krótką drzemkę, na którą on pozwala sobie w mojej sali. Jak tylko odejdzie, wszystko znów będzie jak przedtem. Po prostu dostałam prezent na urodziny. Chciałabym móc się uśmiechnąć do własnych myśli.

Wtem rozlega się dźwięk otwieranych drzwi. Słyszę głosy i cała moja istota rozświetla się od wewnątrz. Rozpoznaję Steve'a, Aleksa i Rebeke. Wygląda na to, że są w formie i rozmawiają wesoło. Nagle mam ochotę im powiedzieć, żeby zamilkli, ponieważ obudzą mojego gościa. Bądź co bądź, jak zwykle, nie mogę nic zrobić, ciekawi mnie zresztą, jak mój nieznajomy wytłumaczy swoją obecność.

Dźwięk kroków i natężenie głosów wskazują, że trójka moich przyjaciół się zbliża, po czym znenacka przystaje.

– O, ktoś tu jest! – wykrzykuje Rebeka.

– Znasz go? – pyta Alex.

Przypuszczam, że Rebeka kręci przecząco głową. Słyszę, jak okrążają krzesło, i wyobrażam sobie, jak pochylają się nad moim gościem.

– Dobra, śpi – mówi Rebeka. – Zostawiamy go tak?

– Nie, wywalamy za drzwi! – rzuca Steve.

– Nikomu nie przeszkadza – zauważa Rebeka. – A skoro to przyjaciel Elsy, może świętować razem z nami, nie sądzisz?

– Jasne...

Wyobrażam sobie naburmuszoną minę Steve'a. Wiem, że kilka lat temu czuł do mnie miętę. Dziewczyn uprawiających wspinaczkę wysokogórską nie spotyka się na każdym kroku, nawet jak człowiek mieszka w górach.

Rebeka przestała trzy lata temu, zaczynała się za bardzo bać. Pewnie powinnam była posłuchać, gdy próbowała mnie przekonać, żebym poszła w jej ślady. Za bardzo mnie to jednak pasjonowało. Steve szybko zakochał się po uszy, ale w tamtym okresie miałam kogoś, dałam mu więc do zrozumienia, że szukam wyłącznie towarzysza wypraw. Pozostali przyjaciele byli dla mnie za duzi, potrzebowałam kogoś o podobnej budowie ciała. Steve jest świetnie zbudowany. Stanowiliśmy fantastyczny zespół.

Z chwilą gdy moja odmowa stała się jasna, ograniczył się do roli starszego brata. Kiedy zawsze było się tą starszą, przyjemnie poczuć, że ktoś się tobą opiekuje. Zwłaszcza że skoro Alex i Rebeka są razem, Steve się pospieszył.

I teraz przyjął właśnie taką postawę. Starszego brata, który nie chce, żeby ktokolwiek tknął jego młodszą siostrzyczkę.

– Ejże, Steve! – odzywa się Alex. – Co, twoim zdaniem, może się wydarzyć w szpitalu? To pewnie przyjaciel Elsy, i tyle! Przysnął. Nie będziemy z tego robić afery. Pytanie brzmi: budzimy go czy zaczynamy imprezkę bez niego?

– Zdaje się, że podjął decyzję za nas – wtrąca Rebeka.

Istotnie, słyszę, że mój gość się budzi. Wyobrażam sobie jego oczy, które się otwierają, skupiają na otoczeniu, i mam ochotę się roześmiać, wyczuwając jego zaskoczenie na widok trzech przyglądających mu się osób.

– Coś ty za jeden?

Steve nie tracił czasu. Mogę się założyć, że jego twarz znajduje się dziesięć centymetrów od twarzy nieznajomego, a zmrużone oczy wysyłają promienie laserowe jak u Supermana. Liczę do pięciu, zanim mój nieznajomy odpowie. Nadal ma melodyjny głos.

– Przyjaciel.

– Jasne...

– Tak, mówię ci, że jestem przyjacielem.

Zgadza się, musi mieć około trzydziestki. Inaczej nie mówiłby do Steve'a na „ty”.

– Nie wierzę ci.

– Steve! – przerywa Alex. – Przestań.

– Nie znam go i nie rozumiem, dlaczego się tutaj pęta – odpowiada Steve. – Przedostanie się do tego skrzydła szpitala bez dokładnego

sprawdzenia i tak już graniczy z cudem, chcę wiedzieć, kim on jest i co tutaj robi!

– Właśnie z tych samych powodów nie może robić nic złego!

– Jasne...

Mój nieznajomy prostuje się i wkłada sweter.

– Nie umiesz powiedzieć nic innego poza „jasne”?

Ho, ho! Nieznajomy nie ma pojęcia, w co się pakuje. Chętnie bym go ostrzegła, ale już za późno. Wnioskuje, że Steve złapał go za kołnierz i podniósł z krzesła.

– Za kogo ty się uważasz?

– Steve, przestań! – krzyczy Rebeka.

– Cholera! Co to za jeden? – powtarza Steve.

– Puść go! – dorzuca Alex. – A ty się wytłumacz, inaczej na tym się nie skończy.

Alex, dzielny rycerz. Rozumiem, dlaczego Rebeka się w nim zakochała.

– Przepraszam – oznajmia mój gość bezbarwnym głosem. – Czy teraz mnie puścisz?

Słyszę burknięcie Steve’a i jego ruch, kiedy pozwala nieznajomemu opaść na krzesło. Domyślam się następnie, że siada na łóżku obok mnie. Pościel szeleści przy moim uchu.

– Przykro mi, Elso – szepcze Steve, głaszcząc mnie po włosach. – Niezłe zamieszanie przy urodzinach, co?

Przez kilka sekund słyszę w jego głosie łzy. Ciągle jeszcze ma do siebie żal, że nie sprawdził mojego węzła, że nie okazał się dostatecznie silny, żeby nie pozwolić mi spaść razem z lawiną.

Z tego, co zrozumiałam, to on znalazł mnie pod śniegiem. Lekarz powiedział, że to był cud. Ja po prostu wiem, że pomogła nam więź, jaka nas łączy. Starszy brat przecież zawsze obroni.

Dziś jednak muszę przyznać, że to trochę za dużo.

– Dobra! Elso, przynieśliśmy ci tort, trzydzieści świeczek, których na pewno nie będziesz chciała zdmuchnąć, ale mamy to gdzieś, ponieważ i tak bym cię do tego zmusiła, i na dodatek mały prezencik.

Jej ton mnie rozgrzewa (wyobrażam sobie, że mnie rozgrzewa). Rebeka wyjmuje zawartość plastikowej torby, świeczki zaś z pewnością pomaga jej umieścić Alex. Tymczasem mój gość wstaje.

– Na pewno jesteś przyjacielem Elsy, co?

I oto Steve znów draży temat. Jeśli wybudzę się ze śpiączki, dam mu popalić!

– Tak.

– To jak ona ma na imię?

– Elsa. Przecież mówisz to co najmniej po raz trzeci.

– Nazwisko.

– Bilier. A dziś kończy trzydzieści lat.

– Rebeka właśnie podała tę informację.

– To przesłuchanie czy co?

– Można tak powiedzieć.

Steve, starszy superopiekun brat.

– Co studiuje?

Mój nieznajomy odzywa się dopiero po dwóch sekundach.

– Nie studiuje. Pracuje.

– W jakiej branży?

Kolejne dwie sekundy.

– Górskiej.

Jestem pod wrażeniem. Za każdym razem blefuje, ale świetnie mu to wychodzi. Zastanawiam się, czy w gruncie rzeczy on mnie jednak nie zna.

– Co dokładnie robi w związku z górami?

Tym razem tracę wszelką nadzieję, że mój nieznajomy zgadnie. Mam mało popularny zawód.

Mija dziesięć długich sekund. Alex i Rebeka właśnie zapalają świece – słyszę, jak szepczą między sobą. Nieznajomy przechadza się po sali, po czym przystaje. Chyba odwrócił się w stronę Steve’a.

– Posłuchaj – zaczyna. – Masz rację. Nie znam Elsy. Wszystko, co przed chwilą powiedziałem, wyczytałem z karty przy łóżku. Przyszedłem kogoś odwiedzić i po prostu pomyliłem sale. Było spokojnie, przysiadłem na moment. Nikomu nie przeszkadzałem. Teraz sobie pójdę.

O dziwo, Steve nie odpowiada. Przeciwnie, to Rebeka zabiera głos.

– Nie chcesz zostać z nami na tort i świece?

Tym razem mój nieznajomy musi być wyraźnie zaskoczony. Rebeka właśnie taka jest – urocza i niekiedy zbyt naiwna. Na szczęście jej książkę z bajki znajduje się w pobliżu.

– Zostań chwilę – prosi Alex.

– Nie chciałbym przeszkadzać – odpowiada nieznajomy.

– Sam mówiłeś, nikomu nie przeszkadzałeś. Będzie nas czworo, to sprawi Elsie przyjemność.

Czuję, że się waha.

– Zgoda.

Nieznajomy ponownie podchodzi i odsuwa krzesło. Odnoszę wrażenie, że usiłuje pomóc Aleksowi wyjąć coś z torby, podczas gdy Rebeka chwytą zawieszoną przy łóżku kartę.

– Wygląda na to, że nie ma zbyt dużych postępów – rzuca w kierunku pozostałych. – Nie ma nawet nic nowego. Ach tak, ktoś zmienił jej wiek. Niesamowite, że zwrócili na to uwagę.

– Ee... Nie, to... to ja zrobiłem – przyznaje nieznajomy. – Zajrzałem do karty, żeby sprawdzić, jak się nazywa, i zobaczyłem, że dziś są jej urodziny. Przepraszam, jeśli was to denerwuje. Pewnie nie powinienem był.

– Wygłupiasz się? To bardzo sympatyczne!

– Naprawdę?

– Moim zdaniem to słodkie, że ktoś, kto nie zna Elsy, zadaje sobie trud i poprawia jej wiek na karcie. Dobra! Wyciągasz tę paczkę czy nie?

– A, przepraszam. Trzymaj.

– Podaj ją Steve’owi. Myślę, że chciałby ją otworzyć. Chociaż doskonale wie, co jest w środku!

Steve z pewnością wyciąga rękę i odwraca się twarzą do mnie. Rebeka stawia tort na stoliku obok. Wyobrażam sobie zapach owoców, blask świeczek i smutne uśmiechy przyjaciół.

– Dobra... Wszystkiego najlepszego, kochana – mówi Rebeka, po czym zdmuchuje wszystkie trzydzieści świeczek.

– Wszystkiego najlepszego, Elso – powtarza Alex.

– Ej, ty tam, wszystkiego najlepszego – dodaje Steve.

Choć z daleka, szept nieznajomego mimo wszystko dociera do moich uszu.

– Wszystkiego najlepszego.

Zostało to wypowiedziane cicho. Nie potrafię stwierdzić, czy dlatego, że jest zakłopotany i smutny, czy z innego powodu. Ale to wzruszające. Głęboko wzruszające.

– Proszę, twój prezent – mówi Steve, sprowadzając mnie na ziemię. – To pierścionek. Zawsze powtarzałaś, że nigdy nie wyjdiesz za mąż i że nie nosisz pierścionka, ponieważ to wkurzające, wobec tego wybraliśmy go dla

ciebie. Może dzięki temu szybciej wrócisz, jeśli masz ochotę skopać nam tyłki.

Przypuszczam, że Steve wkłada mi go na palec. Nie wiem ani na którą rękę, ani na który palec.

– Nie powiesz jej, jak wygląda?

Uwaga nieznanego najwyraźniej wszystkich zaskakuje.

– Tak mi się po prostu wydaje – ciągnie przybysz. – Skoro mamy do niej mówić, chyba lepiej opowiadać o wszystkim, prawda?

Milczenie trwa kilka chwil.

– Oddaję ci ten zaszczyt – burczy Steve, jakby był zawiedziony, że sam na to wcześniej nie wpadł.

– Ee...

– Dalej! Masz rację!

– Dobrze... Zgoda.

Mój gość podchodzi bliżej.

– No więc, zdaje się, że jest srebrny.

– To białe złoto – przerywa Steve.

– O, przepraszam. Nie odróżniam.

– Jest mocniejsze.

– OK. A więc jest z białego złota. Wybrali je, ponieważ jest mocniejsze, dlatego jak najdzie cię ochota rąbnąć w ten pierścionek czekanem, zobaczysz, że nic się nie stanie.

Chciałabym się roześmiać albo przynajmniej uśmiechnąć na tę drobną aluzję.

– Są na nim dwie żyłki, które przeplatają się na całym obwodzie. Wyglądają jak liany. Albo raczej jak rodzaj łądygi kwiatu. Aha! Jak krzew jaśminu... Zdaje się, że lubisz ten zapach!

Zatyka mnie. Skąd mógł się tego domyślić?

– Skąd to wiesz? – pyta Steve, powtarzając moje myśli niczym echo.

– W całej sali woń jaśminu aż bije w nos. Zapach pochodzi od niej.

– Wymyślasz perfumy czy co?

– Nie, zajmuję się ekologią, to nie ma nic wspólnego. Mogę mówić dalej?

– Mów.

Uzmysławiam sobie, że nie mogę się doczekać dalszego ciągu.

– Błyszczysz się, jest naprawdę ładny. I znajduje się na twoim prawym palcu serdecznym.

Jestem trochę zawiedziona. Niemal czuję żal do Steve'a, że mu przerwał.

– Aha, tort jest gruszkowy – mówi dalej nieznajomy. – Rebeka cię okłamała. Włożyła trzydzieści jeden świeczek wyłącznie po to, żeby się z tobą drażnić, a ja muszę przyznać, że masz niesamowitych przyjaciół, skoro przyszedli ci złożyć życzenia po dwudziestu tygodniach nieobecności.

Tym razem cisza staje się niezręczna. Przez moment prawie się boję, że straciłam słuch. Bębnienie kropel deszczu o szyby upewnia mnie jednak, że nie. Słyszę, jak ktoś wyciera nos. Mogę się założyć, że to Rebeka. Alex pewnie właśnie trzyma ją w ramionach. Każdy stara się czymś zająć, jakby chciał rozproszyć smutek, który najwyraźniej zatruwa atmosferę. Kawałki tortu krążą z rąk do rąk, łyżeczki skrobą po papierowych talerzykach.

– Opowiesz nam coś więcej o sobie? – pyta po chwili Rebeka.

– Jak to? – odpowiada mój gość.

– Na początek mógłbyś choćby się przedstawić, prawda? Wiemy zaledwie, jak tu trafiłeś. Co do mnie, chętnie dowiedziałabym się czegoś więcej o facecie, który jest w stanie zdobyć aż tyle informacji o nieznajomej w mniej niż pięć minut.

– Mam na imię Thibault. Mam trzydzieści cztery lata. I powinienem być teraz w sali mojego brata, który miał wypadek samochodowy.

– Kurczę, mam nadzieję, że to nic poważnego – oznajmiła ze współczuciem Rebeka.

– To dość poważne. Wyjdzie z tego, ale wolałbym, żeby tak się nie stało. Zabił dwie nastolatki, ponieważ był pijany. Naprawdę nie mam już ochoty na niego patrzeć.

– Ach!

Znow zapada milczenie. Zastanawiam się nad tym, co właśnie usłyszałam. Profil nieznajomego nabiera kształtów, brakuje mi jednak kilku istotnych elementów. Wątpię, żeby któreś z moich przyjaciół skłoniło go do opisanego samego siebie.

Thibault. Muszę zapamiętać to imię.

– Jak to się stało, że się tutaj znalazła? – pyta zniemacka. – To znaczy, nie licząc „lawiny podczas wyprawy wysokogórskiej”?

Steve wstaje. Przechadza się po sali i zaczyna opowiadać to, co już wiem. Następnie grzecznie słucham dalszego ciągu – od momentu, gdy mnie znaleźli. Poznaję dodatkowy szczegół: przetransportowano mnie śmigłowcem. Szkoda, zawsze marzyłam, żeby przelecieć się helikopterem nad tym lodowcem, i nawet nie byłam przytomna, aby to zobaczyć. Mój

gość zadaje kilka pytań, na koniec moje ulubione. Tak bardzo chciałabym sama na nie odpowiedzieć...

– Dlaczego ona to robi? To znaczy, dlaczego uprawia wspinaczkę wysokogórską? Przecież wszystko, co robicie, jest niebezpieczne.

– Ona ma to we krwi – wyjaśnia Steve.

– To mi nie wystarczy – odpowiada Thibault.

– Wiesz, co to jest szczęście?

– Czy to podchwytliwe pytanie?

– Cóż, Elsa wie – oświadcza Steve, ignorując uwagę. – Kiedy chodzi tam, wysoko, jest sobą, jest szczęśliwa. Promienieje. Góry to jej żywioł. Oprócz pasji zrobiła z tego zawód.

– Co, jest przewodniczką?

– Nie, nie mogła. Pracuje w instytucie, który przygotowuje mapy turystyczne. Specjalizuje się w strefach lodowcowych.

– Nie wiedziałem, że takie coś istnieje. Chociaż zdarzyło mi się już korzystać z tego typu map.

– Cóż. Góry to ona. Kiedy idziesz razem z nią przez lodowce, to tak, jakbyś ją widział nago. Bezbronna do granic możliwości. Wszystkie emocje i doznania na wierzchu. Robi ci w ten sposób prawdziwy prezent.

– Jejku... Jesteś zakochany?

Thibault zapytał na poważnie. W wymiarze zaś tego, co dopiero oznajmił Steve, sama czekam na odpowiedź.

– Byłem. Dziś jestem tylko czymś w rodzaju starszego brata, który nie wykonał zadania.

– Nie mów tak. To nie twoja wina, że jej siódemka nie była dobrze zawiązana.

– Ósemka – poprawia go Steve. – Powinienem był to jednak sprawdzić.

Rebeka nie dopuszcza do ponownego zapadnięcia ciszy, zbierając talerzyki i łyżeczki. Zdaje się, że moja urodzinowa imprezka dobiega końca, nieznajomy szykuje się do wyjścia.

– Cóż, dzięki za tort i dzięki za to, że pozwoliliście mi zostać.

– Jesteś pewien, że nie chcesz jeszcze trochę posiedzieć? – proponuje Alex.

– Nie, dołączę do matki i kuzyna. Pewnie mnie szukają.

– Zgoda. Fajnie było cię poznać.

– Mnie też. Pożegnacie ją ode mnie?

– Sam możesz to zrobić, wiesz? – odpowiada Rebeka.

Mój gość najwyraźniej się waha, następnie słyszę, jak podchodzi bliżej. Wcześniej czuł się bardziej swobodnie, kiedy był ze mną sam.

– My całujemy w czoło – wyjaśnia Rebeka. – To jedyne miejsce, gdzie nie ma zbyt wielu przewodów.

– Ach tak!

Słyszę dźwięk jego warg całujących moją skórę, ale jak poprzednio nic nie czuję. Słyszę słowa, które szepcze mi do ucha najciszej, jak to możliwe, po czym się wyprostowuje.

– Do widzenia, Elso.

Oddala się od łóżka. Pozostali są zajęci swoimi sprawami.

– Jeszcze raz dziękuję, już idę.

– Możesz ją jeszcze odwiedzić, wiesz?

Rzecz jasna, to Alex wystąpił z propozycją.

– Ach! To miłe. Dziękuję. Nie wiem, czy...

– Nie krępuj się – dodaje Rebeka. – Będzie jej przyjemnie, że ktoś jeszcze ją odwiedza. Jestem tego pewna.

– Świetnie. Do widzenia.

Drzwi się zamykają. Mój gość wyszedł. Ta odrobina radości, którą miałam, odeszła wraz z nim.

– Steve? – woła Alex. – Nic nie mówisz już od dłuższego czasu. Nie podoba ci się, że zaproponowałem mu, żeby wpadł znowu?

– Nie, w porządku.

– Więc co jest?

– Właśnie zaczął padać śnieg, a ona to uwielbiała.

Każde jego słowo jest ciężkie od smutku. Przychodzi mi na myśl, że wolałam, jak był tu tylko Thibault. Było mniej emocji. Słucham, jak przyjaciele pakują torby i się ubierają. Słyszę, jak kolejno całują mnie w czoło, nie mając żadnej możliwości, żeby im odpowiedzieć.

Gdy drzwi cicho trzaskają, znów zapada totalna cisza. Nawet deszcz nie bębni o szyby. Nikt nawet nie oddycha, oprócz mnie.

Chciałabym, żeby wrócił.

4.

THIBAUT

Matka spogląda przez okno w samochodzie, kuzyn rozmawia z tyłu przez telefon. Prowadzę niczym automat, żeby odstawić wszystkich na miejsce. Znam drogę na pamięć, ale powinienem uważniej patrzeć przed siebie.

Niemożliwe. Myślami jestem gdzie indziej.

W tamtej sali. W pięćdziesiątce. Sprawdziłem, wychodząc. Pod numerem było zdjęcie gór – trochę dziwny widoczek z mnóstwem lodu. Dotarło do mnie, że właśnie to wprowadziło mnie w błąd.

Kiedy dotarłem do wyjścia, kuzyn już na mnie czekał. Usiłował się dowiedzieć, co robiłem przez cały ten czas. Na próżno. Nie puściłem pary z ust. Matka wyszła po kilku minutach, miała czerwone oczy. Teraz trochę się uspokoiła. Zupełnie jakby szpital był olbrzymim magnesem przyciągającym łzy, chociaż czasami zdarzają się tu niespodzianki.

Nie mogę się doczekać, żeby wysiadła. Coraz gorzej znoszę wszystkie te wzruszenia. Nie twierdzą oczywiście, że się myli – nic z tych rzeczy. Ma prawo być smutna, ja zaś z pewnością byłbym w tym samym stanie, gdyby to moje dziecko leżało w szpitalnym łóżku, ale w porównaniu z sytuacją w sali numer pięćdziesiąt dwa mój brat wywołuje niemal obojętność.

To mną wstrząsnęło bardziej, niżbym sądził. Wyszedłem tylko po to, żeby się trochę przespać, tymczasem głowa mi pęka od informacji. Sympatyczni byli tamci troje. Nawet ten cały Steve, ponieważ pod miną starszego brata obrońcy krył się zwyczajny lęk. I ogromny smutek. Zupełnie jak u mojej matki. Właśnie to mnie w nim najbardziej wnerwiło. Sprawiał także wrażenie zazdrosnego, nie wiem jednak tak naprawdę o co. Jeśli naprawdę nie jest zakochany, nie ma się czego bać. A zresztą – jeśli jest, również nie ma się czego bać.

Dziewczyna, Rebeka, jest fajna. Trochę naiwna, ale miła. Jej facet, Alex, jest naprawdę sympatyczny i bardzo otwarty. Może warto by było zobaczyć się z nimi znowu, żeby się rozerwać. Dociera do mnie, że nie ma na to żadnego sposobu – chyba żeby podrzucić do sali numer pięćdziesiąt dwa

liścik: „Hej, tu Thibault! Koleś, który przysnął ostatnim razem. Jeśli chcecie się ze mną znów zobaczyć, tu jest mój numer telefonu”. Szkoda więc zachodu.

W gruncie rzeczy jedyną osobą, którą mogę znów zobaczyć, jest ta, z którą nie mogę rozmawiać. Ponieważ mi nie odpowie.

Elsa. Kwiat jaśminu pełen rurek i przewodów. Nie pytałem, dlaczego było tego tak dużo. W ogóle się nie znam na medycynie. Chociaż zajmuję się „ziemską medycyną”, jak mawiają niektórzy. Jeśli chodzi o ludzkie ciało, jestem zupełnym głąbem. Kiedy lekarz mojego brata zaczął mi objaśniać, na czym polegają jego obrażenia, wyłączyłem się po pięciu sekundach. Matka słuchała cierpliwie, mimo że również nie zrozumiała ani słowa. Mój kuzyn, nauczyciel wychowania fizycznego, próbował to przetłumaczyć, ale szczerze mówiąc, na myśl o policjancie za drzwiami krew ścinała mi się w żyłach, dlatego prawie nie słuchałem.

Na szczęście nie ma już policjanta. Mój brat złożył zeznanie. Zostanie osądzony za cztery miesiące. Teoretycznie tyle czasu potrzeba, żeby doszedł do siebie po wypadku. Na razie jego mieszkanie jest puste. Razem z kuzynem wpadliśmy tam opróżnić lodówkę i posprzątać, żeby w czasie jego nieobecności nie zrobił się syf. Szczerze mówiąc, i tak to już nie był pałac, byłoby zatem lepiej, gdyby mieszkanie nie zamieniło się w norę. Wywnioskowaliśmy zresztą, że ma dziewczynę, natknęliśmy się bowiem na poniewierającą się wszędzie bieliznę. Dziewczyna nigdy się o nic nie zatroszczyła albo po prostu to był jednorazowy wyskok, gdyż nikt nie zadzwonił.

Zatrzymuję się na parkingu przed domem matki. Śnieg zdążył już przysypać stojące tam samochody. Na asfalcie od razu się roztapia, za to trawę pokrywa cienka warstwa białego puchu. Nie mogę powiedzieć, żebym lubił śnieg albo żebym go nie lubił. Jest, to jest – przyjmuję go bez dyskusji. Dla mnie to tylko dodatkowe wytchnienie dla naszej planety.

Dwójka pasażerów wysiada. Kuzyn mieszka nieopodal mojej matki. To on znalazł mieszkanie, kiedy odszedł mój ojciec. Czuję, jak uwolniony od ich ciężaru samochód się unosi. Kuzyn wsadza głowę przez okno.

- Nie idziesz?
- Nie dziś.
- Myślę, że ona by tego chciała.
- A ja myślę, że nie jestem w stanie.
- Świnia z ciebie.

– Posłuchaj, wpadnę jutro. Ale... nie dziś.

Kuzyn przygląda mi się niemal zaskoczony, że wspomniałem o jutrze.

– OK. Uważaj na drodze.

Zamyka drzwi. Matka patrzy na mnie przez szybę i macha ręką. Posyłam jej buziaka i uruchamiam silnik. Ledwie przejeżdżam przez bramę, jest lepiej. Muszę przestać spędzać z nimi tyle czasu, ich przygnębienie jest zaraźliwe. Od razu łapię doła.

Prowadzę bez zastanowienia, dopóki sobie nie uświadamiam, że całkiem zboczyłem z drogi. Właśnie jadę do miasta. Może akurat to powinienem zrobić? Nie mam ochoty być sam dziś wieczorem, ale nie mam także ochoty na towarzystwo. Coś jest nie tak z moją głową. Na szczęście dokładnie wiem, czego mi trzeba.

– Halo, Ju?

W słuchawce rozlega się głos mojego najlepszego przyjaciela.

– Jasne, wiem, źle się rozmawia w czasie jazdy. Powiedz, co robisz wieczorem? Może byśmy gdzieś wyskoczyli? Spotkamy się w pubie? Co? Nie możesz wcześniej? Dobra. To na razie!

Rozłączam się. Julien, który kiedyś miał hopla na punkcie roboty, ostatnio ma hopla na punkcie pięciomiesięcznej córeczki. Na szczęście jego żona to jedna z moich najlepszych kumpelek ze studiów, zrozumie więc, jak Julien jej powie, że musi się ze mną zobaczyć. Z tego co słyszałem, zostały mu jeszcze kąpiel, karmienie i cała reszta. Rzeczywiście, w środę jest jego kolej. Ci dwoje doskonale sobie wszystko poukładali! Zazdrość im, chociaż nikogo nie szukam. Właśnie to chciałbym osiągnąć. Tę równowagę.

Z Cindy nie było równowagi, tylko codziennie burza. Bronilem się, powtarzając, że to była równowaga innego rodzaju. Bardzo się myliłem. Na widok tego, co udało się zbudować Julienowi i jego żonie, człowiek czuje po prostu ukłucie zazdrości. Tylko że kiedy dopiero co zakończył taki związek, jak mój z Cindy, zastanawia się, czy nadal jest zdolny do miłości.

Na razie więc kocham swoją pracę, kocham moich przyjaciół, kocham matkę, mimo że ryczy bez końca, ale nie kocham już brata. Od pewnego czasu moje życie sprowadza się właśnie do tego. Do rozpoznawania, co kocham i czego nie kocham. To niełatwe.

A tak! Nie lubię kretynów, którzy nie potrafią zaparkować na bezpłatnych parkingach, bo przez nich człowiek musi płacić, żeby znaleźć odpowiednie miejsce. I właśnie to muszę dziś zrobić.

Ryzykując, że trzeba będzie sięgnąć do portfela, wybieram parking najbliżej pubu. Będę musiał pokonać piechotą łącznie dwieście metrów. To znakomicie, ponieważ z powodu śniegu zmarzłbym jeszcze bardziej. Parkuję poprawnie, żeby nikogo nie zastawić. Chowam bilet do kieszeni, żeby nie wyjść na durnia, jak ostatnim razem, kiedy szukałem go przez dwie godziny, po czym się okazało, że został na desce rozdzielczej, i biegnę do pubu.

Po wejściu z miejsca czuję ulgę. Jest ciepło. Ludzie rozmawiają, śmieją się, gra dobra muzyka i został jeszcze wolny stolik. Siadam i umieszczam przed sobą dwie podkładki na znak, że na kogoś czekam. Tego rodzaju szyfry dają poczucie bezpieczeństwa. Nikt nie przyjdzie zapytać, czy sąsiednie krzesło jest wolne czy zajęte.

Zamawiam sok gruszkowy. Kelner patrzy na mnie zakłopotany. Odpowiadam, że prowadzę, i to mu wystarczy. O mało mi nie gratuluje. Wiem, że Julien weźmie piwo. Pewnie poczęstuję się łykiem, żeby sprawić sobie przyjemność, ale nie lubię siadać za kierownicą po alkoholu. Mój brat powinien być mieć tyle samo rozsądku.

Nie upłynęło nawet pięć minut, odkąd trzymam w ręce sok gruszkowy, a już wyrasta przede mną jakaś laska.

– Czy to krzesło jest wolne?

Pokazuję podkładkę, na której jeszcze nic nie stoi.

– O, przepraszam, nie zauważyłam. Czekasz na kogoś?

– Tak. Na kumpla.

Zawahałem się, czy nie powiedzieć „na moją dziewczynę”, a nawet „na mojego chłopaka”, tak dla śmiechu, ponieważ ona się dziwnie zachowuje. Na kilometr widać, że to podryw. A przecież pub słynie raczej z dobrej zabawy, nie zaś z robienia słodkich oczu i z szybkich randek. Uśmiecham się na myśl o uwagach matki. Jak widać, moje potargane włosy wszystkich nie odpychają. Tylko że akurat ta tutaj najwyraźniej po prostu ma ochotę, żebym jej postawił jednego. Nie cierpię tego typu spotkań.

– Mogłabym ci dotrzymać towarzystwa, dopóki on nie przyjdzie?

W mojej głowie wszystko dzieje się błyskawicznie, jakbym miał grę paragrafową, czyli książkę, w której człowiek sam decyduje o rozwoju akcji, i zamierzał ją zaraz otworzyć. Jeśli chcesz walczyć ze smokiem, idź na stronę sześćdziesiątą drugą. Jeśli wolisz się schować, idź na stronę trzydziestą trzecią. Co do niej, właśnie doszła do końca przygody. Do strony zero.

– Z pewnością świetna z ciebie laska, ale nie dość inteligentna, żeby zajarzyć, czy ktoś jest chętny, czy też nie. To dość delikatne, wiem, i – jak widać – delikatność to nie twoja specjalność. Zastanawiam się nawet, czy wiesz, co to w ogóle znaczy. Przykro mi więc, ale nie mogłabyś mi dotrzymać towarzystwa, dopóki mój kumpel nie przyjdzie.

Dziewczyna jest oburzona, chociaż ja szczerze się zastanawiam, czy zrozumiała wszystko, co powiedziałem. Sądząc po jej reakcji, najwyraźniej nie przywykła, żeby tak ją spławiać, ale ja nie jestem w nastroju.

Zdaje się, że przekazała wiadomość dalej albo że pusta podkładka na stoliku jest wystarczająco wymowna, ponieważ aż do pojawienia się Juliana nikt już mi nie przeszkadza. Dochodzi dwudziesta. Julien ma we włosach śnieg.

– W mordę! Ale pogoda! – wykrzykuje, siadając naprzeciw mnie.

– To tylko śnieg – zauważam.

– Ale jest zimno jak w psiarni – odpowiada, ściągając rękawiczki.

– Komu ty to mówisz...

Julien zdejmuje kurtkę i daje kelnerowi znak, że chce zamówić piwo. Ja unoszę szklankę z sokiem gruszkowym, na co gość za barem kiwa głową.

– Co się dzieje? – pyta Julien z poważną miną.

– Nic szczególnego. Mamy środę.

– Odwiedziłeś brata, zgadza się? Chodzisz tam także w inne dni, prawda?

– Ściślej biorąc, zawożę matkę.

– Ciągłe nie chcesz go widzieć?

– Nie.

– Dobra, w takim razie co nie gra?

– Dlaczego pytasz?

– Thibault... Masz to wypisane na twarzy. Nigdy byś nie zadzwonił o osiemnastej, wiedząc, że w środy wieczorem to ja zajmuję się Claram, gdyby to nie było ważne.

– Jak się miewa Clara? Mam nadzieję, że nie popsułem wam z Gaëlle zbytnio szyków...

– Nie przejmuj się. Gaëlle zastąpiła mnie bez problemu, a Clara ma się super. Zdrowa, pediatra powiedział, że jest w świetnej formie. Bycie ojcem chrzestnym jest nadal wporzo?

– Tak, nadal jest wporzo. Twój dzieciak to sama słodycz, niby dlaczego miałbym więc zmienić zdanie? A jak tak dalej pójdzie, w końcu się z nią ożenię!

– Ha, ha! – rechocze Julien. – Czyli chodzi o dziewczynę?

– Nie. To znaczy... chyba. Ale to nie ma nic wspólnego z tym, co myślisz.

– W takim razie z czym?

Odstawiam szklanę i zagłębiam się w krzesło.

– To ma coś wspólnego z pewną dziewczyną, z jej przyjaciółmi, z moim bratem, z policją, z przewodami we wszystkich kierunkach, z jaśminem i z przejazdami samochodem pod sam szpital.

– Chwileczkę! Zaczekaj! Nic nie skumałem.

Kelner przynosi piwo i sok gruszkowy. Dziękujemy i ponownie napełniam szklanę. Rozlewam odrobinę na stół i niezdarnie wycieram.

– Możesz łaskawie mówić trochę jaśniej? – pyta Julien.

– Tak... Zaczekaj.

Ręce mi się lepia, wyciągam więc z torby chusteczkę. Od kiedy zawożę matkę do szpitala, zawsze mam przy sobie chusteczki.

– To coś, co mi się niedawno przydarzyło.

Po czym opowiadam mu o moim popołudniu pełnym przygód. Przez cały czas Julien nie odzywa się ani słowem, tylko cierpliwie słucha. Gdy kończę, nadal milczy, wpatrując się we mnie.

– Nic nie mówisz?

– A co mam mówić? – odpowiada. – To dość komiczne!

– Komiczne? Ja bym tak tego nie nazwał.

– Dobra: ciekawe. Teraz lepiej? Zastanawia mnie tylko, dlaczego tak się tym nakręcasz. Pomyliłeś sale, nic więcej!

Julien czeka, aż mu wyjaśnię. Zaraz otrzyma odpowiedź, która siedzi mi w głowie od trzech godzin.

– Dlaczego mam ochotę pozamieniać miejscami tę dziewczynę i mojego brata?

Julien się zasępia. Widzę to w jego oczach.

– To znaczy, że chciałbyś, żeby ona się obudziła, a brat pozostał w śpiączce?

– Właśnie.

– Dobrze wiesz dlaczego.

– Nie, nie wiem.

– Przestań, Thibault! Nie możesz przetrwać tego, że twój brat przejechał tamte dwie dziewczynki. I, szczerze mówiąc, nikt nie może mieć ci tego za złe. Na twoim miejscu czułbym się tak samo. Elsa, ta dziewczyna, wydaje

się do rzeczy, a ty byś chciał, żeby się obudziła, jak każdy, kto ma serce na tym świecie. To normalne, że tak myślisz.

– Serce... Chciałbym już nigdy więcej nie oglądać brata, a ty uważasz, że mimo wszystko mam serce?

– Wszyscy mają serca, Thibault. Ważne tylko, jaki z nich robią użytek. Twoje rozpadło się na tysiąc kawałków po Cindy. I na milion po wypadku. Mówisz sobie, że gdybyś zrobił coś, aby obudzić tę dziewczynę, być może pozwoliłoby ci to trochę je posklejać. Dzięki czemu zacząłbyś sobie wybaczać to, co myślisz o bracie.

Zatyka mnie, jak zawsze. Właśnie dlatego Julien jest moim najlepszym przyjacielem. Po raz pierwszy w ciągu roku czuję, jak łzy napływają mi do oczu, ale nie, nie mogę. Nie tutaj. Nie w tym zatłoczonym pubie. Nie w środowy wieczór.

– Jazda, wychodzimy! – mówi Julien.

– Co?

– Zaraz się rozkleisz.

Julien opróżnia swoją szklanekę i zmusza mnie, żebym prędko dopił sok. Dwie minuty później jesteśmy na białym chodniku. Miałem rację, zimno jak w psiarni. Julien chwyta mnie za ramię i odciąga od drzwi. W ogóle nie patrzę pod nogi, przed oczami mam jakąś mgłę i wiem, że to nie śnieg.

– Chodź – powtarza.

Rozklejam się. Dwóch obściskujących się facetów to coś, co rzadko widuje się na ulicy. Często człowiek wyobraża sobie, że to geje. Tym razem jak ktoś będzie przechodził, pozwolę, żeby sobie myślał, co mu się żywnie spodoba. Chcę się tylko pozbyć całej tej wody, która zasłania mi widok. Chcę wypluć całą tę ślinę, która zalewa mi usta. Chcę wykrzyknąć moją rozpacz całemu światu.

Po prostu wypłakuję się na ramieniu Juliana, który trzyma mnie w mocnym uścisku. Od miesięcy nie czułem ludzkiego ciepła. Ciepło najlepszego przyjaciela jest naprawdę pokrzepiające. Trwa to kilka minut, po czym zimno bierze górę. Julien podaje mi chusteczkę – on również zawsze nosi przy sobie chusteczki, tylko że z powodu narodzin córki.

– Idziesz do nas – mówi.

– Słucham?

– Dziś śpisz u nas, nie pozwolę ci wrócić do domu w takim stanie.

– Nie piłem, nikogo nie przejadę.

– Przecież wiem, że nie piłeś! Zawsze byłeś trzeźwy, a od miesiąca jesteś trzeźwiuteńki jak jeszcze nigdy, ale tym razem masz za dużego doła, żeby zostać sam na noc. Gdzie twój samochód?

– Na płatnym parkingu, zaraz obok.

– OK, dawaj kluczyki, ja prowadzę.

Spełniam polecenie bez słowa i podążam za Julienem na parking. Uiszczam opłatę i siadam na fotelu pasażera. We własnym samochodzie to zawsze wywołuje dziwny efekt.

Julien jest dobrym kierowcą. Pozwalam się ukołysać. Mieszka naprawdę niedaleko, wkrótce więc jesteśmy na miejscu. Sam dotarł do pubu piechotą. Kiedy wreszcie wchodzimy do mieszkania, jego żona wita nas z uśmiechem.

– Thibault! – woła cicho, na pewno dlatego, że mała śpi.

– Dobry wieczór, Gaëlle – odpowiadam, uśmiechając się. – Przepraszam za najście.

– Nie przepraszaj – mówi i całuje mnie w policzki. – Julien uprzedził mnie przez telefon. Pościeliłam ci nawet łóżko w pokoju Clary. Wystarczy, że nie będziesz chrapał zbyt głośno. I, przykro mi, ale gdzieś tak o czwartej będzie pobudka na karmienie.

– Nie szkodzi, przecież to moja mała księżniczka, nie będę miał jej tego za złe. Ale... Julien cię uprzedził? Kiedyś zdążył to zrobić? – pytam przyjaciela, odwróciwszy się ku niemu.

– Wysłałem esemesa, jak mi się wypłakiwałeś w mankiet.

– Świnia! Nawet mnie dokładnie nie słuchałeś!

– Właśnie niszczyłeś mi kurtkę, musiałem szybko znaleźć jakieś rozwiązanie.

– Jak już skończycie się ze sobą droczyć – przerywa nam Gaëlle – w kuchni zostało dużo jedzenia. Thibault, uszykowałam ci ręcznik, jeśli chcesz wziąć prysznic.

– Dziękuję, Gaëlle, to naprawdę miłe.

– Zrobiłbyś dla nas to samo – odpowiada.

– I tak dziękuję.

Zdejmuję kurtkę i buty, gdy tymczasem oni dają sobie szybkiego buziaka i wymieniają garść informacji na temat małej. Gaëlle mówi, że mogę zajrzeć do Clary i odstawić swoje rzeczy, ponieważ mała jeszcze nie śpi.

Kiedy wchodzę do pokoju, wkraczam w inny wymiar. Przedtem był to gabinet Juliana, teraz przyjaciel przeniósł wszystko do salonu, a tutaj

wylądowała nawet kanapa. W pokoju dziennym została jedynie wyściełana ławka, której nie można rozłożyć. Ich mieszkanie nie jest zbyt duże, wygospodarowali jednak dla córki własny kąt.

Pochyliłam się nad łóżeczkiem. Clara spogląda na mnie jak na przybysza z innej planety. Delikatnie porusza palcami i pokazuje twarz aniołka. Gaëlle i Julien naprawdę dobrze się spisali.

Zostawiam swoją małą księżniczkę i rozglądam się dokoła. Kanapa jest rozłożona, kołdra i poduszka wydają się całkiem wygodne. Robi to na mnie nawet większe wrażenie niż tamta laska, która mnie niedawno podrywała. Wychodzę cicho z pokoju i zamykam za sobą drzwi. Gaëlle ogląda w salonie telewizję, Julien czeka na mnie w kuchni.

Waham się, czy usiąść do stołu, ale teraz, kiedy łyży już popłynęły, uświadamiam sobie, że jestem potwornie głodny. W czasie kolacji rozmawiamy o wszystkim i o niczym. Sporo także o Clarze, ale to logiczne, przecież dziecko staje się absolutnym priorytetem. Sprzątam ze stołu razem z Julienem, Gaëlle zaś oznajmia, że idzie się położyć. Będzie musiała wstać około czwartej, kiedy mała rozplacze się w porze karmienia. Proponuję, że sam się tym zajmę, aby mogła się wyspać.

– Zrobiłbyś to?

– Bardzo chętnie. Muszę być wzorowym ojcem chrzestnym, nie?

– Super, bardzo dziękuję. To by pozwoliło nam obojgu przespać całą noc.

– Gdzie są butelki i reszta sprzętu? – pytam, rozglądając się po kuchni.

– Wszystko jest tutaj – odpowiada, pokazując kącik na blacie. – Wystarczy, że podgrzejesz w kąpielii wodnej.

Gaëlle całuje nas obu i zmierza do sypialni. Oznajmiam Julienowi, że idę wziąć prysznic.

Gorąca woda sprawia mi niesamowitą przyjemność. Polewam się trochę dłużej niż zwykle, chociaż zdaję sobie sprawę, że to nie jest dobre dla środowiska. To naprawdę wyjątek, poza tym nie najlepiej się czuję, akurat więc dziś środowisko...

Kiedy opuszczam łazienkę, Julien mówi, że również idzie spać. Siedzę przed telewizorem krótką chwilę, potem wszystko wyłączam. Nie zabrałem nawet ze sobą książki, zresztą i tak nie jestem pewien, czy mam ochotę czytać.

Wchodzę po cichu do pokoju Clary i wślizguję się pod kołdrę. Dotyk lodowatej pościeli przyprawia mnie o dreszcz. To cudowne, gdy jest ktoś,

kto może ją rozgrzać, tylko że ja nie mam tego kogoś i po raz kolejny się zastanawiam, czy jestem gotów, by tego kogoś znaleźć.

Słyszę szepty Julienu i Gaëlle przez dwoje uchylonych drzwi. Następnie szelest pościeli. Zdaje się, że dzięki mnie zyskali coś więcej niż przespaną noc. Świadomość, że kochają się w pokoju obok, wcale mnie nie krępuje. Wiem, że dzielą ze sobą cudowne chwile.

Zasypiam, ale około drugiej znów mam oczy szeroko otwarte. Przewracam się na łóżku, usiłując robić jak najmniej hałasu. Wizyta w szpitalu wiruje w mojej głowie niczym pranie w pralce. Minuty płyną powoli aż do chwili, gdy słyszę wierzgającą Clare. Idę do kuchni podgrzać mleko i wracam z poduszką do karmienia. Nie wiem, kto to wymyślił, ale to wspaniała rzecz, żeby człowieka nie rozboleły mięśnie, gdy niemowlę ssie smoczek. Za pierwszym razem, kiedy karmiłem Clare z butelki bez tego ustrojstwa, zmachałem się jak diabli. Z kolei Julien wcale go nie potrzebuje.

Chwytam Clare delikatnie, zanim zdąży się rozplakać na dobre, i układam ją między poduszką a sobą. Umościłem się na łóżku i oparłem o ścianę, żeby było mi wygodniej. Clara obejmuje drobnymi wargami smoczek. Odgłos ssania łagodnie mnie kołysze. Kiedy kończy, odkładam na bok butelkę. Zasypiamy tak jedno w ramionach drugiego.

5.

ELSA

Zastanawiam się, jak długo jeszcze będę wyłącznie słyszeć. Zastanawiam się, czy pewnego dnia obudzę się na dobre. Wiem, zdaniem lekarzy prawie nie jestem w stanie samodzielnie oddychać. Wiem, że regularnie robią badania, i wiem, że wytrzymuję zaledwie kilka godzin, zanim ponownie uznają, że jestem zbyt słaba, aby nadal oddychać własnymi siłami. Mechanizm działania ludzkiego ciała jest naprawdę wyjątkowy. Ale także cudowny. Jak mogę nadal oddychać, choćby przez kilka minut, skoro zupełnie nic nie czuję?

Jeśli wybudzę się ze śpiączki, będzie to kolejna rzecz, o którą będę musiała zapytać. Ten mój lekarz, który pokazuje się zaledwie raz na tydzień, dostanie za swoje. To będzie prawdziwe przesłuchanie.

Jest sobota. Od wizyty mojej siostry minęły trzy dni, do następnych jej odwiedzin zostały cztery. Może rodzice dziś wpadną? W końcu w środę były moje urodziny.

I to było słodkie. Mogłam posłuchać przyjaciół, którzy dawno już tutaj nie zaglądali. Mogłam sobie wyobrazić, jak jedzą tort, zdmuchują moje świece i otwierają prezent dla mnie. I mogłam odkryć czyjeś istnienie.

Thibault. Zapamiętałam imię. To dziwne, bałam się, że je zapomnę. Co prawda stan wegetatywny w najmniejszym stopniu nie zaburzył mojej pamięci, ale i tak się bałam. I po raz pierwszy od sześciu tygodni nie przeżyłam w snach wypadku na nowo. Nic szczególnego mi się w ogóle nie śniło. Były tylko czerń i głębia. Wystarczy, by stwierdzić, że podziałało odprężająco.

Dziś rano, jak co dzień, przysła opiekunka medyczna, żeby zadbać o moją higienę. Umyła mnie prawie całą. Uczesała mi włosy – to znaczy, mam nadzieję, że nie narobiła żalostnego bałaganu. Są dość podatne na układanie, ale zajmowanie się bezwładnym ciałem z pewnością nie jest czymś oczywistym. Słyszałam, jak je szczotkuje, co zaś było później, już za bardzo nie wiem. Nie zawsze łatwo się domyślić, co ludzie przy mnie robią.

Musiałabym mieć z czym porównać. Ponieważ nie mam żadnych wspomnień czeszącej mnie matki, nie jestem w stanie powiedzieć, co zrobiła opiekunka. Za to wiem, że zapomniała mi posmarować balsamem usta, ponieważ nie słyszałam lepkiego pocierania sztyftu. Dwadzieścia cztery godziny to nie tragedia i nie jest przecież tak, jakbym prowadziła z kimś rozmowę, ale rzeczywiście dbam o usta.

W pracy zużywałam zawsze jedno opakowanie na miesiąc. Niektórzy dobywają telefonu na ulicy, jakby to było koło ratunkowe, ja w górach stosuję co godzinę balsam do ust. Inaczej wargi mam suche jak wiór – to nie jest przyjemne.

„Dla kogo?” – zapytacie. Dla mnie. Nieszczególnie dla mężczyzn, których całowałam, ale raczej dlatego, że ich całowałam. Wzajemny dotyk ust to prawdziwy cud. Lubię całować, nic nie poradzę. Z kolei nigdy nie używam szminki, nawet na wielkie okazje. To usypia zmysły.

A dziś opiekunka zapomniała. Zdaje się, że ktoś wywołał ją na korytarz. Spieszyła się, żeby skończyć, i czym prędzej wybiegła. Od tej pory słyszę jedynie popołudniowy szpitalny rozgardiasz. W soboty przychodzi w odwiedziny dużo osób. Tyle że nie do mnie.

Ach, tak! Przepraszam. Głupstwa opowiadam. Słyszę dźwięk otwieranych drzwi. Rozpoznaję chód matki i cięższy krok ojca. Oboje szepczą. Nie lubię tego. Zupełnie jakby przekroczyli właśnie próg kostnicy. Mam ochotę krzyknąć, że ciągle tu jestem – żywa obok nich – oni jednak nadal rozmawiają cicho, jakby nie chcieli, żebym usłyszała.

– ...ma prawo zadać sobie pytanie. To już prawie pięć miesięcy, Henry.

– Jak śmiesz tak mówić?

Warczenie ojca można usłyszeć nawet wtedy, gdy szepcze.

– Stawiam się na jej miejscu – odpowiada matka. – Co ja bym o tym wszystkim pomyślała? Czybym wytrzymała?

– Jesteś w ogóle w stanie sobie wyobrazić, jak by to było, być na jej miejscu?

– Próbuję! I przestań mi się sprzeciwiać wyłącznie po to, żeby mnie rozzłościć!

– Szukam wszelkich „za” i „przeciw”. Rozmawiamy o odłączeniu naszej córki. Nie o kolorze nowego dywanu!

Gdybym mogła poczuć, jak krew płynie mi w żyłach, poczułabym także, jak zamiera. Choćby z tego tylko powodu, że ojciec przed chwilą stanął

w mojej obronie. Po drugie, dlatego że rodzice zastanawiają się nad odcięciem mnie od aparatury elektronicznej.

- Ale może ona będzie nadal oddychać? – podsuwa matka.
- Będzie jak zwykle – po dwóch godzinach zaczniesz się dusić.
- Może ona nie chce dłużej walczyć.
- Przestań myśleć za nią! – ucina ojciec. – Nic o tym nie wiesz.
- Henry!
- Co?
- Zastanów się poważnie nad tą sprawą!

Na chwilę zapada cisza. Nie wiem, czy ojciec odpowiedział machnięciem ręki, czy ciągle jeszcze to przetrawia.

- Zgoda, zastanowię się. Ale nie dziś.

Celowo uciekam przed dalszym ciągiem ich rozmowy. Jestem gdzie indziej. Odpływam daleko, niemal mającę, jestem sama z własnymi myślami. Kiedy człowiek rozmawia sam ze sobą, może stracić głowę. Słuchanie innych czasami wprowadza jeszcze większy chaos.

Uzmysławiam sobie ich obecność w chwili, gdy szykują się do wyjścia. Powinna przestać to robić. Ci ludzie przychodzą tutaj, żeby się ze mną zobaczyć, żeby do mnie mówić. Pewnie mają nadzieję, że ich słucham. Przynajmniej tak jest z moją siostrą. Tymczasem ja poświęcam im ledwie pięć minut uwagi, cztery na początku, jedną na końcu. W gruncie rzeczy mam to jednak w nosie. Niby skąd mogliby o tym wiedzieć?

Rodzice opuszczają salę. Nie dostałam buziaka albo był tak lekki, że nie zdołałam go nawet usłyszeć.

Przygotowuję się właśnie, żeby zostać sama, gdy klamka się obraca. Pewnie matka zapomniała jakiejś części ubrania albo którejś z apaszek. Tylko że ten chód nie należy ani do niej, ani do ojca. Jest lżejszy i zarazem pełen wahania. To nie może być moja siostra, ponieważ ona od razu obwieściłaby swoją obecność. Pewnie opiekunka medyczna przyszła dokończyć to, co zaczęła rano. Kto wie, może sobie przypomniała, że nie posmarowała mi ust balsamem?

- Dzień dobry, Elso.

Szept dolatuje do moich uszu niczym bryza. Własne imię pojawia się w umyśle z siłą nawałnicy. Thibault. Wrócił. Nie wiem dlaczego. Mam ochotę wierzyć, że to dlatego, że sam miał na to ochotę. Nieważne. Jest tutaj, to będzie jakaś odmiana, nawet jeśli przyszedł tylko po to, żeby się przespać.

– Nadal tak bardzo pachnie tu jaśminem. Kto cię tym wszystkim smaruje?

„Opiekunka medyczna – chętnie bym odpowiedziała. – Matka przyniosła jej flakon olejku eterycznego. Może bierze go trochę za dużo?”

– Nie szkodzi, i tak ładnie pachnie.

Słyszę, jak zdejmuje kurtkę, słyszę nawet, jak rozwiązuje sznurowadła. Zamierza ułożyć się wygodnie, co oznacza, że zostanie. Mam ochotę skakać z radości.

Buty stoją w kącie, kurtka leży na meblu z tyłu. Podobnie sweter albo bluza. W sali musi być gorąco. Po kilku chwilach moje przypuszczenie się potwierdza.

– Ależ tu gorąco! Zostanę w samym podkoszulku, nie masz mi tego za złe? Nie obawiaj się, już dalej się nie rozbiore, w końcu ma się te maniery.

Słucham go chciwie, choć z trudem pojmuję jego zachowanie, sposób bycia, obecność. Dlaczego wrócił?

– Pewnie się zastanawiasz, dlaczego tu jestem, co? Przywiozłem matkę w odwiedzinie do brata. Leży w sali numer pięćdziesiąt pięć, nie wiem, czy pamiętasz. Niby dlaczego miałabyś zresztą cokolwiek pamiętać? Pewnie mnie także nie słyszysz, założę się, że jeśli dotknę twojego ramienia, nic nie poczujesz. Na litość boską, przecież ja gadam do ściany... Co ze mną jest?

Rozumiem jego zmieszanie, mimo to miałabym ochotę dać mu po gębie, żeby go przywołać do porządku i powiedzieć, żeby mówił dalej. Nikt mu nie powiedział, że trzeba mówić do ludzi w śpiączce?

– W ogóle się nie znam na śpiączce – odzywa się nagle. – Nigdy nie znałem nikogo, kto by był w śpiączce, i jeśli mogę tego uniknąć, to mi pasuje. Chyba ktoś wspominał, że można mówić, będę więc mówił. Chociaż wcale nie liczę, że mnie usłyszysz. Właściwie to może nawet wcale nie jest takie złe – coś w rodzaju darmowej wizyty u psychoterapeuty, z gwarancją, że nikt nie powtórzy tego, co powiem. Najpierw otworzę okno – nawet ja się gotuję, choć jestem zmarzlakiem. Nie pytam cię o pozwolenie – przecież i tak nie mogłabyś mi go dać.

Jestem mile zaskoczona. Po raz pierwszy ktoś nie okazuje uległości wobec mnie. Zwykle wszyscy odwiedzający dwoją się i troją, aby zachowywać się grzecznie, uprzejmie i przesadnie mi nadskakiwać. Thibault jest pierwszą osobą, która uznaje, że w gruncie rzeczy, skoro zredukowano mnie niemal do stanu warzywa, nie ma co się płaszczyć, aby pozostać w mojej sali.

Słyszę, jak okno przesuwa się w bok i do sali wpada powietrze. Wyobrażam sobie, że drzę.

– Brr! Ja też tu nie zostanę! – wykrzykuje Thibault. – O, tu będzie dobrze – dodaje, przyciągając krzesło z lewej strony łóżka.

Rozlega się nieco przytłumiony dzwonek.

– Cholera, nie wyłączyłem telefonu! Przepraszam, odbiorę. Chociaż i tak masz to zdecydowanie gdzieś.

Chce mi się śmiać. I nagle chce mi się płakać. Albo raczej chcę, żeby moje ciało było zdolne do płaczu. Nie ze smutku, ale z radości. Thibault jest również pierwszą osobą, która w ciągu sześciu miesięcy sprawiła, że mam ochotę się roześmiać. Nie udało się to nawet kiepskim dowcipom prezentera z radia salowej.

Ledwie rozpoczął rozmowę, słyszę, jak zamienia się w doradcę do spraw ochrony środowiska.

– Zaczekaj, co ty mi tu opowiadasz? Nie, te dokumenty jeszcze nie są prawomocne! Tych od wodociągów jeszcze nie było? Tak, wiem, że przy projekcie wiatrowym można mieć gdzieś wodociągi, ale takie jest prawo. Co? Góra na ciebie naciska? A, sam widzisz, że mają to gdzieś. No więc? Ach! Posłuchaj, jest sobota, wyluzuj. Ziemia nie rozleci się przez weekend, o ile jakiś świrnięty dyplomata nie wpadnie na zabawny pomysł, żeby rzucić bombę atomową. A wtedy mielibyśmy karnawał dwa miesiące wcześniej. Nikt już by się więcej nie przejmował tym projektem wiatrowym. Odetchnij więc trochę i przyjrzymy się temu razem w poniedziałek rano. Mogę przyjść wcześniej, jeśli chcesz. To by cię uspokoiło? OK, w takim razie niech będzie siódma. Ale za tak wczesną pobudkę trzeba zapłacić. Nie wiem... Może sok gruszkowy? Jasne, bardzo chętnie!

Thibault wybucha śmiechem. Mam wrażenie, że to najcudowniejszy dźwięk, jaki kiedykolwiek słyszałam. Natychmiast rysuję sobie ten śmiech w głowie. Nasuwa mi się skojarzenie z migoczącym płomieniem, ze złotymi skrzydłami, które wznoszą się i opadają w rytm jego głosu. Z każdym wybuchem śmiechu stopniowo rozjaśniają otaczający mnie mrok. Czepiam się tych skrzydeł przez chwilę. Gdy śmiech milknie, znikam niczym płomienie. Thibault wraca do rozmowy.

– Wobec tego do poniedziałku o siódmej!

Rozłącza się i kilkakrotnie dotyka ekranu telefonu.

– Gotowe, wyłączony. Już nam nie będzie przeszkadzał. To znaczy, mnie nie będzie przeszkadzał.

Słyszę, jak chowa urządzenie do kieszeni kurtki i siada na plastikowym krześle.

– Te krzesła wcale nie są wygodne. Mogliby tu wstawić coś bardziej miękkiego. Ty masz to gdzieś, ale dla ludzi, którzy cię odwiedzają, byłoby lepiej. Może wtedy zostawiliby dłużej.

To, co mówi Thibault, nie jest takie głupie, wątpię jednak, żeby zadał sobie trud i wspomniał o tym personelowi szpitala.

– Jestem pewien, że gdybyś na takim usiadła, myślałabyś podobnie. Pewnego dnia spróbujemy, jeśli zechcesz. Raczej jeśli będziesz mogła. Sam nie wiem, jakim cudem tu zasnąłem ostatnim razem!

Przesuwa się na krześle i opiera stopy o moje łóżko. Po kilku chwilach oddycha głęboko. Jak on to robi, że tak szybko zasypia? Musi mieć cudowne noce! Albo wprost przeciwnie, dlatego odbija sobie popołudniami.

Tak czy inaczej, podobnie jak za pierwszym razem wsłuchuję się w jego oddech. Przez długi czas.

Wsłuchuję się także w wiatr. Niedaleko mojej sali musi rosnać drzewo. Siostra opisywała mi kolory jesiennych liści. Być może to te same liście, które właśnie spadają. Chciałabym usłyszeć chrzęst żwiru i rozmowy na dole, ale jestem na piątym piętrze. Chciałabym usłyszeć ruch uliczny, klaksony, ale wszyscy wiedzą, że trąbienie w pobliżu szpitali jest zabronione.

Zimno mi.

Nie. Co ja wygaduję? Przecież nie może mi być zimno. Ja sobie po prostu wyobraziłam, że jest mi zimno.

Być może w pewnej chwili przysypiam. Nie wiem na pewno, ponieważ ciągle słyszę to samo. Wiatr i płynny oddech Thibaulta. Chciałabym, żeby się obudził i znów przemawiał do mnie bez uległości. Moje życzenie spełnia się kilka chwil później, gdy słyszę, że się poruszył.

– Brr... Nic przyjemnego.

Zapewne przeciera oczy i przeciąga się, zdejmując stopy z łóżka.

– Na drugi raz przyniosę jasiek!

Zamierza wrócić. Gdybym tylko mogła wrzasnąć z radości.

– I następnym razem nie otworzę okna. Ty pewnie nic nie poczułaś, ale tu jest naprawdę zimno jak w psiarni! Pozwól mi włożyć coś na siebie, zanim zamknę.

Okno się zasuwa. Liście przestają tańczyć na wietrze.

– Matka pewnie zachodzi w głowę, gdzie przepadłem. Zwłaszcza że powiedziałem, żeby do mnie zadzwoniła. Ale ze mnie kretyn!

Szuka telefonu, po czym go włącza. Dzwonek obwieszcza nadejście wiadomości.

– Jasne. Czeka na mnie. Dopiero od dwóch minut. Całe szczęście! Dobra, muszę lecieć.

Zawiązuje buty, wciąga kurtkę i rękawiczki. Dobrze znam ten dźwięk, tak często sama wkładałam dłonie w rękawiczki, że rozpoznaję go bezbłędnie. Thibault podchodzi bliżej, wiem, co zaraz nastąpi, i już się cieszę.

– Chodź, dam ci buziaka. To znaczy... tak się tylko mówi.

Podobnie jak pierwszego dnia, odsuwa przewody, którymi jestem podłączona do aparatury elektronicznej. Jego pocałunek jest zaledwie nieco dłuższy niż poprzednim razem, ja zaś umiejscawiam go gdzieś pośrodku policzka. Tylko Thibault zdobywa się na odwagę, żeby odsuwać całe to ustrojstwo.

– Masz chłodne policzki. Chyba nie powinienem był otwierać tego okna. Ale... Co się stało z twoimi ustami? – wykrzykuje, prostując się. – Są suche jak pieprz!

– Do diabła ciężkiego, chyba za to właśnie płacą pielęgniarce!

Oddała się i słyszę trzaskanie drzwi do szafy.

– Naprawdę nic nie zostawiły! Mój brat ma usta jak hollywoodzka aktorka po botoksie, a o tobie zapomnieli? To nie jest normalne. Każdy miałby ochotę pocałować cię w usta!

Tuż po tym następuje cisza. Mam wrażenie, że ktoś ciachnął nożyczkami ścieżkę dźwiękową, ale nie, słyszę lekki rejwach na korytarzu. Zastanawiam się, dlaczego Thibault tak nagle zamilkł. Pewnie znalazł opakowanie balsamu do ust.

– Użyję mojego.

Nie, nie znalazł. I, o dziwo, głos mu się zmienił. Stał się mniej energiczny, niższy. Niemal zażenowany.

– O, proszę. Teraz będzie lepiej. Nigdy nikomu nie smarowałem ust balsamem. Nigdy także nie szminkowałem warg moim byłym, powiedzmy więc, że jest w porządku. A nawet jak ci się nie podoba, to i tak niczego nie zmienia.

Zamknął sztyft z cichym trzaśnięciem.

– To lecę. Nara? Hi, hi, przecież mi nie odpowiesz. Mogę sobie tylko wyobrazić, jak każesz mi się wypchać, pewnie to też byłoby niezłe. W ten sposób nie musiałbym tłumaczyć najlepszemu kumplowi, że znów cię odwiedziłem z niewiadomych powodów.

Na tym poprzestaje. Słyszę westchnienie. Uznaję to za pożegnanie. Wyobrażam sobie, że się uśmiecha. O ile to możliwe, szczerze, nie ze smutkiem. Kroki się oddalają, drzwi się zamykają.

Prędko, do następnego tygodnia.

6.

THIBAULT

– Gdzieś ty był?

– Na spacerze.

– Aha.

Matka spuszcza głowę i wpatruje się we własne buty. Chyba zna je już na pamięć, skoro powtarza tę czynność od miesiąca.

– Coś ty robił? – drąży.

– Spałem.

– Ach tak?

– Tak.

Nie skłamałem, zdaję sobie jednak sprawę, że to małe przesłuchanie jeszcze trochę potrwa. Trzeba ważyć każde słowo, żeby nie musieć wyrębać całej prawdy.

– Znalazłeś do tego jakieś miejsce? – dziwi się.

– Jakieś miejsce. Spokojne.

Tym razem także nie skłamałem. Dorzuciłem nawet pewną informację w nadziei, że ona na tym poprzestanie, i rzeczywiście tak jest.

Matka lubi zadawać pytania, ale dość szybko się poddaje. Nie wiem, czy to, co czuje w stosunku do mojego brata, jest rezygnacją. Właściwie w ogóle nie mam pojęcia, co ona czuje – poza smutkiem, który przebija z każdego jej gestu i spojrzenia. Czuję się niegodziwy. Matka znajduje się obok mnie w całkowitej rozpacz, ja zaś nie robię nic poza spaniem u niej trzy razy w tygodniu. Ona także nie robi nic dla mnie, domaganie się od niej, żeby się mną zajmowała w takiej chwili, byłoby jednak skrajnym egoizmem. Dlatego się odzywam:

– Jak się miewasz?

Moje pytanie zaskakuje ją do tego stopnia, że przystaje, chociaż od samochodu dzielą nas zaledwie metry.

– Dlaczego o to pytasz?

– Najwyższy czas, co? No to jak się miewasz?

– Źle.

– Tego zdążyłem się domyślić. Chcę znać szczegóły, mam.

Patrzy na mnie tak, jakby zamierzała odkryć jakieś oszustwo w reklamie. Jak wtedy, gdy miałem osiem lat, ona zaś szukała głupoty na mojej gębie niewiniątka.

– Twój brat to niedzielny zabójca, ale nadal jest moim synem.

Właśnie dostałem zimny prysznic. Jej głos jest obojętny do granic możliwości. Przez cały ten czas sądziłem, że ona jest słaba i że nie potrafi zapanować nad emocjami. Fatalnie się pomyliłem. Moja matka to najsilniejsza osoba, jaką znam, po prostu trochę zbyt łatwo płacze.

– Jak ci się udaje pogodzić jedno z drugim? – pytam.

– Dzięki miłości, którą go darzę. Jest taka sama, jak ta, którą darzę ciebie.

– To wystarczy, żeby mu wybaczyć?

– Nie do mnie należy wybaczenie czegokolwiek...

Dalszy ciąg znam na pamięć, słyszałem go już bowiem mnóstwo razy.

– Ponieważ nie do ciebie należy osądzanie – dokańczam.

Kiwa głową.

– Ani ty, ani ja nie mamy prawa wydać żadnego osądu. Twój brat już i tak musi się uporać z osądem samego siebie. I choć przez całe wasze dzieciństwo ciągle powtarzałam, żebyście się nie osądzali, tym razem muszę przyznać, że to raczej dobrze, że ma aż tyle czasu, by się zastanowić. Jestem przy nim, jeśli mnie potrzebuje. Żałuję tylko, że nie wychowałam go dostatecznie surowo, aby mu uświadomić, że nie powinien był siadać za kierownicą miesiąc temu.

– Ze mną się udało.

– Z nim nie – wzdycha.

– Nie oskarżaj się!

– Nie oskarżam się. Żałuję, że dwie nastolatki straciły życie. Teraz twój brat jest dorosły. Sam musi sobie poradzić z własnym sumieniem.

Rusza dalej, następnie przystaje przed drzwiami od strony pasażera. Ja także podchodzę do samochodu i otwieram zamek. Jej głowa wystaje ponad dachem.

– W takim razie dlaczego tak często płaczesz? – pytam, nie patrząc na nią.

– Ponieważ mojemu synowi jest źle.

– To jego wina! – odpowiadam.

– Zapewne, ale jest mu źle, a moją rolą jako matki jest bycie przy nim.

– Będziesz go więc tak odwiedzać aż do rozprawy i nie przestaniesz, nawet jak znajdzie się w więzieniu?

Czuję, jak wzbiera we mnie gniew, mój ton staje się coraz bardziej napastliwy.

– Tak – szepcze.

Otwiera drzwi i siada w samochodzie. Ja stoję jeszcze na zewnątrz, z ręką na klamce. Oddycham głęboko, żeby się uspokoić, i również wsiadam.

– Zrozumiesz, jak będziesz miał dzieci – mówi, gdy zajmuję miejsce.

– Na razie nie mam.

– Na razie... – powtarza.

Na tym rozmowa się urywa. Jestem kłębkiem nerwów. Po raz pierwszy jednak dostrzegam coś pozytywnego – matka nie płacze. Myślę, że nasza wymiana zdań nią wstrząsnęła. Ona nawet sobie nie wyobraża, jak bardzo wstrząsnęła mną.

Piętnaście minut później wysadzam ją przed domem i oznajmiam, że przez kilka nocy zostanę u siebie. Przyjmuje to do wiadomości, nie okazując żadnych emocji. Mam wrażenie, że przywiozłem pod dom pustą skorupę. Już chyba wołałem, kiedy płakała.

Docieram do mieszkania zmarznięty na kość. Ogrzewanie w samochodzie jest kapryśne i akurat dziś zastrajkowało. Wchodzę pod wrzący prysznic, żeby przywrócić właściwą temperaturę ciała, i wychodzę z czerwoną skórą. Włosy widziane w lustrze wciąż są do niczego niepodobne. Wiem, że usiłowanie zaprowadzenia w nich jakiegoś ładu to strata czasu.

Wyjmuję maszynkę i zabieram się do golenia drobnego, trzydniowego zarostu. Zazwyczaj nie robię tego w sobotę. Na ogół raczej w poniedziałek, przed pójściem do pracy. Tym razem jednak jestem w odpowiednim nastroju.

Chyba przede wszystkim dlatego, że w ten sposób mam czym zająć ręce, kiedy umysł się gorączkuje. Ledwie bowiem kończę się golić, zabieram się do sprzątnięcia.

Rozmyślałam nad tym, co powiedziała mi matka. „Zrozumiesz, jak będziesz miał dzieci”. Spośród wszystkich obecnych niepewności to jedyna rzecz, której jestem pewien. Chcę mieć dzieci. Ostatecznie przekonały mnie do tego narodziny Clary. Przekonały nawet wszystkich moich przyjaciół,

którzy rozpaczliwie czekają, aż odnajdę swoją drugą połówkę. Gdyby tylko pogodzili się z myślą, że wcale jej jeszcze nie szukam.

Kiedy spędziłem noc u Julienu, zasnąłem, trzymając Clare w objęciach. Gaëlle zastała nas tak oboje około ósmej rano. Zrobiła nawet zdjęcie, zanim nas obudziła. Mam je w telefonie. Starannie je przechowuję. Dzięki temu będę mógł pokazać chrześnicy, jak ojciec chrzestny tulił ją, kiedy miała zaledwie kilka miesięcy.

Właśnie odkurzam, nie od razu słyszę więc dzwonek. Dopiero gdy ryk godny samolotu odrzutowego milknie, dociera do mnie, że ktoś wściekle wciska guzik dzwonka. Wkładam podkoszulek, w drodze do drzwi o mało nie zahaczam nogami o przewód odkurzacza.

– Dzień... Cindy?

Stoi przede mną moja była, z jak zawsze nienagannie przyciętymi włosami, z talią osy jeszcze bardziej widoczną, niż zapamiętałem. Sterczę zbity z tropu, z otwartymi ustami, z ręką znieruchomiałą na klamce.

– Dzień dobry, Thibault – mówi. – Mogę wejść?

Dukam coś jak kretyn, w końcu zapraszam ją do środka i wpuszczam do salonu. Po drodze Cindy cmoka mnie w policzek. Zamykam drzwi, nadal milcząc. Gdy się odwracam, właśnie zdejmuje płaszcz i buty na obcasach. Rozpoznaję czarne pończochy i spódnicę, które ma na sobie. Bluzka koszulowa jest nowa i muszę przyznać, że pasuje jej znakomicie.

Uśmiecha się, widząc, że się jej przyglądam. Kiedy wraca mi przytomność umysłu, biegnę włożyć spodnie.

– Co robisz? – pyta Cindy.

– Ubieram się – odpowiadam z sypialni.

– Przecież byłeś ubrany – zauważa.

– Nie tak, żeby przyjmować gości.

– Och, to tylko ja. Już się widzieliśmy nago, mogłeś więc zostać w szortach...

Wiem, że ma rację, wolę jednak wciągnąć spodnie. Znalazłszy rzucone na fotel dzinsy, czym prędzej je wkładam. Kiedy wracam do salonu, Cindy siedzi na kanapie i rozciera sobie stopy.

– Co za męka te obcasy! – skarży się.

– Nigdy nie mogłem pojąć, dlaczego wy to nosicie.

– Ponieważ to nadaje ładną linię. Nie sądzisz?

– Ja...

– A jednak lubiłeś to, kiedy...

Nie kończy zdania. Nie musi. Oboje znamy finał. Moje dobre wychowanie grzecznego i uprzejmego chłopca ratuje mnie z opresji, każąc mi pędzić do kuchni.

– Chcesz się czegoś napić?

– Chętnie napiłabym się wina, jeśli masz.

– Może mam w szafce, ale niczego nie gwarantuję.

– Ach tak, prawda. Pan-Sok-z-Owoców – dodaje ze śmiechem.

Przeszukuję szafki i w końcu znajduję jedną butelkę. Bez wątpienia pochodzi ona z czasów naszego zerwania, kiedy brat chciał mnie pocieszyć, urządzając naprędce przyjęcie. Wracam z dwoma napełnionymi kieliszkami. W jednym jest wino, w drugim sok gruszkowy.

– A ty co pijesz? – pyta Cindy.

– To co zwykle.

– Ach.

Zastanawiam się, czy pamięta o moich upodobaniach. Przeżyliśmy wspólnie dużo czasu, zawsze jednak odnosiłem wrażenie, że ona ciągle pozostaje „globalna”. Na początku mi to pasowało, po głębszym namyśle dochodzę jednak do wniosku, że brak w tym szczerości. Wiedziałem o niej wszystko, ją zaś szczegóły interesowały dopiero wtedy, gdy to było konieczne.

– Dobrze, w takim razie... Dlaczego tu jesteś? – pytam, wręczywszy jej kieliszek.

– O, nie tracisz czasu! – wykrzykuje i upija łyk.

– Musisz przyznać, że moje zdziwienie jest czymś normalnym, prawda?

– Masz rację. Wpadłam tylko, żeby się dowiedzieć, co słyhać.

W głowie otwiera mi się gra paragrafowa. Jeśli Cindy chce wpaść i zapytać, co słyhać, idź na stronę piętnastą. Znajduję się na stronie piętnastej, tam zaś jest napisane: „Alarm!”.

– Aha – odpowiadam niewinnie. – Cóż, jak widzisz, nic się nie zmieniło.

„Albo prawie nic” – uzupełniam w duchu, nie mam jednak ochoty opowiadać jej o ostatnich dniach.

– Jak się miewa Julien? – pyta. – Gaëlle urodziła?

– Tak, małą Clare. Jest cudowna.

– Gaëlle czy Clara?

– Obie.

Upija kolejny łyk wina i odstawia kieliszek. Mój telefon leży na stole, tuż obok.

– Proszę bardzo, jeśli chcesz ją zobaczyć – mówię, chwytając komórkę. Zamierzałem podać jej aparat, ale Cindy wstaje i siada przy mnie. Przesuwam zdjęcia aż do tego, na którym śpię obok Clary. Wpatruje się w nie długo bez słowa, po czym przenosi wzrok na mnie.

– Bardzo ładne. Dawno zrobione?

– Zaledwie kilka dni temu.

– Aha, nocowałeś u nich?

Kiwam potakująco głową. Zdaje się, że i ona ma otwartą grę paragrafową. Ja utknąłem na osiemdziesiątej stronie: „Zachowaj uprzejmość”.

– A co tam u ciebie? – odzywam się, żeby uniknąć zbyt niezręcznej ciszy.

– Co nowego?

– Och, zmieniłam oddział, ale bardzo mi się podoba.

– Jaki rejon ci przydzielili?

– Południowo-zachodni.

– To cholernie daleko!

– Tak, ale nadal trochę krążę w tę i z powrotem. Na przykład w ten weekend. Żeby się zobaczyć z rodziną, z przyjaciółmi.

– Ja się zaliczam do przyjaciół?

Tym razem przeskakuję nieco po stronie osiemdziesiątej i błyskawicznie trafiam na: „Podrażnij się z nią trochę”. Najwyraźniej jednak moje pytanie nie wprawia jej w zakłopotanie.

– Oczywiście! – odpowiada skwapliwie.

– Aha...

– A co? Nie nie jestem twoją przyjaciółką?

Brzmi to jak pytanie za dziesięć tysięcy euro. Strona siedemdziesiąta siódma: „Bądź szczery”.

– Stwierdzenie, że jesteś moją przyjaciółką, to trochę delikatna sprawa, zważywszy na wspólną przeszłość, zwłaszcza zaś na sposób, w jaki zakończyliśmy nasz związek.

– Ciągłe masz do mnie żal?

Prawdę mówiąc, sam nie wiem, ale ani mi się śni wdawać w niekończące się wyjaśnienia.

– Nie, jest w porządku.

– Dlaczego więc nie mógłbyś mnie traktować jak przyjaciółkę?

Wpatruje się we mnie ogromnymi oczami. Umalowała się elegancko, żeby je podkreślić, jestem również w stanie wyczuć zapach jej perfum.

O ile mnie pamięć nie myli, nadal używa tych samych, rozpoznaję bowiem woń, którą wdychałem przez lata. Odsuwam się nieco, aby nabrać dystansu. Kiedy zdążyła się tak bardzo przybliżyć?

– No, Thibault? Powiedz mi. Dlaczego?

Jej głos zamienił się w szept. Słyszę jej oddech i czuję zapach skóry przytłumiony przez aromat perfum. W głowie kłębią mi się wspomnienia, lecz mam ochotę je odpędzić. Tylko że jednocześnie...

– Ja... Nie wiem. To... trudne?

Moja odpowiedź dla mnie samego jest śmieszna, za to jedyna, jaką udaje mi się znaleźć.

Cindy bacznie mi się przygląda, mnie zaś momentalnie przelatują przez głowę obrazy wszystkich sytuacji, w których właśnie tak na mnie patrzyła. Widzę, że przewijają jej się przed oczami te same wspomnienia, własna gra paragrafowa zaś podsuwa rozwiązanie szybciej niż moja. Po chwili usta Cindy dotykają moich. Odpowiadam na jej pocałunek niemal odruchowo.

Niemal.

Jakaś część mnie napawa się tą bliskością.

Druga ma ochotę wymiotować.

Czuję, jak Cindy chwyta moją dłoń i przesuwa w kierunku swojej talii, drugą zaś błądzi po moich plecach. Przyciąga mnie ku sobie. W okamgnieniu kładę ją na kanapie.

– Ciekawe – mruczy, pożerając mnie pożądliwym wzrokiem. – Nie wiedziałam, że tak bardzo lubisz rządzić.

– Jest mnóstwo rzeczy, których o mnie nie wiedziałaś – odpowiadam zimno.

Widzę po oczach, że ton mojego głosu ją zaskoczył. Czym prędzej mówię dalej, zanim pożądanie znów weźmie górę.

– Co ty tu robisz, Cindy?

Sztywnieje. W jej grze paragrafowej najwyraźniej nie ma na to odpowiedzi.

– Nie! – ciągnę. – Właściwie wcale nie musisz odpowiadać. Domyślam się, konkretnie zaś mam to gdzieś.

Wstaję. Cindy nadal leży na kanapie. Jej spojrzenie się zmieniło. Obserwuje mnie, jakby próbowała wybrać między ścierką a szmatką do podłogi. Nie mam jej tego za złe, moja mina pewnie wyraża to samo.

– Wyjdź.

Milczy, ale spełnia polecenie. Patrzę, jak wzuwa buty, zapina górne guziki bluzki (kiedy je rozpięła?). Podaję jej płaszcz i otwieram drzwi, chociaż nie zdążyła go jeszcze włożyć.

– Zmieniłeś się – mówi, przekraczając próg.

– Gdybyś tylko mnie dobrze poznała, oszczędziłabyś sobie fatygi i nie przychodziła tutaj.

– Przynajmniej spróbowałam...

Zatrząskuję drzwi, nie dodawszy nic więcej.

Dawno zapomniałem o „Zachowaj uprzejmość”.

Na stole stoi jeszcze jej do połowy opróżniony kieliszek z winem i mój sok gruszkowy, którego nawet nie tknąłem. Chwytam kieliszek, idę do kuchni i wylewam jego zawartość, podobnie jak zawartość całej butelki. Wyrzucam wszystko do kosza na segregowane odpady – nie chcę natknąć się pewnego dnia na ten kieliszek.

Wróciwszy do salonu, nie mam nawet odwagi spojrzeć na kanapę. Przynoszę z sypialni narzutę i przykrywam mebel. Już jest lepiej. Pilotem włączam telewizor. Sączę sok gruszkowy, tak naprawdę nie zwracając uwagi na komentarze prezentera.

To było poniżające.

Oto dlaczego nikogo nie szukam.

7.

ELSA

Jest poniedziałek. Nikt do mnie nie zajrzy. Dni bez odwiedzin stały się przeraźliwie długie. Zwłaszcza odkąd Thibault wkroczył w moją namiastkę życia. Przy odrobinie szczęścia może przyjdzie w odwiedziny do brata – czy raczej przywiezie matkę do brata. W dni powszednie istnieje jednak ryzyko, że będzie zbyt zapracowany, aby znaleźć czas.

Przysłuchuję się krzątaniu opiekunki medycznej. Tym razem o niczym nie zapomina. Moim zdaniem teraz zajmuje jej to nawet trochę za długo. Zupełnie jakby szykowała mnie na jakąś uroczystość albo nie wiadomo na co. Wydaje się nawet, że uparła się szczególnie na usta, tak jakby zdała sobie sprawę, że poprzednio je zaniedbała.

Kończy w milczeniu, podobnie jak całą resztę toalety, następnie opuszcza salę. Kilka minut później drzwi otwierają się z hałasem, po czym do sali wdziera się fala zgodnych głosów i stukot kroków. Jestem pod wrażeniem tłumy ludzi. Skąd aż tyle osób?

Wyławiam spośród wrzawy kilka medycznych terminów. Kiedy jest zbyt dużo informacji, przestaję rozumieć, co się dzieje. Mam jednak dostatecznie dobrego nosa (tak się tylko mówi), żeby namierzyć ordynatora i grupę jego internistów. Ordynator to pewnie ten, który właśnie klasnął w dłoń, ponieważ natychmiast zgiełk cichnie i stopniowo zapada cisza.

Sądząc po oddechach, muszę mieć wokół siebie przynajmniej pięciu internistów lub stażystów. Stałam się cholernym podręcznikowym przypadkiem! Ordynator stoi u stóp łóżka. Bierze kartę, gdzie notuje się „etapy mojej szpitalnej kariery”, jak lubię je nazywać. Od dłuższego czasu nikt w niej już nic nie zapisuje.

– Oto przypadek numer pięćdziesiąt dwa – zaczyna lekarz. – Liczne urazy, w tym czaszki. Głęboka śpiączka od blisko pięciu miesięcy. Proszę zapoznać się z detalami.

Genialne, stałam się nie tylko szczególnym przypadkiem, ale na dodatek dostałam swój numer.

Karta najwyraźniej wędruje z rąk do rąk, ale nie na dłużej niż kilka sekund. Wśród lekarzy musi chyba panować pewna zasada, mianowicie taka, żeby nie wpatrywać się w żaden tekst zbyt długo. Może czytanie w kółko tego wszystkiego ich złości albo wolą sami zobaczyć. Albo może uczą ich pojmywać sedno problemu w pięć sekund. Jeśli tak, mogą zrewidować swoją wiedzę. Bardzo bym chciała, żeby znalazł się jeden, który pochyliłby się nad przypadkiem numer pięćdziesiąt dwa na dłużej niż pięć sekund, dzięki czemu by odkrył, że jestem w stanie słyszeć.

– Oto obraz mózgu. Rzecz jasna, są to najbardziej wymowne zdjęcia. Zamieściłem te zrobione przy jej przyjęciu w lipcu i te sprzed dwóch miesięcy. Słucham waszych opinii.

Tym razem zajmuje im to trochę więcej niż pięć sekund. Słyszę, jak szepczą, ale odpuszczam sobie szczegóły. Za dużo technicznych informacji, jak dla mnie, poza tym czuję, jak dopada ich stres. Wygląda na to, że właśnie poddano ich ocenie.

– A więc? – pyta ordynator. – Co można powiedzieć?

Głos zabiera jeden z internistów po mojej prawej stronie.

– Obraz od lipca do listopada się poprawił?

– Istotnie, ale wolałbym więcej szczegółów. Zawsze powinniście wyjaśnić, dlaczego akurat tak myślicie. Argumenty na piśmie mają jutro trafić na moje biurko. To wam przysporzy trochę roboty na dzisiejszy wieczór.

Słyszę pomruki sprzeciwu, ale wśród internistów szybko powraca spokój.

– Co jeszcze? – drąży ordynator.

– Panie doktorze? – wtrąca się któryś z internistów.

– Tak, Fabrice?

– Możemy szczerze porozmawiać?

– Tutaj zawsze rozmawiamy szczerze. Nawet jeśli to nie zawsze jest prawda.

– Możemy także nie owijać w bawełnę? – pyta internista o imieniu Fabrice.

– Między nami tak – odpowiada lekarz. – W obecności bliskich to nie do przyjęcia. Należy zawsze dostosowywać to, co się mówi, do osób, z którymi rozmawiamy. Teraz może pan zaczynać, słuchamy.

– Ee... Już po zawodach?

Słyszę ciche parsknięcia, ale śmiechy prędko ustają.

– To jasne, że nie owija pan w bawełnę, Fabrice – zauważa ordynator. – Rzeczywiście jednak ma pan rację. Wszystkie dane, które widzi pan przed sobą, komentarze rozmaitych lekarzy, którzy tu byli, i wyraźny brak postępów w ciągu ostatnich trzech miesięcy pozwalają sądzić, że ta osoba ma zaledwie dwa procent szans na wyzdrowienie.

– Tylko dwa procent? – powtarza internista.

– Zakładając hipotetycznie, że się obudzi, nie wiemy, jak bardzo uraz upośledził jej zdolności. Zważywszy na dotknięte obszary, można myśleć o mowie, o motoryce prawej strony, o zaburzeniach nerwów odpowiedzialnych za chwytanie, o niewydolności oddechowej, którą już zdążyliśmy zaobserwować, o...

Zmuszam się, żeby myśleć o czymś innym. Rozpaczliwie się staram oddalić od tego, co właśnie mówi ordynator. Nie chcę słyszeć ani słowa więcej z jego ust. Tylko że słyszenie to ostatnia rzecz, do jakiej jestem teraz zdolna, i po raz pierwszy chciałabym nie móc słyszeć.

Czepiam się ukradkowych myśli. Jedyłą, jaka przychodzi mi do głowy i jakiej potrafię się uchwycić, jest Thibault. Prawie nic o nim nie wiem, mogę więc wyobrazić sobie mnóstwo rzeczy. Pozwalam umysłowi błądzić przez chwilę, ale głos lekarza w końcu sprowadza mnie na ziemię.

– ...zatem dwa procent.

– To prawie zero, prawda? – pyta jeden z internistów, którego dotąd nie słyszałam.

– Owszem, prawie. Ale jesteśmy naukowcami i nie poruszamy się po strefie „prawie”.

– Oznacza to więc, że... – zaczyna internista.

– Że to zero – ucina lekarz.

Na korytarzu przewraca się z łoskotem wózek, jakby na przypieczętowanie mojego stanu. Interniści właśnie bazgrzą w notesach. Ordynator musi być z siebie zadowolony. Studium przypadku numer pięćdziesiąt dwa dobiegło końca. Może się zająć czymś innym. Koniec najwyraźniej jednak jeszcze nie nastąpił.

– Jaki jest kolejny etap? – pyta.

– Powiadomienie rodziny? – podsuwa internista, który odezwał się na początku.

– Tak. Już kilka dni temu rozmawiałem z nimi, żeby się zastanowili.

– Co powiedzieli? O ile to nie jest niedyskrecja...

– Że się zastanowią. Matka wyglądała na zrezygnowaną, ojciec był przeciw. Często będziecie świadkami takich sytuacji. Bardzo rzadko wszyscy bliscy się zgadzają. To niemal naturalny skutek sprzeciwu. Nie rozmawia się, ot tak sobie, o odłączeniu pacjenta pogrążonego w śpiączce od aparatury wspomagającej.

Nie podoba mi się sposób, w jaki lekarz wyraża się o moich rodzicach, ale muszę przyznać, że ma rację.

– Wydaje mi się jednak, że właśnie dopiero co to uczyniliśmy – odzywa się zniecierpliwiony pierwszy internista.

Nadstawiam ucha jeszcze mocniej niż poprzednio. Uwaga ta musiała zaskoczyć samego ordynatora, ponieważ nie odpowiada od razu.

– Może pan mówić jaśniej, Loris? – pyta ordynator z pozoru obojętnym tonem, który ledwie skrywa pewną oschłość.

– Terminy, które właśnie zastosowaliśmy, przybliżone szacunki, jakich dokonaliśmy. Twierdzi pan, że nie można rozmawiać, ot tak sobie, o odłączeniu pacjenta pogrążonego w śpiączce od aparatury wspomagającej, mimo to chyba obilo mi się o uszy, jak Fabrice twierdził, że „już po zawodach”, i wydaje mi się, że właśnie przeszliśmy od dwóch procent do zera. Jeśli to nie jest rozmawianie „ot tak sobie”, sądzę, że nie używamy tego samego języka.

Gdybym mogła się poruszyć, ucałowałabym internistę. Zdaje się jednak, że najpierw musiałabym stanąć w jego obronie, ponieważ z tonu ordynatora wnioskuję, że Loris będzie miał nocne dyżury przez długi czas.

– Podaje pan w wątpliwość diagnozę kolegów i przyszłych współpracowników?

– Niczego nie podaję w wątpliwość, panie doktorze – broni się internista.

– Po prostu uważam obcesowość w stosunku do osoby, która, jak wynika z najnowszych doniesień, ciągle oddycha na naszych oczach, za osobliwą.

– Loris – ciągnie ordynator, jakby próbował sam sobie nakazać większą cierpliwość – jeśli nie potrafi pan znieść tego, że musi kogoś odłączyć, nie ma pan czego szukać w tym zawodzie.

– Nie chodzi o to, czy potrafi się znieść czy nie, panie doktorze. Chodzi o fakty. Mówi pan: dwa procent. Dla mnie to dwie szanse na sto. To nie jest zero. Moim zdaniem nie mamy zera, ciągle istnieje nadzieja.

– Pan nie jest tutaj po to, żeby mieć nadzieję, Loris.

– W takim razie po co tutaj jestem? – odpowiada z zamierzoną zuchwałością internista.

– Po to, aby stwierdzić, że ten przypadek jest rozwiązany. Że decyzja zapadła. Że to koniec. Ożywienie tej pacjentki jest niemożliwe. Jak powiedział pański kolega, już po zawodach. I mało mnie obchodzi, że to określenie się panu nie podoba.

Tym razem coś mi mówi, że młody Loris będzie miał nocne dyżury w ciągu całego stażu.

W mojej sali panuje cisza. Wyobrażam sobie, jak Loris wytrzymuje przez chwilę spojrzenie swojego nauczyciela, po czym spuszcza wzrok. Wyobrażam sobie, jak cała reszta udaje, że coś zawzięcie notuje. Przynajmniej narada dobiegła końca.

Przykro jest być świadkiem tego rodzaju sytuacji, zwłaszcza jeśli to dotyczy nas. Trzeba jednak wierzyć, że znów się pomyliłam.

– Proszę bardzo, Loris. Skoro najwyraźniej jest pan tak mocno przywiązany do tej pacjentki, sam pan spisz wnioski z obchodu.

Słyszę, jak rejestr mojej szpitalnej kariery przemieszcza się na prawo. Następnie kilka skrobnięć ołówkiem i karta wędruje do rąk lekarza.

– Hm... Dobrze pan to ujął, Loris. Gdyby nie pański upór, z pewnością wybrałbym właśnie pana, jak tylko pański staż dobiegnie końca. Niemniej jednak pominął pan pewien szczegół.

– Jaki?

Młody internista nie wydaje się już tak rozmowny i potrafię go zrozumieć. Ten cały ordynator zaczyna mi poważnie grać na nerwach.

– Na pierwszej stronie – ciągnie ordynator. – Możemy dodać to.

– Co to znaczy? – pyta inny internista.

– Loris? – zwraca się do stażysty lekarz. – Może pan odpowiedzieć koledze?

W myślach doskonale widzę zaciśnięte pięści i szczęki internisty, który już od progu cały czas mnie bronił. Nie mam jednak najmniejszego pojęcia, co zostało dopisane na pierwszej stronie mojej karty.

– To znaczy, że oficjalnie ogłaszamy zamiar odłączenia pacjentki i po prostu czekamy na zgodę rodziny, aby ustalić datę.

8.

THIBAULT

Dziś czuję się dobrze. Mimo że wstałem wcześniej niż zwykle.

Pomogłem koledze przy jednym z projektów wiatrowych. Zasłużyłem na butelkę soku gruszkowego. Był to znakomity prezent, który prędko skończyłem, choć już po przebudzeniu miałem dobre przeczucia.

Rankiem, kiedy dociera do mnie dlaczego, mam ochotę się roześmiać.

Jest poniedziałek i powinienem wieczorem zawieźć matkę do szpitala. Po raz pierwszy myślę o tej podróży z uśmiechem.

– Thibault, skąd ta głupia mina?

Zostawszy brutalnie wyrwany z zadumy, widzę przed sobą kolegę, któremu rano pomagałem. Patrzy na mnie spod oka, jakby zamierzał wyczytać coś z mojego podbródka. Wyczuwam na kilometr zbliżające się pytanie, ciekawią mnie jednak także odpowiedzi, jakich mógłbym udzielić.

– Ee... Co masz na myśli? – pytam bez sensu.

– Ten uśmiech – odpowiada, wskazując moje usta.

– Przecież sam także właśnie się uśmiechasz! – bronię się.

– To dlatego, że robię sobie z ciebie jaja – śmieje się. – No to skąd ta rozanielona mina?

– Odwal się!

– Czyli że to dziewczyna.

– Odwal się, mówię!

– Czyli że tak, to dziewczyna! Hej, ludzie! Thibault ma...

Chwytam kolegę za ramię i zatykam mu dłonią usta. Z pewnością jestem żaloszny, udając gangstera, którego zaraz zdemaskują, dlatego kolega parska śmiechem przez moje palce. Pojawszy jednak, że nie życzę sobie, aby posuwał się dalej, milknie.

– To bardziej skomplikowane – mówię, cofając dłoń, która i tak na nic się nie przydała.

– Zgoda – odzywa się z uśmiechem kolega. – Opowiesz nam, jak dowiesz się więcej!

Oddała się, puszcżając oko. Z powrotem pogrążam się w zadumie.

Rzeczywiście, to bardziej skomplikowane. Właśnie ogarnia mnie radość na myśl, że zobacę się z dziewczyną w śpiączce.

Dzień upływa mi na pracy i różnych rozważaniach, które nieodmiennie prowadzą ku Elsie. Kilkakrotnie rozmyślam o bracie. Gdy mija siedemnasta, myślę tylko o tym, żeby się pospieszyć.

Wpadam do domu po matkę. Odnoszę wrażenie, że czuje się lepiej. Zatrzymuję się na szpitalnym parkingu i wysiadamy z samochodu. Zdaje się, że ciągle mam na twarzy ten głupi uśmiech.

– Co się z tobą dzieje, Thibault? Wyglądasz dziś na szczęśliwego.

– Nic specjalnego.

W przeciwieństwie do kolegi, od razu zadowolona się tą odpowiedzią. Zgadzam się jechać windą, zamiast iść schodami. Wkraczamy na korytarz na piątym piętrze.

– Nadal nie chcesz wejść? – próbuje matka.

– Nie.

– Co będziesz robił przez ten czas?

– Na pewno spał. Może mówił.

– Mówił do kogo? – dziwi się.

– Do ściany – odpowiadam z westchnieniem.

Stoimy przed drzwiami do sali numer pięćdziesiąt pięć. Patrę, jak matka wślizguje się do środka. Przez moment dostrzegam łóżko brata. Na pościeli leży masa rzeczy. Papier ozdobny, czasopisma, piloty. Sądząc po dobiegających odgłosach, telewizor jest włączony. Waham się przez sekundę, następnie pozwalam, żeby drzwi się zamknęły.

Nie. Jeszcze nie jestem gotów.

Odwracam się plecami do sali numer pięćdziesiąt pięć i zbliżam do tej z numerem pięćdziesiąt dwa. Uchylam drzwi, żeby tylko wsadzić głowę. Doskonale, nikogo nie ma. Delikatnie zamykam za sobą drzwi, jakbym się bał obudzić przebywającą tu osobę. Ale heca, nie potrafię się zdecydować, jak mam się przy niej zachować.

Nie postąpiłem nawet czterech kroków, a już wiem, że coś się zmieniło. Wyczuwam różnicę, która w ogóle mnie dobrze nie nastraja. Jedna część sali jest za czysta, przy wejściu jednak widać na podłodze mnóstwo śladów po butach. Woń jaśminu przyćmiła wiele innych zapachów, kiedy zaś podchodzę do łóżka, zauważam liczne strzępki gumki do ścierania.

Byli tu dziś jacyś ludzie. To dziwne. Może rodzina Elsy, choć to byłoby naprawdę zaskakujące. Może jej przyjaciele? To już bardziej prawdopodobne. Tłumaczyłoby liczne ślady na podłodze. Nie bardzo tylko rozumiem, po co mieliby rysować. Czym prędzej daję sobie jednak z tym spokój i skupiam się na Elsie. Albo raczej skupiam się na temacie „Elsa i ja”.

Od rana wpadam niemal w euforię na myśl o powrocie do tej szpitalnej sali.

To nie jest normalne.

W kółko to sobie powtarzam. To nie jest normalne. To nie jest normalne. Nie ma nic normalnego w ekscytowaniu się odwiedzinami u pacjentki, która się nie rusza, nie czuje, nie myśli i nie mówi, na dodatek jest mi osobą zupełnie nieznaną.

Po raz nie wiadomo który, odkąd zabłądziłem w szpitalu, zadaję sobie pytanie: co tutaj właściwie robię. I po raz nie wiadomo który wciąż nie znajduję na nie odpowiedzi. To nic takiego, człowiek ma prawo nie wiedzieć od czasu do czasu. Właśnie tak mawia mój szef, tylko że natychmiast dodaje: „Pod warunkiem, że to nie trwa dłużej niż jeden dzień”. Tym razem mocno przekroczyłem okres doby. Chyba powinienem ustalić sobie granicę.

Nie mogąc wybiegać myślami naprzód, wysuwam nogi w kierunku wepchniętego w kąt krzesła. Wygląda na to, że w sali wszyscy zajmowali pozycję stojącą. Porzucam kartę w nogach łóżka. O ile zrozumiałem w czasie pierwszych odwiedzin, lekarze niechętnie rozgadują się na temat tych świstków papieru. Z tego zaś, co widzę przed sobą, nie ma ani więcej, ani mniej przewodów, rurek czy innych urządzeń, które łączą Elsę z życiem ziemskim.

Zupełnie jakby od ostatniego razu nic się nie zmieniło.

Może właśnie dlatego uparcie tutaj wracam.

Nagle wydaje mi się to oczywiste, do tego stopnia, że aż cicho wzdycham. Jasne, że wracam tutaj z tego powodu! W tej sali nic się nie zmienia. Elsa ciągle tu jest, niewzruszona, nieruchoma. Oddycha zawsze w tym samym rytmie. Jej rzeczy zawsze leżą w tym samym miejscu, przynajmniej ta odrobina, która się tutaj znajduje. Jedynie główne krzesło przejeżdża o kilka centymetrów lub metrów, ale gdyby nie to, można by powiedzieć: bańka, w której czas się zatrzymał.

Bańka, do której mam chwilowy dostęp.

Jak długo pozostanę w tej bańce? Jak długo Elsa pozostanie w tej bańce?

Siadam, mrużąc. Genialne, dopiero co znalazłem odpowiedź na jedno pytanie, a już dokładam dwa następne! Moja granica jest więc ciągle aktualna.

Zastanawiam się przez chwilę. Mamy poniedziałek. Może za tydzień? Jeśli ustalę termin na przyszły poniedziałek, aby podjąć decyzję co do tych odwiedzin, powinno na pewno się udać. Z drugiej strony nie mam przecież setki możliwości. Albo będę to ciągnął, albo przestanę. Co do Elsy, albo nadal będzie spać, albo się obudzi. Nie będę miał żadnej szansy, żeby znaleźć odpowiedź dla Elsy, mogę za to znaleźć ją dla siebie. Na razie – dziś – decyduję się na odroczenie. Przestaję zadawać sobie pytania.

Zdażyłem już ściągnąć buty i zdjąć kurtkę. Zimą ta kurtka przypomina skafander kosmiczny. Chowam w niej rękawiczki, szalik, dokumenty, kluczyki samochodowe, klucze do domu, mojego i matki. Można by sądzić, że taszczę ze sobą całe mieszkanie. A przecież to mało! I nie to, żeby w moim mieszkaniu było dużo rzeczy.

Nie chciałem zatrzymać niczego, co mieliśmy wspólnie z Cindy, wobec tego pozbyłem się sporej liczby potrzebnych i niepotrzebnych przedmiotów. Matka często powtarza, że powinienem nadać mojemu mieszkaniu nieco osobistego charakteru, ale powtarza również mnóstwo rzeczy, które celowo ignoruję, ta zaś właśnie do nich należy.

Rozsiadam się wygodnie na krześle, a przynajmniej próbuję. Mruczę po raz kolejny, uświadomiwszy sobie, że zapomniałem o jaśku albo czymkolwiek innym, aby sztywny plastik stał się bardziej miękki. Rzucam okiem na kurtkę. Zdecydowanie nie ma szans, żeby zdołała wyściełać całe krzesło. Rozglądam się dokoła, jakby w nadziei, że natychmiast znajdę rozwiązanie. Nic nie ma. Wchodzę do przyległej łazienki z prysznicem, która do niczego nie służy, i utwierdzam się w przekonaniu: nie służy do niczego, ponieważ nie ma w niej ani ręcznika, ani szlafroka, które mogłyby mi zastąpić jasiek. Wracam do sali i dostrzegam jedyną możliwość. Waham się i uzmysławiam sobie, że od samego przyjścia dałem dowód wspaniałego braku uprzejmości.

– Cholera! Ee... Przepraszam, Elso. Dzień dobry. Zupełnie wyleciało mi to z głowy, jak tu wszedłem. Rozmyślałem. Owszem, to mi się zdarza... W mojej głowie kłębi się zbyt dużo myśli, żebym ci o nich wszystkich opowiadał, będziesz się więc musiała tym zadowolić. Poza tym, szczerze mówiąc, to wcale nie oznacza, że pomogłabyś mi znaleźć odpowiedzi.

Rozglądam się dokoła po raz ostatni. Nie do końca podoba mi się rozwiązanie, które znalazłem, ale zawsze to lepsze niż nic. Kto wie zresztą? Jedyna osoba, której mogłoby to przeszkadzać, nawet się nie zorientuje.

Zbliżam się do łóżka i wsuwam dłonie między przewody. Kiedy palce zaciskają się na poduszce, mięśnie same sztywnieją. Nie mogę. Choćby tylko z tego powodu, że bezwładne ciało jest jednak ciężkie i nawet jeśli Elsa nie powinna ważyć więcej niż pięćdziesiąt kilogramów, nadal jest to poważny ciężar. Po drugie, w gruncie rzeczy nie wyobrażam sobie, żebym miał ją pozbawić wygody, mimo że i tak nic by nie zauważyła. Mam wrażenie, że kogoś wykorzystuję. To zupełnie do mnie niepodobne.

Tkwię tak bez ruchu przez kilka sekund, po czym zabieram rękę i starannie odkładam na miejsce przewody, rurki i całą resztę. Elsa nie drgnęła ani na jotę. Ogólnie nie bardzo widzę, dlaczego miałyby być inaczej.

– Pamiętasz, jak powiedziałem, że krzesło jest niewygodne? – odzywam się, wracając do plastikowego siedziska. – Cóż, nic się nie zmieniło! Zamierzałem zabrać ci jedną z poduszek, ale, jak się zdaje, jesteś do nich nieźle zakotwiczona. Nie byłoby to zresztą zbyt grzeczne z mojej strony. Tym razem trudno! Wytrzymam na twardym jak deska krzesło, a ty poleżysz sobie wygodnie w pościeli.

Po dwóch minutach jestem bardziej pewien niż kiedykolwiek, że to krzesło to narzędzie tortur wymyślone, aby zniechęcić odwiedzających. Lekarze i pielęgniarki nie lubią, jak w salach jest zbyt dużo gości. Dzięki tego rodzaju meblom mają pewność, że ludzie nie zabawią zbyt długo. Wiercę się na plastiku, poważnie rozmyślając o tym, żeby sobie pójść. Wystarczyłoby umościć się w samochodzie i poczekać na matkę.

Tylko że ja nie chcę odejść.

Kartki gry paragrafowej przewracają się w mojej głowie i od razu otwierają się na stronie trzynastej: „Pozostało ci ostatnie rozwiązanie”.

Tak, wiem, na czym polega to rozwiązanie, ale – szczerze mówiąc – nie jest najlepsze. Właściwie jest zupełnie odjechane i jeśli ktoś wszedłby do sali, w tej sytuacji nie wykpiłbym się zdaniem „Jestem przyjacielem”.

Wzdycham po raz czterdziesty, odkąd tu przyszedłem, i wstaję. Czuję się jak dzieciak, który za chwilę przyzna się rodzicom, że nabroił. Tylko że teraz już uprzedzę, zanim to zrobię.

– Dobra, Elso. To krzesło po prostu w ogóle się dla mnie nie nadaje. Albo więc sobie pójdę, albo... trochę się posuniesz.

Zacząłem już okrążyć łóżko, żeby położyć się od strony okna. Mam wrażenie, że tam jest więcej miejsca, ale to tylko wrażenie, ponieważ Elsa znajduje się idealnie pośrodku, z dokładnością do jednego centymetra, aby materac dobrze się dopasował do ciężaru jej ciała. Kieruję się w tę stronę przede wszystkim po to, żeby zapewnić sobie rodzaj ochrony, gdyby ktoś wszedł do sali. Przy odrobinie szczęścia nie od razu zauważą, że leżę. Przy dużym szczęściu nikt tu nie wejdzie. A przy paskudnym szczęściu ludzie będą patrzeć z politowaniem, jak chowam się za pacjentką pogrążoną w śpiączce.

Ponownie wsuwam ręce pod Elbę, pilnując, żeby chwycić wraz z nią prześcieradło. Nie jestem w stanie położyć dłoni bezpośrednio na koszuli nocnej, która okrywa jej wątłe ciało. Usiłuję ją dźwignąć i ociupinkę przenieść, jednocześnie nie zawadzając o przewody ani nic innego. Porażka.

Czterdzieste pierwsze westchnienie od wejścia. Biorę kartę wiszącą w nogach łóżka. Kiedy ją przyjmowano do szpitala, Elsa ważyła pięćdziesiąt cztery kilogramy. W tym stanie musiała bez trudu stracić sześć, o ile nie więcej. Na litość boską, nie potrafię nawet unieść czterdziestu ośmiu kilogramów. Będę musiał potrenować.

Porzucam pomysł przemieszczenia Elsy i poprzestaję na przełożeniu wszystkich przewodów na drugą stronę. Wyciągam się cicho obok niej, wyprostowany jak struna na trzydziestocentymetrowym skrawku materaca, jaki mi został, i momentalnie się odprężam. Powstrzymuję krzyk.

Materac jest dziwny. W niczym nie przypomina tego u mnie w domu – to pewne, nie jest to również model, który bym znał. Trybiki w mojej głowie dość szybko wskakują jednak na swoje miejsce. Elsa leży – czy raczej na wpół siedzi – na tym ustrojstwie od wielu tygodni, jest to więc sprzęt przystosowany do tego typu sytuacji.

Wyciągam się ponownie, uspokojony, plecami do Elsy. Mimo braku aktywności jej ciepłe ciało jest dla mnie niczym kołdra.

Te materace są naprawdę wygodne...

Zasypiam w niecałe dziesięć sekund.

9.

ELSA

Myślę, że gdybym mogła się poruszyć, wcale bym tego nie zrobiła. Nadal tkwiłabym nieruchomo, żeby na pewno mu nie przeszkodzić. Leżałabym cicho, żeby na pewno go nie obudzić. Może pozwoliłabym sobie na nieznaczące przewrócenie się na bok tylko po to, żeby patrzeć, jak śpi, ale dalej bym się nie posunęła.

Śledziłam całą gimnastykę Thibaulta z rosnącą ciekawością. Nigdy bym się nie spodziewała, że położy się obok mnie. To, że ktoś usiłuje zasnąć na tym samym łóżku co osoba w śpiączce, mogłoby się wydać chore, ale mój gość zaskakuje mnie po raz kolejny. I pomyśleć, że matka ledwie ma odwagę mnie dotknąć. Thibault dosłownie się do mnie przykleił. To znaczy – tak sędzę. Moje łóżko także nie jest przesadnie ponadwymiarowe. Z pewnością niektóre partie naszych ciał stykają się ze sobą.

Dotyk... Szalałabym z radości z jego powodu niczym dzieciak na widok lodów czekoladowych. Już prawie dwadzieścia jeden tygodni, jak nie doświadczyłam najłżejszego bodźca dotykowego. Szczególnie że ostatni taki bodziec zapewnił mi śnieg na całym ciele. Takie wspomnienie to żadna rewelacja. Oddałabym więc z radością całą kolekcję karabińczyków, byleby poczuć przy sobie choć jedną cząsteczkę Thibaulta. Dzieliłby nas stos ubrań i pościeli, cóż jednak z tego – jego ciepło i tak przeniknęłoby przez nie, i to by wystarczyło.

Prawdę mówiąc, dotyk mogłabym wypróbować na czymkolwiek. Opiekunka medyczna myje mnie codziennie, siostra regularnie kładzie na mnie dłoń, przynajmniej tak mi się wydaje, a gdy przychodzą Steve, Alex i Rebeka, dostaję buziaka w czoło. Tylko że Thibault to co innego. Moja uprzywilejowana więź. Haust tlenu. Haust tlenu, o którego wyglądzie ciągle nie mam najmniejszego pojęcia.

Odruchowo wysyłam do mózgu polecenie, żeby pokręcić głową i unieść powieki. Uświadamiam sobie absurdalność tego wszystkiego, umieszczając

na liście kolejny etap: „Nakazać moim neuronom, żeby przywróciły aktywność oczom”. To na nic. Powiedzieli tak dziś rano.

Natychmiast ogarnia mnie przygnębienie i zaczynam nienawidzić lekarzy, przyszłych lekarzy, stażystów i internistów, w tym także tego, który bronił mnie w taki czy inny sposób. Wszystkich bez wyjątku. W szale wściekłości wyobrażam sobie, że mają ohydne twarze i wybuchowe usposobienia. Posuwam się nawet do myśli, że przynajmniej jeden z nich pewnego dnia w swojej karierze postawi błędną diagnozę, ale czym prędzej cofam własne słowa.

Nie. Błędna diagnoza oznaczałaby tragedię kogoś, kto nie zostałby wyleczony. Nie mogę im tego życzyć. Zwłaszcza że tym kimś mogłabym być ja.

Mogłabym być ja...

Mogłabym być ja!

Nie będąc w śpiączce, zerwałabym się, wykrzykując coś w rodzaju: „Eureka!”, zadowolam się jednak złożeniem sobie w duchu gratulacji. Przy tej całej historii z dwoma procentami, z której nic nie rozumiałam, ta błędna diagnoza to mogłabym być ja.

Z miejsca poprawia mi się humor. Mam wrażenie, że jestem huśtawką na placu zabaw dla dzieci.

To mogłabym być ja. Mogłabym się obudzić, udowodnić im, że się mylą. W końcu żaden z nich nawet nie przypuszcza, że mogę słyszeć, a przecież właśnie tak się dzieje. Gdybym tylko zdołała otworzyć oczy albo dać jakikolwiek znak życia...

Pozostaje jedynie pytanie: Jak tego dokonać? Na razie ograniczam się do słyszenia i czekania. Lecz czy naprawdę spróbowałam zrobić cokolwiek innego?

Pięć minut temu dosłownie odrzuciłam próbę pokręcenia głową. Nie uczyniłam żadnego wysiłku, nie pojmowałam, dlaczego miałabym to zrobić. Oni wszyscy są tacy kategoryczni. Tylko że żaden z nich nie był w śpiączce, tak jak ja, dlatego te ich teorie... Nagle ośmielam się w nie wątpić.

Jakaś część w głębi mnie jest również zmuszona przyznać, że ten cały ordynator mnie rozzłościł. Chciałabym móc się obudzić choćby po to, żeby zagrać mu na nosie. Dziś jednak, dokładnie w tej chwili, czuję, że chciałabym się obudzić z innego powodu. I aż do teraz nigdy nie uczyniłam

wysiłku, żeby spróbować. Nie przeszło mi to nawet przez głowę. A przecież tylko to mam do roboty. Myśleć.

Oczywiście wysiłek oznacza na ogół, że człowiek ma kontrolę nad własnymi mięśniami, nie mówiąc o całkowitej władzy nad umysłem. Nie kontroluję ani jednego, ani drugiego, z wyjątkiem sfery słuchu, ale skoro ta część zgodziła się funkcjonować na nowo, dlaczego inne by nie mogły? Pozostaje jeszcze kwestia „tajemnicy”, jak zwykł mawiać Steve: Jak zamierzam się do tego zabrać?

Odpowiedź przychodzi natychmiast. Zupełnie jakby tylko czekała na ten moment, żeby się pojawić. Nie pozostało mi nic innego, jak myśleć, ponieważ obecnie jestem zdolna wyłącznie do tego. Myśleć, że właśnie odwracam głowę. Myśleć, że właśnie unoszę powieki i że z powrotem wprawiam w ruch źrenice. Żywić niezachwiane przekonanie, że to potrafię.

Czym prędzej zabieram się do dzieła.

Ukryty cel bardzo pomaga. Racja, nie jest już taki ukryty. Strasznie chcę zobaczyć Thibaulta. Jeśli uda mi się odwrócić głowę, co i tak już będzie nie lada wyczynem, następnie otworzyć oczy i widzieć, co będzie zakrawało na prawdziwy cud, wtedy zdołam być może się przekonać, jak wygląda mój ulubiony gość.

Własne myśli przyprawiłyby mnie tym razem o rumieńce, ale w końcu rodzice nie tryskają znów takim humorem w czasie odwiedzin. Z kolei Steve, Alex i Rebeka nie wpadają zbyt często. Mam niewielki wybór, komu mogę wręczyć medal.

W czasie całej drzemki Thibaulta nakazuję sobie odwrócić głowę i otworzyć oczy. Wykonuję obie czynności na przemian, ponieważ muszę szczerze przyznać, że operacja jest naprawdę męcząca, ale motywuje mnie oddech tymczasowego współlokatora łóżka. Przy każdym jego wdechu wyobrażam sobie, że odwracam głowę, przy każdym wydechu zaś wyobrażam sobie, że otwieram powieki. Za każdym razem mam przed oczami nieco inny obraz Thibaulta. Istnieją jednak pewne punkty, które, zdaję sobie z tego sprawę, się nie zmieniają. Jestem na przykład przekonana, że ma ciemne włosy, chociaż zupełnie nie wiem, dlaczego tak uważam.

Kontynuuję moje wysiłki umysłowe tak długo, aż słyszę jakiś ruch po prawej stronie. Dociera do mnie, że Thibault nie tylko porusza się we śnie, ale również, że na dobre się budzi. Musiała upłynąć dobra godzina, odkąd

się zdrzemnął, a ja usiłuję na próżno odwrócić głowę. O ile jestem pewna, że rzeczywiście spał, nie mogę powiedzieć tego samego o mojej nowej aktywności. Nie mam najmniejszego pojęcia, jakie są rezultaty, oprócz tego, że nie odczuwam absolutnie żadnej zmiany.

Z zadumy wyrywa mnie chrapliwe westchnienie Thibaulta. Sądząc po odgłosach, siada, wstaje, następnie nieruchomieje. Zaczynam się zastanawiać, dlaczego tak tkwi, gdy jego regularny oddech w odległości półtora metra ode mnie nagle zamiera.

– Cholera! Twoje przewody!

Jego okrzyk powinien mnie poderwać na równe nogi. Ciekawi mnie, co jest nie tak z przewodami.

– Ach! Musiałem cię chyba odepchnąć przez sen i całe to ustrojstwo się naciągnęło! Na szczęście żaden przewód się nie rozłączył!

Jego psioczenie niemal mnie bawi, ale nie przypominam sobie, kiedy niby miałyby się poruszyć aż tak mocno, żeby spowodować to, o czym właśnie powiedział. Słyszę, jak poprawia otaczające mnie przewody. Często zadawałam sobie pytanie, jak muszę wyglądać z tym całym „ustrojstwem”, jak je nazywa. Za pierwszym razem powiedziałam sobie, że pewnie sprawiam wrażenie owada w pajęczynie. Później wolałam sobie powtarzać, że jestem karabińczykiem w systemie bloczków, w uprząży do wydobywania ludzi ze szczelin. To bardziej do mnie przemawia i z pewnością brzmi bardziej elegancko. Przede wszystkim zaś zawiera w sobie pojęcie ratownictwa. Z kolei w drugim wypadku...

Wokół mnie nadal coś się dzieje, gdy otwierają się drzwi do sali. Thibault chyba zamienił się w słup soli, ponieważ nie słyszę już ani jednego dźwięku dobiegającego z jego strony. Wchodzi kolejny przybysz. Thibault nadal się nie odzywa.

– Dzień dobry. Pan jest z rodziny?

Rozpoznaję głos internisty, który bronił mnie dziś rano. Teraz, kiedy wiem, do kogo należy, zastanawiam się, co on tu robi, chociaż bardziej interesuje mnie odpowiedź Thibaulta.

– Nie, jestem tylko przyjacielem. A pan? To znaczy... Pan jest jej lekarzem?

Tłumaczę sobie krótkie milczenie jako przeczące kręcenie głową.

– Tylko dyżurującym internistą, który robi kontrolny obchód.

– Aha.

Zareagowałabym tak samo jak Thibault. W ciągu siedmiu tygodni ani jeden internista nie robił żadnego obchodu. Przede wszystkim myślę, że tym tutaj wstrząsnęło poranne zajście.

– Miał pan jakieś pytanie? – zagaja.

– Ee... Nie, nic szczególnego.

Słyszę, jak Thibault okrąża łóżko. Bez wątpienia zamierza zbliżyć się do swoich rzeczy, aby czym prędzej uciec. Kiedy Steve, Alex i Rebeka go zaskoczyli, w końcu udało im się sprawić, że poczuł się swobodnie, ale dziś raczej nie mam nadziei, że internista zdoła dokonać tego samego. Zwłaszcza że milczy jak zakłęty.

Próbuję wyobrazić sobie sytuację, nawet jeśli jej nie widzę. Wtedy dociera do mnie, że Thibault ciągle jest w skarpetkach i że pościel po mojej prawej stronie musi być cała pomięta. Chciałabym się roześmiać i jednocześnie mieć cykora, że zostanie nakryty na użyczeniu sobie kawałka materaca. Wybornie byłoby poczuć adrenalinę z powodu tego, co zakazane albo przynajmniej niezwykle, na co nikt nigdy nie wpadł.

Zdaje się jednak, że internista ma głęboko w nosie szczegóły, ponieważ nie mówi ani słowa. Z kolei Thibault dość niezdarnie wkłada ubranie i buty. Musi się stresować tym, że ktoś na niego patrzy.

Wreszcie słyszę, że podchodzi do łóżka i się nade mną pochyla. Jestem zaskoczona. Czy mimo wszystko ośmieli się pocałować mnie w policzek przy internistcie? Zatrzymuje się jednak w połowie, jednocześnie zaś z jego ust wydobywa się głos.

– Owszem, mam pytanie.

Albo internista się zamyślił, albo dał Thibaultowi znak, żeby mówił dalej. Tak czy inaczej, nadal się nie odzywa.

– Do czego służą te wszystkie przewody?

Pytanie nie jest bez znaczenia, łapię się więc na tym, że słucham z uwagą odpowiedzi internisty, który zdecydował się w końcu otworzyć usta. Zachowuje terminy techniczne dla siebie i wymienia tylko najważniejsze funkcje każdej kroplówki, rurki, pulsoksymetru i tak dalej. Thibault prosi nawet o kilka dodatkowych informacji. Zdumiewa mnie jego zainteresowanie.

Kiedy zaimprovizowana lekcja medycyny dobiega końca, mam nadzieję, że internista wkrótce opuści salę. Boję się (to znaczy myślę, że się boję, gdyż nie mogę poczuć tego strachu w brzuchu), że Thibault nie odważy się

ze mną pożegnać w swoim stylu. Po raz kolejny jednak jego zachowanie przekracza moje najśmielsze oczekiwania.

– Do widzenia, Elso – szepcze, przytykając wargi do mojego policzka.

Tym razem nie muszę wysilać mózgu, żeby spróbować uchwycić dotyk. Skupiłam się na tym całym swoim jestestwem. Niestety, niczego nie czuję, stwarzam więc sobie to wrażenie od A do Z. Gorące i słodkie wargi, delikatny pocałunek.

– Był pan jej partnerem? – pyta internista.

– Dlaczego mówi pan „był”? – odpowiada, prostując się Thibault.

– Przykro mi, to dlatego, że... To trwa już od dłuższego czasu. Możliwe, że od tamtej pory zajął się pan czymś innym. Cóż, przepraszam. To nie moja sprawa.

Internista bardziej niż wydukał swoją kwestię. Na szczęście Thibault w ogóle nie zrozumiał. Ja doskonale wiem, dlaczego powiedział „był”. Można uznać, że jego zwierzchnik podpisał dziś rano mój wyrok śmierci.

Zdaję sobie sprawę, że Thibault nie odpowiada internście ani na przeprosiny, ani na pierwsze pytanie. Po prostu żegna się z nim i wychodzi. Mój ulubiony gość opuszcza salę w tym osobliwym nastroju.

Upływa trochę czasu, zanim pozwalam sobie ponownie skupić uwagę na przybyszu. Najwyraźniej internista nadal się nie poruszył. Zaczynam się nawet zastanawiać, czy jego wyjście mi nie umknęło, kiedy słyszę, jak przemieszcza się ku oknom z mojej prawej strony.

Nie wiem, co on wyprawia. Przez kilka chwil dobiegają do mnie odgłosy jakiejś krzątanimy, w końcu jednak dociera do mnie, że rozmawia przez telefon.

– Tak, to ja... Nie. Paskudny dzień, tak. Szef... zdołowany? Prawie...

Mógłby powiedzieć „potwornie”, zważywszy na jego głos bliski szaleństwa. Tylko że przez słuchawkę wszystko musi być trochę zniekształcone. Pewnie na to liczy, żeby nie niepokoić swojego rozmówcy.

– Och, to tylko... jedna pacjentka. Tak, na moim oddziale. Długotrwała śpiączka... Jej chłopak właśnie wyszedł z sali.

I tu się mylisz, drogi internisto. Thibault nie jest moim chłopakiem. Nie mam jednak żadnego sposobu, żeby ci to uświadomić.

– Ee... Tak, zapytałem, ale nie odpowiedział. Cmoknął ją w policzek, ale aż biło po oczach, że chciałby ją naprawdę pocałować. I chyba się nie odważył, ponieważ byłem obok... Och, w porządku! Ma jeszcze kilka dni, żeby to zrobić...

Momentalnie zatyka mnie z dwóch powodów. Po pierwsze, dlatego że Thibault sprawiał jakoby wrażenie, że chce mnie „po prostu” pocałować. Po drugie, dlatego że internista właśnie zaczął łkać. Na litość boską, co się z nim dzieje?

– Przepraszam, to okropne, co przed chwilą powiedziałem. Tak, wiem! Tylko że... Oni chcą ją odłączyć! Wyobrażasz sobie? Tak, to należy do mojego zawodu, ale... To mnie po prostu przyprawia o rozpacz. Ach, zaczekaj... Pager mi piszczy.

Rzeczywiście, już od dobrej chwili łowiłam uchem wibracje, ale nie potrafiłam skojarzyć ich źródła.

– Muszę kończyć. Tak... Do wieczora. Ja też cię kocham.

Słyszę, jak internista pozwala sobie na głębokie westchnienie, po czym zamyka za sobą drzwi. Gdybym mogła, wydobyłabym z siebie takie samo.

10.

THIBAULT

Mrugam oczami, że niby rażą mnie jaskrawe jarzeniówki, aby uniknąć wzroku matki. Jestem znów w szpitalu, tak jakbym wcale z niego nie wychodził, i po raz drugi w ciągu niecałego tygodnia napawa mnie to niemal szczęściem.

Mamy środę, dzień odwiedzin, chwilowo taki sam, jak poniedziałek. Praca, głupi uśmiech, który nie uszedł uwagi kolegów, wyjazd po mamę, przystanek przed pięćdziesiątką, usiłowania matki, żebym przekroczył próg sali brata.

Zachowuję się tak, jakbym niczego nie widział. Czuję jeszcze posmak mojej poniedziałkowej próby. Nie mam ochoty zaczynać od nowa.

Poza tym mam coś o wiele lepszego do roboty.

Kieruję się do sali numer pięćdziesiąt dwa. Pod numerem nadal widnieje zdjęcie. Teraz, po otrzymaniu wyjaśnień od jej przyjaciół, domyślam się, że Elsa musi wyjątkowo lubić ten lodowiec. Ciągłe jeszcze nie do końca pojmuję jej pasję, zważywszy szczególnie na to, dokąd ją to zaprowadziło.

Naciskam kłamkę i zastygam. Ze środka dobiega czyjś głos, który zresztą milknie, jak tylko rozlega się skrzypienie otwieranych drzwi. Należy do kobiety, jestem tego pewien. I nie do Rebeki. Słyszę szuranie krzesła, następnie stukot niepewnych kroków. Puszczam kłamkę, szukając ratunku. Muszę budzić politowanie.

Kimkolwiek jest ta osoba, nie mam ochoty wyjaśniać jej powodów mojej obecności w tym miejscu. Rzucać kolejnego kłamstwa albo mówić czegoś, co przypomina prawdę. Mam dość. Chciałem tylko trochę odpocząć w spokojnym miejscu. Nikt zdrowy nie zaakceptowałby takiego wytłumaczenia. To znaczy, nikt oprócz Rebeki i jej przyjaciela. Steve nie sprawiał wrażenia, że mu się to podoba.

Schody znajdują się zbyt daleko, żebym się tam schronił. Kobieta z pewnością zobaczy, jak biegnę, ledwie otworzy drzwi – to śmieszne. Rzucenie się na krzesło kilka metrów dalej jest jednak tak samo śmieszne.

Tylko że to działa. Udaję faceta, który się nudzi, i prześlizguję się po niej wzrokiem. Ma około dwudziestki, wygląda jak studentka, która wpatruje się w korytarz z niedowierzaniem, po czym rezygnuje.

Rozluźniam ramiona i rozsiadam się nieco wygodniej na krześle. Mówiłem, że – moim zdaniem – jestem śmieszny, ale powinienem raczej powiedzieć „żałosny”. Towarzyszę matce, która odwiedza mojego brata w szpitalu, i marzę tylko o jednym: umościć się w sali nieruchomej pacjentki, a wszystko to w nadziei na chwilę spokoju.

Popełniam błąd za błędem. W stosunku do brata, w stosunku do matki. W stosunku do spokoju. To, że ja nie chcę widzieć członka rodziny, nie oznacza, że Elsa musi być narażona na to samo. Dowód? W zeszłym tygodniu wpadła do niej trójka kumpli, a teraz odwiedza ją właśnie ktoś inny.

Ku własnemu zdumieniu stwierdzam, że czekam z nadzieją, aż ta osoba prędko sobie pójdzie. Do „żałosnego” dodaję „egoistę” i jeszcze mocniej zagłębiam się w krzesło.

Po raz pierwszy kręcę się po korytarzu na piątym piętrze, rozglądam się więc trochę dokoła. Mój wzrok dostrzega najpierw schody, na których już teraz mógłbym znaleźć schronienie, ale w gruncie rzeczy nawet siedząc na twardym plastiku, nie mam odwagi wstać. Na końcu korytarza jest okno, po przeciwnej stronie są wahadłowe drzwi, które muszą prowadzić do bliźniaczego aseptycznego korytarza, na ścianach wisi kilka mdłych obrazków. Już na sam widok farby w kolorze starego rózu człowiekowi chce się rzygać... Nie pojmuję, dlaczego z takim uporem malują wszystko na blade. Pewnie się boją, że od żywych kolorów ludzie dostaną szoku.

Przecież na takim oddziale można by sądzić, że jest inaczej. Chociaż... Sam nie wiem. Nigdy nie byłem w śpiączce ani na oddziale rehabilitacji ogólnoustrojowej. Nie mam bladego pojęcia, co miałyby w tym wszystkim robić kolory. Bardzo możliwe, że wygaduję brednie. Skoro wyobrażam sobie, jak to jest być pogrążonym w śpiączce, naprawdę mam problem.

Uświadamiam sobie, że od tamtej chwili szukam czegoś wzrokiem. Szukam innego numeru, mianowicie sali pięćdziesiąt pięć. Podskakuję, zorientowawszy się, że moje krzesło znajduje się tuż obok. Od dwóch minut siedzę dziesięć centymetrów od drzwi brata. Myślę, że pozostanie tu tak długo, nawet jeśli się o tym nie wiedziało, to prawdziwy wyczyn.

Oto mój problem. Sala numer pięćdziesiąt pięć i ten, kto ją zajmuje.

Inaczej dlaczego starałbym się sobie uzmysłwić, co to znaczy być w śpiączce? Usprawiedliwienia, morały, wyjaśnienia i podpisane zeznania. To wszystko, co zdołałem zauważyć, odkąd się obudził. Tylko jak by to było: znaleźć się na miejscu mojego brata? Wypić za dużo pewnego wieczoru, doskonale wiedząc, że to niebezpieczne? Przejechać dwie dziewczynki, naprawdę nie zdając sobie z tego sprawy? Podobno o mało nie zemdleł, jak go oświecili po wybudzeniu. Mam nadzieję, że dostał największego cykora w życiu.

A w ciągu tych dni, kiedy leżał bezwładnie w łóżku, zagubiony gdzieś we własnej głowie, podczas gdy jego ciało wracało do sił, jak mu było? Jak się czuł? Nic nie czuł? Niczego nie przeżywał? Co robisz, jak jesteś w śpiączce? Zastanawiasz się? Słyszysz innych? Lekarze kazali mi do niego mówić, nie wydusiłem ani słowa.

Tymczasem z Elszą nie zajęło mi to nawet dwóch minut.

Tylko że co do Elsy, nie mam jej tego za złe. Z kolei co do brata...

Moje rozmyślenia przerywa jakiś szum. Odwracam nieznacznie głowę na bok, pozostawiając ją opartą o ścianę. Serce zaczyna mi bić szybciej, kiedy uświadamiam sobie, że przez szparę w drzwiach przedostaje się głos matki. Ona naprawdę jest uparta. Nigdy nie zamyka tych drzwi, tak jakby ciągle miała nadzieję, że mogę zmienić zdanie.

Podnoszę odruchowo lewą rękę, usiłuję złapać za klamkę i zamknąć drzwi raz na zawsze, gdy przez szum przenika moje imię. Z rozmysłem nie wsłuchiwałem się w słowa, ale własne imię trudno zignorować.

– ...jeszcze nie chce przyjść.

– Co, już nie jestem jego bratem?

– Jak możesz mieć mu to za złe?

Zauważam, że matka naprawdę nie odpowiedziała na pytanie. Może dlatego, że nie ma właściwej odpowiedzi albo nie chce tego wymówić na głos. Nie wiem nawet, co sam bym powiedział. To pewne, nienawidzę go, odkąd spowodował ten wypadek, ale nadal nosimy to samo nazwisko, nadal mamy tę samą matkę, co napisano czarno na białym w rodzinnych dokumentach.

Nie mogę już tak naprawdę powiedzieć, że tworzymy rodzinę. Rodzina się szanuje, kocha, przeżywa wzloty i upadki, ale zawsze znajduje harmonię, równowagę. Jak Gaëlle i Julien. Tym razem mój brat spadł na samo dno, tylko że ja nie zamierzam pójść za nim. Matka nieustannie krąży w tę i z powrotem, twierdząc, że on powoli wraca do zdrowia. Nie mam

najmniejszej ochoty drażnić, żeby wyciągnąć go na powierzchnię. Sam się w to wpakował, sam więc musi odgarnąć ziemię.

– ...bałem się.

Natychmiast otwieram oczy. Mój mózg ponownie zablokował wszystkie dźwięki, ale z tym mu się nie udało, zwłaszcza że wyrwał się on z ust mojego brata. Mimo woli nadstawiam ucha.

Zapada długie milczenie. Matka nie chciała odpowiedzieć albo tylko coś szepnęła. Moja dłoń nadal wisi nad klamką, oddech zamarł mi w gardle.

– Bałem się. I nadal się boję.

Odrobina powietrza, jaką miałem w płucach, zastyga, a ja czuję, jakby po całym ciele spływała mi strużka wody. Zanoszę się bezładnym kaszlem i chowam twarz w dłoniach. Gdybym nawet chciał usłyszeć dalszy ciąg rozmowy, i tak by mi się to nie udało. Tak czy inaczej, w tej samej chwili widzę, jak z sali Elsy wychodzi młoda kobieta.

Podczas gdy gardło nadal mam tak ściśnięte, że nie mogę oddychać, patrzę, jak oddala się w kierunku wind. Ledwie drzwi się zamykają, zrywam się z krzesła i pędzę do sali numer pięćdziesiąt dwa, odzyskując oddech.

Naciskam klamkę, jakbym chciał włączyć alarm, i zamykam drzwi, napierając na nie. Mam tak napięte mięśnie, jak gdybym powstrzymywał tłum przed wtargnięciem do sali. Uciekłem spod pięćdziesiątkipiątki w nadziei, że nie usłyszę już nic więcej. Rzeczywiście, nie słyszę nic poza szumem elektronicznych urządzeń wspomagających Elsę. Moje myśli ciągle jednak tu są i właśnie je usiłuję zostawić na korytarzu.

Jeśli mój brat się wystraszył, w pełni na to zasłużył. Jeśli nadal się boi, na to również w zupełności zasłużył. Być może jednak to dowodzi, że żałuje.

Potrząsam głową, zaciskając pięści. Nie zamierzam szukać dla niego usprawiedliwień ani przyjmować do wiadomości jakiegokolwiek odkupienia. Chcę nadal go nie cierpieć. Tylko że to jednak mój brat, przynajmniej częściowo. Mogę go więc chyba nie cierpieć częściowo. To nie ma żadnego sensu. Tu nic nie ma sensu. Nie bardziej niż moja obecność w sali numer pięćdziesiąt dwa. Mimo to jestem tutaj, a zapach jaśminu stopniowo usypia mój umysł. Odnalazłem moją radiopławę, sygnał świetlny, który sprowadza mnie na ląd po rejsie w głębinach. Odnalazłem schronienie, o niebo lepsze niż schody.

O niebo lepsze niż krzesło w korytarzu obok otchłani, w której pograżył się mój brat.

*

– Masz, przyniosłem ci to.

Julien wręcza mi żółto-czarną książkę, nie powiedziawszy nawet „dzień dobry”. Ma jeszcze śnieg na czapce i mocno zaczerwienione policzki. Zjawiłem się w pubie kilka minut przed nim, zdążyłem się już rozgrzać.

– Co to takiego? – pytam, biorąc od niego kurtkę, żeby ją odłożyć obok siebie na ławce.

– Przeczytaj tytuł, myślę, że to wystarczy.

Julien metodycznie pozbywa się kolejnych warstw ubrania, aby zostać w samym podkoszulku. Chwytam książkę ze stołu. *Śpiączka dla żółtodziobów*. Jak oni śmieli wydać podobne czytadło? Odkładam czym prędzej grube tomisko i spoglądam na Julię. Właśnie złożył zamówienie dla nas obu, a teraz rozsiada się swobodnie na krześle.

– Nigdy bym nie przypuszczał, że przyjdiesz – mówię niemal przepraszająco.

– Wytargowałem godzinę u Gaëlle. Nie jestem w stanie zrobić nic więcej. To znaczy, jestem. Chyba istnieje sposób, żebyśmy spędzili więcej czasu razem.

– Jaki? – podchwytyję z nadzieją, ponieważ wcale mi się nie uśmiecha wracać zaraz do domu.

– Gaëlle proponuje, żebyś znów do nas wpadł, tak jak w ostatnią środę.

Wzrusza mnie troska Gaëlle, mimo to z miejsca odmawiam.

– Chwileczkę, nie będę koczował u was za każdym razem, kiedy chcę się z tobą spotkać. Trudno, mogłem się zdecydować na chandrę wczoraj albo jutro.

– Właśnie nie, takie rzeczy nie przychodzą na zawołanie. Przecież znasz Gaëlle, na pewno zamierza coś wytargować.

– Niby co?

– To samo, co poprzednio, to znaczy, żebyś zajął się karmieniem Clary w nocy. I jeszcze mały dodatek.

Julien wypowiedział ostatnie słowa, uśmiechając się przepraszająco. Zaczynam świrować. Gaëlle ma całkiem odwróconą skalę „mały/duży”.

– Strzelaj! Jakiego olbrzymiego dodatku się domaga?

– Prawdę mówiąc, oboje prosimy cię o pewien olbrzymi dodatek.

– W takim razie to zupełnie ponad normę – żartuję.

– Chcielibyśmy, żebyś wziął Clarę na weekend.

– Co?

Moje „co” przypomina wrzask duszonej kaczkę, dlatego wielu gości przy sąsiednich stolikach przerywa rozmowę i mierzy mnie wzrokiem. Nie zwracam na nich uwagi, tylko wpatruję się w Juliena, jakby właśnie mi oświadczył, że przenosi się na drugi koniec kraju.

– Zwariowałeś? Na cały weekend?

– Od piątku wieczorem do niedzieli wieczór – ciągnie Julien. – Zostaniesz w naszym domu, będzie prościej, jak przyjedziesz do nas z jedną torbą, niż jak Clara pojedzie do ciebie z całym majdanem. Gaëlle objaśni ci wszystko z butelkami, smoczkami i całą resztą. Ale i tak większość już znasz.

– Chwileczkę, Julien! Za każdym razem, gdy kąpałem Clare czy coś w tym rodzaju, byliście na miejscu. Mam na myśli to, że gdyby coś poszło nie tak, mogliście naprawić szkody. Tym razem, jeśli będziecie daleko... Dokąd właściwie się wybieracie?

– Gaëlle zarezerwowała wycieczkę w góry.

– Czyli że nie będzie żadnego sposobu, żeby się z wami skontaktować...

– Nie jedziemy na koniec świata – śmieje się Julien. – Poza tym tam wysoko jest zasięg. Ale jesteśmy pewni, że dasz sobie radę.

– Wy jedni tak uważacie.

Upijam łyk soku gruszkowego. Nawet jego aksamitna konsystencja nie jest w stanie uśmierzyć paniki, jaka ogarnia mnie na myśl, że mam być odpowiedzialny za Clare przez dwa dni.

– Nie możecie poprosić rodziców Gaëlle?

– Nie mogą, a ona chce cię trochę wypróbować.

To akurat mniej mnie dziwi ze strony Gaëlle i nawet udaje mi się uśmiechnąć. Na ojca chrzestnego zaproponował mnie Julien. Z początku Gaëlle nie była zbyt pewna. Podejmując decyzję, nawet sobie nie wyobrażałem, jaka czeka mnie rozmowa kwalifikacyjna. Na razie odnoszę wrażenie, że przeszedłem pomyślnie każdą próbę, ta zaś powinna być ostateczna – test końcowy, który zdecyduje na tak albo na nie, chociaż wiem, że i tak nie będzie zbyt wielu innych możliwości. Chrzest jest za niecałe dwa tygodnie.

– Powiedz Gaëlle, że się zgadzam.

– Jesteś pewien? – pyta Julien z uśmiechem od ucha do ucha.

– Tak, dobra, ale wieczorem zrobi mi pokazówkę z prawdziwego zdarzenia! Jeśli mam zdać egzamin, muszę mieć czas, żeby przygotować

ściagi!

– Wieczorem wychodzi, dlatego ja z tobą powtórzę – żartuje Julien.

– Ach, to dlatego masz tylko godzinę?

– Właśnie. Babska impreza.

– Trzeba przyznać, że twoja słodka żonka nieźle się zabawia!

– A ja już drugi raz wymigałem się od rodzicielskich obowiązków, żeby się z tobą spotkać – przypomina.

– Fakt...

Teraz, gdy dobiliśmy targu, przechodzimy do czegoś innego. Na początku rozmowy przełożyłem dyskretnie *Śpiączkę dla żółtodziobów* na ławkę, chcąc zabrać ją sprzed oczu Juliana, bo wiem, że inaczej natychmiast by powrócił do tego tematu. Udaje mi się uniknąć pytań dotyczących Elsy, ponieważ skupiam się wyłącznie na pogodzie, moim bracie, śniegu, kolejnym wypadzie na narty, moim bracie, moim mieszkaniu, znów na moim bracie, a wszystko to dopóty, dopóki nie opróżnimy naszych szklanek i nie kończy się przyznana Julienowi godzinka.

Postępujemy tak samo jak poprzednim razem, to znaczy pędzimy po mój samochód, po czym wbiegamy po schodach. Julien wbija wzrok w zegarek – wie, co go czeka, jeśli ośmieli się przekroczyć limit czasu, zwłaszcza że Gaëlle nie pozwoliła sobie prawie na żadne wyjście od porodu. Już dzwoni do drzwi na trzecim piętrze, podczas gdy ja jestem dopiero na drugim. Moje wyniki sportowe diabelnie się pogorszyły.

Słyszę, jak Gaëlle otwiera i żartuje na temat punktualności. Ledwie złapałem oddech w progu, a już wpycha mi w ramiona Clarę.

– Zaraz! Jeszcze nie zdjąłem kurtki i tak dalej! Zamarznie na kość!

– Przy takiej ilości tłuszczu nie ma obawy! – odpowiada Gaëlle. – Ale jak się nie pospieszysz, to pewne, że dla odmiany może się rozplakać.

Odsuwam Juliana i pędzę do salonu. Gaëlle nie daje mi chwili wytchnienia, można by nawet sądzić, że mój egzaminacyjny weekend zaczyna się dwa dni wcześniej. Rozbieram się niezdarnie, starając się trzymać Clarę tak swobodnie, jak to tylko możliwe. Mam wrażenie, że jestem superzdolnym żonglerem.

Moja ekwilibrystyka najwyraźniej bawi Clarę, widzę bowiem, jak jej usta drżą lekko, gdy przekładam ją z jednej strony na drugą, stopniowo uwalniając ramiona z rękawów. Znajduję nawet sposób na ściągnięcie

butów jedną ręką i słyszę dobiegające od drzwi śmiechy. Gaëlle i Julien mi się przyglądają. Zdaje się, że mały test się powiódł.

Gaëlle macha mi na pożegnanie i całuje Julienu. Odwracam wzrok, żeby nie być świadkiem ich krótkiej chwili intymności, która zresztą wcale nie jest taka krótka, odnoszę bowiem wrażenie, że pocałunek przybiera całkiem inny obrót. Nie mam żalu do Julienu, zauważyłem strój Gaëlle pod płaszczem – jest zachwycający.

Kiedy Julien powraca, zamknąwszy drzwi, ma na twarzy rozanielony uśmiech szczęśliwego faceta i włosy w lekkim nieładzie. Podaję mu Clarę, żeby zdjąć sweter, po czym biorę przyszlą chrześnicę w ramiona, aby on także mógł się rozebrać. Z zewnątrz widok jest dosyć komiczny. Dwóch facetów i dziecko. Można by powiedzieć: dwie zupełnie skretyniałe, ale mimo wszystko znające się na rzeczy niańki.

Podążam za najlepszym przyjacielem do łazienki i patrzę, jak kąpie córkę. Zaczyna się czas powtórek, szczególnie że przejmuję pałeczkę, kiedy on szuka nowej piżamki.

– I jak przebiegły dzisiejsze odwiedziny? – pyta, szperając w szafie.

– Nie poszedłem zobaczyć się z bratem, już ci to mówiłem, prawda?

Trochę jestem na siebie zły, że nie wyjawilem mu całej prawdy. Przecież zasługuje na to.

– Nie mówiłem o twoim bracie, Thibault.

Spryciarz z tego Julienu. W gruncie rzeczy ani na moment nie stracił z oczu głównego tematu wieczoru. Po prostu czekał, aż znajdę się w takiej sytuacji, że nie zdołam uniknąć pytania. Wyjmuję Clarę z wody i delikatnie kładę na ręczniku obok. Mała macha do mnie rączkami.

– Tak samo jak poprzednio. Spałem – mówię, przepuszczając go.

– Nigdy nie robisz nic innego poza spaniem, kiedy ją odwiedzasz?

– Trochę mówię, ale tak szczerze, co byś chciał, żebym robił?

Należy sądzić, że moja odpowiedź jest raczej rzeczowa, ponieważ Julien nie odzywa się więcej. Kończy ubierać Clarę i podaje mi ją, aby móc posprzątać przeznaczony dla niej kącik. Podczas gdy on krząta się nad szufladami, ja udaję, że tańczę z moją chrześnicą.

– Co zamierzasz zrobić?

Pytanie Julienu jest echem tego samego, które kłębi mi się w głowie już od kilku dni. Powoli przerywam taniec, zamyślony.

– Nie wiem, co mogę zrobić, ale wiem, co by mi się podobało.

– To znaczy? – drąży dalej Julien.

- Chciałbym, żeby się obudziła.
- Och, to zależy wyłącznie od niej, wiesz?
- Doskonale zdaję sobie z tego sprawę.

Z powrotem bierze na ręce Clare, ja zaś idę za nim do salonu. W ciągu dwóch minut, w dodatku jedną ręką, przygotował wszystko, co potrzeba do podania jej mleka z butelki. Co do mnie, chwytam poduszkę do karmienia i siadam obok niego na kanapie.

– Masz, powtórz sobie trochę – mówi, podając mi córeczkę. – W ten sposób jesteś uziemiony i musisz nadal odpowiadać.

- Odpowiadać na co?
- Tak naprawdę nie mam więcej pytań, może tylko jedną radę.
- Jaką?
- Uważaj.

Przez kilka sekund w pokoju słychać wyłącznie odgłos ssania smoczka przez Clare.

– Na co mam uważać? – szepczę, chociaż doskonale znam odpowiedź.

– Zakochujesz się w dziewczynie, o której prawie nic nie wiesz. Gdyby to był jedyny kłopot, od biedy mogłoby ujść, ale... Zakochujesz się również w dziewczynie, która według wszelkiego prawdopodobieństwa nigdy się nie obudzi.

– Co ty o tym wiesz?

– Wiem to, co sam mi mówisz, Thibault. Najwyraźniej nie ma żadnej poprawy, a ja widzę, że wplątałeś się na dobre w jednostronne spotkanie, które nastąpiło zaledwie tydzień temu.

– Wiem...

Tak: „Wiem”. To jedyna odpowiedź, jaką mam. Ewentualnie mógłbym powiedzieć: „Słyszałem”, ale Julien jest tego całkowicie świadomy. Usłyszałem, wysłuchałem, przeanalizowałem i przetrwałem każde jego słowo choćby z tego powodu, że także chodzą mi one po głowie od jakiegoś czasu.

– Ale i tak chciałbym, żeby się obudziła...

11.

ELSA

Budzi mnie dźwięk otwieranych drzwi. Od razu wiem, że to salowa. Jej chód, jej wózek, jej radio. Jest noc, między północą a pierwszą. Nie zastanawiałam się długo, dlaczego sprząta się o takiej porze. To takie oczywiste. Nie istnieje żadne ryzyko, że personel obudzi kogoś w moim stanie.

Szybko odkurza podłogę pod łóżkiem, trochę dłużej zajmuje jej sprzątanie po bokach. Dziś miałam gości – wpadli moja siostra i Thibault – z pewnością więc będzie musiała przetrzeć również na mokro.

Właściwie lubię być obudzona przez salową z powodu radia, choć „obudzona” to doprawdy za duże słowo. Poza komentarzami prezentera, tak samo zaspanego jak każdy o tej nocnej porze, muzyka, której słucha salowa, wcale nie jest zła. Śmieję się w duchu, kiedy sobie uświadamiam, że jestem na bieżąco z najnowszymi przebojami. Jeśli stąd wyjdę, będę znała teksty wszystkich tych piosenek. Mogłoby to niejednego zdziwić.

Salowa wchodzi do maleńkiej łazienki, z której korzystają jedynie goście. Słyszę, jak psioczy, że mogliby sobie darować, ale i tak sprząta. Zajmuje jej to mniej więcej dwie piosenki i jedną przerwę na reklamę.

Kiedy znów puszcza muzykę, właśnie wraca do sali. To utwór, który bardzo lubię. Mam ochotę go zanucić. Przypomina mi najlepsze chwile na lodowcu. Odpływam myślami na trochę, wspominając powroty ze wspinaczki, podczas których pozwalałam sobie na śpiewanie. Było to możliwe tylko przy schodzeniu, ale oznaczało, że wszystko ze mną dobrze.

Dobrze... Tak, mogłam się czuć dobrze na czas trwania piosenki...

Znam na pamięć melodię i większość tekstu, powtarzam to wszystko w umyśle jeszcze raz. Jednocześnie słyszę szuranie mopem po podłodze. Gdybym była na miejscu salowej, robiłabym to przynajmniej w takt muzyki. Ona zakłóca wszelką harmonię tymi swoimi przypadkowymi machnięciami i westchnieniami zmęczenia. Nagle jednak przerywa, kij od mopa znienacka uderza o podłogę. Niespecjalnie się tym przejmuję,

usłyszałabym, gdyby się przewróciła. Wygląda na to, że zastygła. To mi pasuje, lepiej słyszę piosenkę.

– Do wszystkich...

W jej szepcie słycać strach. Z żalem porzucam powtarzanie w duchu za chórkim. Co takiego zobaczyła, żeby aż tak się przerazić? Nie mogę już fizycznie doświadczać strachu, ale doskonale sobie wyobrażam, co mógłby on u mnie wywołać. Paskudne mrowienie w brzuchu, niespodziewany chłód na karku, oddech zredukowany do wątego strumienia powietrza i napięcie całego ciała w oczekiwaniu na najmniejszy znak, który mógłby zracjonalizować ten strach i pomóc go pokonać. Wygląda jednak na to, że to reakcja typowa szczególnie dla mnie, ponieważ salowa czym prędey opuszcza pomieszczenie, mnie zaś wydaje się nawet, że słyszę energiczny stukot jej plastikowych podeszew jeszcze pewien czas po zamknięciu drzwi.

Świetnie, zostawiła radio, mogę spokojnie dokończyć słuchanie piosenki. Utwór dobiega końca, po nim następuje inny, który mniej mi się podoba.

W tej samej chwili drzwi się otwierają, ja zaś wysyłam do mózgu zbędne polecenie, aby wykonał wszystkie operacje konieczne do identyfikacji wchodzących osób. Odwrócić głowę, wypiąć pierś, otworzyć oczy i przekazać wszystkie dane dostrzeżone przez źrenice. Oczywiście nie robię żadnej z tych rzeczy, ale wyobrażam sobie, że tak się dzieje. Od poniedziałku zaczęłam postępować w ten sposób w każdym okresie czuwania, w ciągu dwóch dni stało się to niemal naturalne.

Z braku innych możliwości uważnie słucham tego, co się wokół dzieje. Znajdują się tutaj dwie osoby. Salowa i ktoś jeszcze. Z początku szepczą, z trudem dociera do mnie to, co mówią, kiedy jednak drzwi się zamykają, a one podchodzą bliżej, ich głosy przybierają na sile.

– Mówię panu, że coś słyszałam! – wykrzykuje salowa.

– Ależ, Mario, to niemożliwe.

Dzięki tej rozmowie będę mogła przynajmniej poznać imię kobiety, która pozwala mi słuchać radia, ale tym razem moją uwagę przykuwają jej słowa, nie zaś brzęczenie małego odbiornika.

– Przecież mówię, że mi się to nie przyśniło, panie doktorze! Słyszałam jakiś dźwięk, który pochodził od niej.

– Proszę wybaczyć, Mario, ale pozwolę sobie w to wątpić.

Tym razem lepiej rozróżniam męski głos, który należy do mojego obrońcy – internisty. Miałam rację, myśląc, że ordynator przydzieli mu

nocne dyżury. Chyba że po prostu nigdy wcześniej nie przychodził, ponieważ nigdy nic się nie działo.

– Nie wierzy mi pan? – pyta podejrzliwie Maria.

Hiszpański akcent doskonale pasuje do wizji, jaką sobie stworzyłam na jej temat. Wyobrażam sobie, jak mruży oczy, wpatrując się w internistę, tak jakby chciała go spalić na popiół tylko dlatego, że ośmielił się wątpić w jej słowa. Internista nie daje się jednak zastraszyć.

– Mario, przypadek tej kobiety jest beznadziejny. Nie możemy już nic dla niej zrobić.

– Co? Chce mi pan powiedzieć, że zamierzacie ją odłączyć? Tak jak panią Solange z sali obok?

– Wielki Boże, Mario! Zna pani nazwiska wszystkich osób, które się tutaj przewijają?

– Proszę nie bluźnić, panie Loris! A tak, pańskie także znam! – rzuca, jakby dobywała broni przed przeciwnikiem. – A co pan sobie wyobraża? Że przez cały czas mówimy o numerach? Nie wszystkie moje koleżanki mają pacjentów, którzy nie mogą im odpowiedzieć!

– Chce pani zmienić oddział?

Głębokie westchnienie Marii mogłoby się wyrwać z moich ust. Młody internista pojmuje wreszcie, do czego zmierza jego rozmówczyni.

– Tak, wkrótce ją odłączymy – odpowiada w końcu.

– Kiedy?

– Jeszcze nie wiadomo.

– Dlaczego? – draży Maria niczym policjant prowadzący w najlepsze przesłuchanie.

– Ponieważ nie ma możliwości, żeby do nas wróciła.

– Co pan o tym wie?

– Medycyna jest nauką, Mario! Cóż, nie zamierzam robić pani wykładu. Widzi pani kartę przy łóżku? Na początku tygodnia umieszczono na niej szczególny zapis. Dalej, proszę ją wziąć!

Teraz złość internisty jest oczywista. Słyszę, jak Maria szarpie za uchwyt, w którym tkwi karta. Ona także nie ukrywa wściekłości.

– Proszę spojrzeć na pierwszą stronę, zapis na dole, na marginesie, po prawej stronie.

– Nic nie widzę – odpowiada Maria.

– Owszem, widzi pani. Po prostu nie wie pani, co to znaczy.

– Te bazgroły tutaj? Wygląda jak strzałka albo krzyżyk.

– Jest napisane „minus X”. Znaczek „X” stawia się wtedy, gdy nie wiadomo dokładnie, ile dni. Dopóki rodzina nie podejmie decyzji.

– Kłamię pan. To okropne robić coś takiego.

– Taka jest prawda. W dodatku sam musiałem to napisać. Nie zachwyca mnie to, podobnie jak pani, ale tak już jest.

– Tak już jest? – powtarza salowa. – Wie pan co, panie Loris?

– Co?

– Rozczarowuje mnie pan.

Szykuję się, żeby posłuchać dalszego ciągu, mianowicie tego, jak młody internista będzie się bronił, mówiąc, że zdanie salowej niewiele go obchodzi, tymczasem zdumiewa mnie cisza, jaka później zapada. Względna cisza, gdyż radio nadal gra.

– Ja również siebie rozczarowuję, ale co mam zrobić...

Zastanawiam się, czy znów zacznie chlipać, jak ostatnim razem. Mam ogromną nadzieję, że sobie daruje.

– Może się pan zachowywać jak mężczyzna, nie jak marionetka. Teraz proszę mnie wysłuchać i zrobić, co pan zechce, z tym, co powiem. Wycierałam szmatą i usłyszałam jakiś dźwięk. Nie wydała go moja szmata, radio także nie, to nie był po prostu jej oddech, można by sądzić, że za tym wszystkim kryło się jakieś słowo.

– Jej struny głosowe nie mogą funkcjonować po tak długiej przerwie.

– Nie powiedziałam, że się odezwała – prostuje Maria.

Tym razem westchnienie oburzenia wyrwało się interniście. Słyszę, jak tupie, następnie przystaje.

– Doskonale, Mario. Zgadzam się szybko zbadać jej odruchy. Ale tylko po to, żeby dała mi pani spokój!

– Ach, prawdziwy mężczyzna!

Wyczuwam lekki uśmiech zwycięstwa w uwadze Marii i zrezygnowanie internisty. Lekarz wyjmuje z kieszeni dwa lub trzy przyrządy, Maria zaś wraca do swojego wózka jak gdyby nigdy nic. Tymczasem ja czepiam się maleńkiej nadziei, jaką natchnęła mnie właśnie ta rozmowa. Jeśli Maria nie fantazjowała, to znaczy, że udało mi się poruszyć wargami – i to dzięki piosence.

Słyszę, jak internista pochyla się nade mną, domyślam się, że musiał mnie pomacać, skoro uniósł pościel. Śledzę jednak to wszystko z roztargnieniem. Podczas gdy on się krząta, cały mój wysiłek jest skupiony na piosence, którą przed chwilą nadawano. Powtarzam w głowie na okrągło

słowa i melodię. Wykrzykuję niemal wszystko w myślach, ale wygląda na to, że nic nie wydostaje się poza mój mózg, ponieważ internista przerywa badanie, wzdychając po raz nie wiadomo który.

– Przykro mi, Mario, ale nic się nie zmieniło. Proszę mi wierzyć, chciałbym, żeby było inaczej. Nie, niech pani nie mówi nic więcej, proszę.

Domyślam się, że salowa chciała mu przerwać.

– Wracam do siebie. Proszę mnie zawołać bez wahania, jeśli wydarzy się coś realnego.

– To było realne.

– Według pani. Ja pani mówię, że to niemożliwe.

– Według pana – powtarza kobieta.

Internista opuszcza salę. Po chwili przychodzi kolej na Marię i jej wózek.

Uczepię się mojej małej nadziei jutro. Na razie mam ochotę się rozpłakać.

12.

THIBAUT

Cały ten śnieg. Zwykle w ogóle mnie to nie obchodzi. Dziś mnie denerwuje. Jak tak dalej pójdzie, poniosę żalostną klęskę na weekendowym egzaminie, jeszcze zanim się rozpocznie. Julien powiedział, że bym przyjechał na osiemnastą. To już za dziesięć minut, zważywszy jednak na warstwę białego puchu, która rośnie na drodze, wiem, że punktualne dotarcie na miejsce zabierze mi znacznie więcej niż dziesięć minut. Już od pięciu wlokę się jak żółw. Pług śnieżny znajduje się trzy samochody przede mną.

Już mam się poddać i przyznać do porażki przez telefon, gdy rozlega się sygnał komórki. Na ekranie wyświetla się imię Juliana. Aj! Nie zdążę nawet wynegocjować kary, współpracując z przeciwnikiem. Odbieram, zaciskając zęby, po czym wybucham potokiem słów, zanim mój najlepszy przyjaciel ma okazję się odezwać.

– Julien, przepraszam! Nie dam rady przyjechać na osiemnastą. A przecież wyszedłem z pracy o czasie, wszystko miałem już w samochodzie, żeby nie musieć wstępować do domu, ale...

Julien wybucha śmiechem. Może mam jeszcze szansę, żeby wszystko nadrobić. Najbardziej jednak zdumiewają mnie odgłosy, które słychać w tle.

– Chwileczkę, gdzie ty jesteś? – pytam.

– W samochodzie, tak jak ty!

– Co? Już wyjechaliście? Zostawiliście Clare samą? – „Nie, co za kretyn” – poprawiam się natychmiast. – W końcu zdecydowaliście się zabrać Clare ze sobą?

– Co ty wygadujesz? – dziwi się Julien. – Nie, nie! Plan się wcale nie zmienił. Po prostu z powodu śniegu musiałem dokupić kilka rzeczy przed wyjazdem, a teraz utknąłem, tak samo jak ty. Cholerny pług śnieżny!

– Ty też stoisz za pługiem śnieżnym?

– Jestem dwa samochody za tobą, Einsteinie!

Oglądam się odruchowo, nie przejmując się tym, czy samochody przede mną posuwają się naprzód. Rzeczywiście, przez przednią szybę oddzielającego nas pojazdu rozpoznaję Julię i macham do niego. Odpowiada mi mrugając światłami. Kierowca samochodu między nami robi dziwną minę, ale w końcu pojmuje, że mój gest nie był skierowany do niego.

– No dobra, jestem uratowany! – mówię, odwracając się z powrotem twarzą do drogi i wciskam sprzęgło.

– Raczej tak! W każdym razie Gaëlle cieszy się jak dziecko na myśl o tym, że spędzimy weekend tylko we dwoje, nie robi więc afery raptem o kwadrans spóźnienia. Chyba że droga i w dodatku... Dzwoniłem na kwaterę, w której mamy mieszkać, u nich jeszcze nie pada, śnieg zapowiadają dopiero w nocy.

– Tym lepiej, wobec tego będziecie spokojniejsi.

– Od kiedy to masz własne zdanie na temat śniegu, co?

Moja odpowiedź powinna być natychmiastowa, mimo to kłębi mi się w głowie przez kilka chwil, zanim zostaje sformułowana. Mam wrażenie, że zamiast niej chciało mi się wypsnąć inne zdanie, ale nie potrafię dociec jakie.

– Mój najlepszy przyjaciel i jego żona wyjeżdżają w taką pogodę, podczas gdy ja opiekuję się ich niespełną roczną córeczką. Widzisz mnie w roli zastępczego ojca, jeśli coś wam się stanie?

– Ach tak, to miłe, że się o nas martwisz! – żartuje Julien, po czym poważnieje. – Wiesz, że bycie ojcem chrzestnym może ewentualnie pociągać za sobą tego typu rzeczy. Kiedy w przyszłym tygodniu podpiszesz papiery w kościele, zobowiąziesz się być przy naszym małym skarbie, prawda?

– Właśnie staram się zapomnieć o tego rodzaju zobowiązaniach... – odpowiadam, utrzymując rozmowę w żartobliwej konwencji. – Poza tym nigdzie nie będzie napisane, że w tej sytuacji przejmę opiekę nad waszą córką.

– Gaëlle ci nie mówiła?

Ton głosu Julię z miejsca odbiera mi ochotę do śmiechu.

– Chwileczkę, co ty powiadasz?

– Nie, nic, nie przejmuj się, to był tylko żart!

– Uf, ulżyło mi!

Serce wali mi jak oszalałe. Uświadamiam sobie, że naprawdę się przeraziłem. Obowiązki w pracy, nie ma sprawy. Zawodowe zobowiązania nie stanowią dla mnie najmniejszego problemu. Co do życia osobistego, od czasów Cindy wszystko rozchrzaniłem.

– Thibault? Jesteś tam jeszcze?

– Tak.

Musiałem zamilknąć na kilka sekund, skoro Julien jest aż tak przejęty.

– Rozmawianie przez telefon za kierownicą jest niepoważne – mówię, żeby zapewnić niezręczną ciszę.

– Przecież nie zatrzymają nas przy dwudziestu metrach na minutę. Szczerze, jak zobaczysz żandarma zajętego gadaniem, zamiast kierowaniem ruchem, pokaż mi go!

– Mimo wszystko. Chciałeś mi powiedzieć coś innego?

– Widziałeś się może ostatnio z Cindy?

Pytanie Juliana zaskakuje mnie bardziej niż wszystkie pozostałe. Chyba mam minę ropuchy, której obcięto język.

– Skąd wiesz? – dukam.

– Zauważyłem ją dziś i wydaje mi się, że reagujesz gorzej niż kiedyś, jak tylko jest mowa o odpowiedzialności.

Nie trzeba wyjaśnień, dlaczego Julien jest moim najlepszym przyjacielem.

– Jak było? – dopytuje.

Zastanawiam się przez chwilę. Jak było?

– Źle – zaczynam. – Niezdrowo. Zmieniła się. To było żałosne.

– Momencik, Thibault! O czym ty mówisz?

– O jej ekspresowej wizycie. Wizycie w bardzo złych zamiarach!

Słyszę własną wściekłość. Chociaż minął tydzień, jeszcze nie przetrwałem tego spotkania.

– Możesz się wyrażać jaśniej?

– Mówiąc wprost, nudziła się w domu. Wyraziłem się dostatecznie jasno?

– Zrobiła to? Nigdy bym nie przypuszczał.

– Myślę, że jest mnóstwo rzeczy, których nigdy nawzajem byśmy nie przypuszczali na nasz temat.

– A co ty na to?

– Wypieprzyłem ją za drzwi. Czego się spodziewałeś?

Przez ułamek sekundy jestem bardzo zły na Juliana, ośmielił się bowiem sądzić, że mogłem po raz kolejny ulec wdziękom Cindy, ale po chwili

namysłu gniew mija. W stanie, w jakim się teraz znajduję, to by się mogło spokojnie wydarzyć.

– Przykro mi, Thibault – przeprasza Julien.

– Nie ma sprawy.

– Owszem. Właśnie jest sprawa. Posunąłem się nawet do tego, że pomyślałem, że to by mogło ci poprawić humor, ale zaraz potem zmieniłem zdanie.

– Zmieniłeś zdanie i to się liczy. A tak szczerze, to mogło się zdarzyć.

Kolejna cisza w telefonie. Dwaj kumple, którzy zastanawiają się nad tym, co robią i myślą.

Dziewczyny nigdy nie wyobrażają sobie, co nam się kłębi w głowach. Często uznaje się nas za puste skorupy, ja jednak wiem, że w moim umyśle trwa ciągła burza. Z Julienem musi być tak samo. Milczymy, każdy z komórką przy uchu, jak dwaj kretyni. W gruncie rzeczy dziewczyny może i mają trochę racji. To nie tak, że jesteśmy zupełnie puści. One używają błędnych określeń – chodzi o to, że nie wiemy, co zrobić z tą naszą burzą.

Na szczęście pół minuty później ratuje nas pług śnieżny.

– Julien? – odzywam się, jakby nic się nie stało. Pług śnieżny parkuje na chodniku. – Zdaje się, że droga wolna. Wygląda na to, że samochody przede mną posuwają się szybciej.

– Dobra, rozłączmy się. Do zobaczenia. Nie gimnastykuj się, żebym miał gdzie stanąć, powiedz tylko Gaëlle, że czekam na dole.

O osiemnastej dziesięć wreszcie wysiadam z samochodu. Julien zatrzymuje się obok i włącza światła awaryjne. Macham do niego i uciekam do budynku, w którym mieszka. Ogrzewanie w moim samochodzie zgodziło się działać, nie było jednak tak gorąco, jak bym chciał. Wbiegam po dwa stopnie naraz, żeby się rozgrzać, i notuję w pamięci, żeby znów zacząć trenować biegi.

Gaëlle otwiera mi w zupełnie innym stroju niż w środę. Objaśniam jej sytuację w kilku zdaniach, ona zaś pokazuje mi dwie duże torby przy drzwiach. Przewieszam jedną przez plecy, drugą biorę w dłoń, następnie ruszam do windy. Julien zdążył wysiąść z samochodu. Bagażnik już jest otwarty. Podaję mu torby, żeby je schował, i ustalamy wspólnie kilka szczegółów. Wtedy przychodzi mi do głowy jedno pytanie.

– A gdzie wózek?

– Clary?

– A niby czyj, Julien?

– Przepraszam, to było zbyt łatwe... – śmieje się. – Jest złożony między szafą a ścianą jej sypialni. Zamierzasz ją wozić w wózku? Chyba nigdy nie widziałem, żebyś zabierał Clarę na spacer inaczej niż w nosidełku...

– To dlatego, że nigdy nie wychodzę sam, że zawsze jesteście przy mnie, ty albo Gaëlle, i że upieracie się, żeby ją wkładać do tego ustrojstwa na szelkach.

– A co, nie uważasz, że to praktyczne?

– Jasne, jak diabli! I na pewno się nim posłużę. Ale możliwe, że będzie mi potrzebny wózek.

– W twoich ustach to brzmi ciekawie! Dobra. Wiesz, gdzie jest, mamy do ciebie zaufanie. Tylko za bardzo się z nim nie siłuj, sam się rozkłada.

– To samo mówiłeś o szelkach nosidełka, a mnie połapanie się w tym zajęło kwadrans.

– Nie użalaj się. Jak Gaëlle pokazała mi węzły, które muszę się nauczyć wiązać, jeśli chcę ją nosić w chuście, skończyło się na tym, że podsunąłem jej katalog z wózkami.

Uśmiecham się, wyobrażając sobie, jak bardzo gest ten musiał urazić jego dumę. Nawet mój najlepszy arcyzdolny przyjaciel ma kłopoty z byciem ojcem.

– Dobra. Zdaje się, że została tylko jedna mała torba do zabrania, ale znasz swoją żonę: będzie chciała ją nieść sama. Miłego weekendu i bawcie się dobrze dla mnie.

– Powinieneś czasem wyjechać, byłoby super – mówi Julien, zamykając bagażnik.

– Z kim? – wzdycham.

Julien tylko się uśmiecha, wsiadając do samochodu. Macham do niego po raz ostatni i wracam do budynku.

– Chcesz, żebym ci jeszcze raz coś wyjaśniła? – pyta Gaëlle, gdy ponownie wchodzi do mieszkania.

– Nie, w porządku. Leć. Twój mąż czeka na ciebie jak księżę z bajki – odpowiadam, całując ją w policzek.

Gaëlle bierze mnie w ramiona, zawsze taka była.

– Dziękuję, Thibault – szepcze mi do ucha. – Nawet nie wiesz, jaką przyjemność sprawiłeś mi tym prezentem.

– Nie przejmuj się, robię to z radością.

– Byłoby super, gdybyś także mógł mieć rodzinę.

Mam na końcu języka gotową odpowiedź. Mianowicie „Z kim?”, którą zresztą posłużyłem się zaledwie przed minutą. Tymczasem z moich ust wyrywa się coś zgoła innego.

– Tak, byłoby super.

Gaëlle cofa się lekko i wpatruje się we mnie zdumiona i zarazem rozbawiona. Rozumiem to uczucie. Zapewne po raz pierwszy w życiu wypowiadam to pragnienie na głos. Wszyscy zdali już sobie z tego sprawę, widząc mnie z Clarą, choć nigdy nic nie mówiłem na ten temat.

– Jestem wzruszona, że się tym ze mną dzielisz – dodaje z uśmiechem.

Odprowadzam ją do drzwi i życzę miłego weekendu. Krążąc w tę i z powrotem, nie miałem nawet czasu przywitać się z chrześnicą. Clara leży wygodnie w czymś w rodzaju kojca i delikatnie się porusza. Pochyliam się nad nią i biorę ją na ręce. Podnoszenie jej nie sprawia mi trudności – tych kilka kilogramów to żaden ciężar.

Podchodzę do okna, pozwalając jej się bawić moimi palcami. Nie mam żadnego sposobu, żeby się dowiedzieć, czy Julien i Gaëlle rzeczywiście pojechali, wszystkie okna bowiem wychodzą na stronę przeciwną do ulicy.

Śnieg ciągle pada, pomarańczowe latarnie nadają zaś miastu osobliwy wygląd. Nie minęło jeszcze wpół do siódmej, patrząc jednak stąd, można by sądzić, że wszystko już śpi. Własne myśli mnie zaskakują, w głowie znów rozbrzmiewa pytanie Juliana. Od kiedy to śnieg tak na mnie działa?

Znalazłbym odpowiedź, tylko że ona mnie przeraża, odsuwam ją więc od siebie i wracam na kanapę.

13.

ELSA

Matka i ojciec znajdują się tutaj, w mojej sali. Nie są sami. Jest jeszcze ordynator. Ten cholerny lekarz, który doprowadza mnie do szału. Tym razem z rozkoszą wepchnęłabym mu fartuch do gardła, tak mnie wnerwia.

Jak tylko usłyszałam jego głos, wpadłam we wściekłość. Przyszedł tu, żeby pomówić raz na zawsze o słynnym „minus X”. Sprawa ta była już poruszana, ale nie tak radykalnie. Przy czym „radykalnie” to mało powiedziane. Gdyby istniał termin zawierający w sobie pojęcia „nonszalancko”, „bezpośrednio” i „całkowicie obojętnie”, myślę, że określałby sposób jego argumentacji.

– Rozumie pani, nie ma już żadnej nadziei.

I ten twój napuszony język, kretynie! To i tak cud, że nie powiedziałaś „już po ptakach”. Skoro chcesz obwieścić mój przedwczesny zgon, bądź chociaż na tyle uprzejmy, żeby zrobić to elegancko! Zupełnie jakbyś był jedną z postaci ze starych westernów amerykańskich, z tą różnicą, że ty masz fartuch!

Wyobrażam go sobie zresztą właśnie w taki sposób, tego całego ordynatora, który działa mi na nerwy. Rozpięty fartuch, dłoń na biodrze, drugi łokieć oparty o ścianę. Dałabym sobie rękę uciąć, że pod spodem nosi dzinsy, nie zaś szpitalne spodnie. Stary rozciągnięty podkoszulek. Dobra, teraz to ja puszczam wodze fantazji, ale naprawdę mógłby właśnie tak wyglądać. Przesadna nonszalancja. Nie pojmuję, dlaczego ojciec jeszcze nie zareagował.

Matka zareagowała już jednak dobrą chwilę temu. Szlocha bardziej lub mniej bezgłośnie. Słyszę jej łkania wyraźniej, gdy mówi, ponieważ zacina się przy każdym słowie.

Ogólnie to ciekawe. W końcu pierwsza zaczęła rozważać odłączenie mnie. Zważywszy jednak na jej płaczącą reakcję, mogłoby się niemal wydawać, że role rodziców się odwróciły.

– Nap-nap-naprawdę, ża-ża-żadnej nadziei?

Głos jej się zupełnie załamał na końcu pytania. Mam nadzieję, że ojciec okazał się wystarczająco inteligentny, żeby ją przytulić albo chociaż chwycić za rękę. Ona jest w całkowitej rozpacz, a to nie zdarza się zbyt często. Jakby tego było mało, pewnie wpadła w panikę. Wysyłam ojcu milczącą modlitwę, żeby należycie odegrał rolę męża. Bardzo wątpię, żeby moja modlitwa odniosła jakikolwiek skutek, ale przynajmniej dociera do mnie, że coś zrobił.

– Anno, uspokój się, zanim spróbujesz cokolwiek zrozumieć.

To bardzo rozsądna rada, ojciec doprawdy wzniósł się na wyżyny, tylko że niekoniecznie właśnie to pragnęłabym usłyszeć.

– Może pan chwilę zaczekać, aż żona dojdzie do siebie?

Mruknięcie lekarza musi oznaczać zgodę. A nie mówiłam? Prawdziwy western. Tylko gdzie się podział mój internista? Na pewno załatwiłby sprawę z większym taktem! Chociaż gdyby miał się również rozszlochać... Byłoby mnóstwo łez do otarcia po południu.

Ordynator wychodzi. Moja kolejna niema modlitwa ma na celu wywołanie jakiegokolwiek zdarzenia, które zdołałoby sprawić, że w tej samej minucie złamie nogę. Mimo że upłynęło ich pięć razy więcej, nic się nie stało, ponieważ kiedy wraca, nie słyszę stukotu żadnej kuli o podłogę.

– Byli państwo w stanie się zastanowić?

Pewnie, a jakże! Myślisz, że pięć minut wystarczyło aż nadto, by zdecydować o czymś takim? Wiem, zamiast się wściekać, powinnam raczej wykorzystać całą tę energię, aby wydać mózgowi polecenie, żeby działał i pozwolił mi się wyprostować, ale nic z tego, skupiam się wyłącznie na emocjach. Jedynie gdy jest przy mnie Thibault, potrafię przekształcić emocje w działanie. Teraz jestem tylko huraganem gniewu.

Przez chwilę jednak wątpię... Czy gniew nie jest przypadkiem fizjologiczną reakcją chemiczną? Co by oznaczało, że robię postępy. Studiowałam geologię, nie medycynę, mam to więc w nosie i wyczekuję odpowiedzi rodziców.

– Nie.

Głos ojca jest stanowczy, a przekaz jasny, choć – szczerze mówiąc – wolałabym, żeby rąbnął go pięścią w twarz. Nie wiem, skąd mi się bierze cała ta agresja, oczywiście jest jednak, że kieruję ją na lekarza. Czyżby to był instynkt samozachowawczy? W końcu moja przyszłość zależy od tego człowieka i jego argumentów. Jeśli uda mu się przekonać wszystkich, odłączy mnie, a ja...

Nie. Nie chcę myśleć, co dalej. Na razie jestem tutaj. Słyszę. Dziś zaś żyję i chcę nadal żyć.

– Zgoda – odpowiada lekarz. – Mają państwo pełne prawo się wahać, rozumiem państwa, ale muszą państwo wiedzieć, że im dłużej będą zwlekać z podjęciem decyzji, tym cierpienie będzie większe.

Brzmi to jak komunikat nagrany na automatyczną sekretarkę. „Tu poczta głosowa doktora Iksińskiego, może pan odłączyć córkę po sygnale dźwiękowym”.

– Ma pan dzieci, doktorze?

Pytanie ojca mnie szokuje. Czuję, że moje wymaginowane rąbnięcie pięścią przerodzi się zaraz w ciętą ripostę, która odniesie taki sam skutek.

– Tak, dwoje.

Kłamca...

Jest coś szczególnego w tym, że człowiek ma do dyspozycji wyłącznie zmysł słuchu. Wówczas wszystko, co jest związane z dźwiękami, nabiera wyjątkowego smaku.

W ciągu siedmiu tygodni zdążyłam zauważyć, że naturalnie kojarzę kolory i fakturę z tym, co mówią ludzie. Głos mojej siostry opowiadającej o miłosnych przygodach przypomina czerwony aksamit, od którego zbiera się na wymioty, ponieważ aż kipi od hormonów. Matka jest czymś w rodzaju fioletowej skóry, która chce uchodzić za mocną, ale trzeszczy w wielu miejscach niczym stara torebka. Ordynator jest równie tępy i szorstki jak stalowy pręt z budowy.

Na szczęście wśród tego wszystkiego mam tęczę, która zechciała się objawić jakieś dziesięć dni temu. Thibault przybył wraz ze wszystkimi swoimi emocjami, wszystkim, co dla mnie nowe. Nie udało mi się przyporządkować mu żadnego konkretnego koloru. To było po prostu olśniewające i zdumiewające. Zatrzymałam się na tęczy. Uznałam, że to poetyckie. Zawsze to lepsze niż cała reszta, która doprowadzała mnie do coraz silniejszych mdłości.

Krótko mówiąc, lekarz jest kłamcą. To znaczy – po tym, co właśnie powiedział, wiem, że kłamie. Nie ma dwójki dzieci. Wątpię, żeby miał choć jedno. Jak dla mnie, facet ma żonę – i to wszystko. Z całą pewnością ta odpowiedź jest tak samo na pokaz, jak poprzednia, i została udzielona, aby zmylić rozmówców. Być może rzygać mu się chce, kiedy ciągle słyszy: „Ach tak? Nie ma pan dzieci? W takim razie nie może pan wiedzieć, co znaczy podjąć taką decyzję!”.

Sama siebie zadziwiam. Po raz pierwszy mam rozsądne myśli na temat mojego lekarza prowadzącego. Tak czy inaczej, nie potrafię pojąć, jak można być lekarzem pragnącym ratować ludzkie życie i stać się zupełnie obojętnym na czyjąś zaplanowaną śmierć. Czego jednak trzeba, żeby przejść od osobistego zaangażowania, jakie okazuje mój internista, do takiej obojętności, jaką przejawia ordynator? Może wielu lat doświadczenia. Właściwie na pewno. Nie widzę innego wytłumaczenia. Z pewnością nie po raz pierwszy musi podjąć podobną decyzję. Mimo wszystko wydaje mi się, że on ni mniej, ni więcej, tylko gwizdże na to. Wiem, że tak nie jest, ale właśnie takie sprawia wrażenie. Przynajmniej dla mnie, która mogę wyłącznie słuchać.

Ojciec, nieświadomy tego, że mój lekarz kłamie, rezygnuje ze słownego policzka, który chętnie by mu wymierzył, i poprzestaje na uspokojeniu szeptem matki.

– Proszę pana – próbuje dalej lekarz, zrozumiawszy, że od matki już nic więcej nie uzyska – oto dokumenty. Wiem, że nie podjęli państwo żadnej decyzji, ale niekiedy tekst przed oczami pomaga. Nie proszę, żeby państwo je wypełnili wieczorem. Proszę tylko, żeby państwo je przeczytali. Albo może położyli gdzieś na stole i się nad tym zastanowili. W każdym wypadku proszę do mnie dzwonić bez wahania. O każdej porze. Moje dane są na samym dole. O każdej porze, nalegam. Jeśli będę zajęty, po prostu nie odbiorę. Lecz rezerwuję ten numer na tego typu telefony i staram się być do dyspozycji rodzin pacjentów, kiedy to tylko możliwe.

Tym razem nie wiem, co myśleć. Chyba właśnie uczę się bezstronności. Słowa mojego lekarza brzmią profesjonalnie. Nie szkodzi, że jakaś część w głębi mnie wolałaby, aby zajął się tym wszystkim internista. Co do niego, przynajmniej już słyszałam, jak mówi do kogoś: „Kocham cię”. To oznacza, że ma serce, które żyje i bije. Nie twierdzę, że ordynator nie ma serca, twierdzę raczej, że zamknął je w tym zimnym i twardym metalu, który kojarzę z jego głosem.

Ojciec bierze kartki, lekarz zaś żegna się z rodzicami. Słyszę ich niewyraźne pomruki, później wyłącznie szloch matki. Ojciec zapewne gładzi ją po włosach. Matka stopniowo się uspokaja i podchodzi do łóżka. Być może chwytą mnie za rękę, być może po prostu na mnie patrzy. Niewiele już słyszę. Zasypiam.

14.

THIBAUT

– Julien! Przeklinam cię! Aj!

Własne złorzeczenie wraca do mnie jak bumerang. Ledwie sekundę po tym, jak dałem upust nienawiści w stosunku do spacerówki, już przyciąłem sobie palce.

Clara porusza się delikatnie w łóżeczku. Umieściłem ją tam, gdy tylko zrozumiałem, że zwykle potrząśnięcie złożoną spacerówką nie wystarczy, by całkiem rozłożyć wózek. Cofam się o krok, jakbym chciał nabrać dystansu wobec czekającego mnie zadania, i spoglądam na zegarek. W tym tempie zawsze zabraknie mi czasu, żeby wszystko zrobić. Trudno, następnym razem!

Otwieram szafę i wyjmuję nosidełko na szelkach. Przynajmniej z nim nie wdam się w bezlitosną walkę. Rzucam okiem na uparcie złożoną spacerówkę. Wieczorem zobaczysz, kochanieńka! Wieczorem zrozumiesz, jakiego masz pecha. Wieczorem wezmę instrukcję, wtedy się przekonamy, kto wygra bitwę. Nie mam najmniejszego zamiaru zawracać głowy Gaëlle i Julienowi, prosząc ich o pomoc. Będę więc działał w pojedynkę, ale książeczka, którą zauważyłem pod stołem w salonie, będzie świetnym towarzyszem broni.

Wkładam na siebie nosidełko niemal automatycznie i zapinam wszystkie niezbędne sprzączki. Przez dobrą minutę zasypuję Clare buziakami w czołko, następnie wsuwam ją do środka i poprawiam całość. Jesteśmy gotowi do wyjścia. Pomimo dotkliwej porażki ze spacerówką czuję dumę. Na dworze panuje szaruga. Śnieg, który spadł wczoraj, zdążył już stopnieć pod kołami autobusów i samochodów. Smętne resztki straciły blask pod wpływem spalin. Niebo jest tak ciemne, że aż strach.

To niesamowite, jak bardzo pogoda zmieniła się przez jeden dzień. Wczoraj śnieżyło, dziś burza wisi w powietrzu. Właśnie dlatego chciałem rozłożyć spacerówkę, ma bowiem taką plastikową osłonę, która chroni Clare w razie deszczu. Teraz wziąłem duży parasol, który ze względu na

swoją średnicę spokojnie mógłby się przydać na plaży. Schowam moją cudowną chryśnicę pod własnym płaszczem przeciwdeszczowym, jeśli okaże się to konieczne, ale mam nadzieję, że parasol wystarczy.

Idę odśnieżonym chodnikiem. Przynajmniej ma to tę zaletę, że nie ryzykuję pośliznięcia się, co znacznie by mnie spowolniło, szczególnie z przytuloną do mnie Clarą. Dostrzegam spojrzenia kilku młodych kobiet w moim wieku. Natychmiast rozczuła je mój wygląd taty narciarza – przy czapce, kurtce, rękawicach, szaliku i grubych butach tylko Clara może stanowić dowód, że nie wybieram się na stok.

Przy każdym skierowanym ku mnie kobiecym uśmiechu moja gra paragrafowa otwiera się na sześćdziesiątej stronie: „Uśmiechaj się grzecznie, nigdy nie wiadomo”. Z uporem przewracam kartkę, żeby przeczytać kolejną propozycję („Idź swoją drogą”), jednocześnie zadając sobie pytanie, co jest takiego nadzwyczajnego w widoku mężczyzny niosącego niemowlę. Po „tacie narciarzu” mógłbym jeszcze dodać „nieziemski”.

Z domu Juliana droga do szpitala jest znacznie krótsza. Nie trzeba jechać samochodem, nie trzeba także podwozić mamy. Dogadałem się z nią. Albo raczej ona dogadała się z koleżanką. Ja miałem wymówkę „Clara”, żeby nie musieć odwiedzać brata. Należało tylko poczekać, aż matka opuści szpital. Teraz jest szesnasta, doskonale. Pewnie już skończyła. Przy odrobinie szczęścia wspomniana koleżanka zaprosiła ją do siebie. Może nawet wspólnie zjedzą kolację. To by dobrze matce zrobiło. To by wszystkim dobrze zrobiło.

Prędko dochodzę do szpitala. Moja mała Clara rozgląda się dokoła oczyma pełnymi ciekawości. W tym wieku wszystko musi się wydawać interesujące. Ani ona, ani ja nie zdążyliśmy zmarznąć. Przy tych warstwach ubrania, którymi ją opatuliłem, i energicznym tempie, jakie sobie narzuciłem, chłód nam nie grozi. Mimo to wsiadam do windy, zamiast ruszyć po schodach. Po raz kolejny kobiety dzielące z nami ograniczoną przestrzeń patrzą na mnie z czułością. Bez względu na wiek.

Chwytam spojrzenie jakiejś kobiety około trzydziestki. Bardzo ładnej. Uroczej nawet. Wydaje się to wprost sztuczne, tak bardzo ma promienną twarz. Sprawia wrażenie pełnej nadziei, widząc, jak szepczę do Clary, że wszystko w porządku, i nie pojmuję dlaczego, dopóki nie wysiada z windy wraz z towarzyszem na oddziale ginekologiczno-położniczym.

Gdy docieramy na piąte piętro, nie zdążam nawet kiwnąć palcem, a już wszyscy wychodzą albo cisną się przy ścianach, aby mnie przepuścić. Z trudem hamuję zdziwienie, kiedy zaś metalowe drzwi wreszcie się za mną zamykają, wybucham śmiechem.

– Widziałaś, jakie wywołujemy poruszenie? – szepczę do Clary, łaskocząc ją w nosek.

Wtem słyszę znajomy głos. Podnoszę wzrok i od razu czuję zakłopotanie. Na końcu korytarza matka pcha szpitalny wózek. Siedzi na nim jakiś mężczyzna. Mój brat. To jego głos rozpoznałem. Szybko rozglądam się wokół. Klatka schodowa znajduje się kilka metrów na lewo. Ledwie jednak robię krok w tę stronę, woła mnie matka.

– Thibault?

Słyszę jej zdumienie i całe mnóstwo innych rzeczy zawartych w tym prostym pytaniu. To dar matki, a może kobiety, zmieścić cały słownik w jednym wyrazie. Tym razem wiem, że za tym „Thibault?” kryją się: „Co ty tu robisz? Dlaczego przyszedłeś? Zmieniłeś zdanie co do brata? Ależ to Clara! Jakaż ona słodka, daj mi się z nią przywitać! Jak się tu dostałeś? Mówiłeś, że nie przyjedziesz!”. I tak dalej.

Zamiast tego wystarczy „Thibault?”, ja zaś zastygam w bezruchu jak słup i czekam ze stoickim spokojem, aż orszak do mnie dołączy, niezdolny nawet drgnąć.

– Coś takiego – mówi matka, zbliżywszy się do mnie. – To Amelia, przyjaciółka, która mnie tu przywiozła. Trochę się u niej zasiedziałyśmy, dlatego przyjechałam tak późno. Szukałeś mnie?

Wcale o tym nie wiedząc, matka właśnie ocaliła mi życie, w każdym razie honor. Nie miałem absolutnie żadnego pomysłu na wyjaśnienie mojej obecności w szpitalu.

– Próbowałem cię zastać w domu, ale cię nie było. Martwiłem się. Zwykle o tej porze już jesteś z powrotem.

– Och, mój kochany! – mówi, głaszcząc mnie po policzku. – Mogłam być u Amelii, wiesz? Dlaczego nie próbowałeś dzwonić na komórkę?

– Zawsze masz wyłączoną, nawet więc nie przyszło mi to do głowy.

– Po co ja ci kupiłem ten telefon?

Głos, który właśnie wtrącił się do rozmowy, działa na mnie jak cios sztyletem prosto w pierś. Zamykam oczy i powoli nabieram powietrza. Aż do tej pory Clara zasłaniała postać siedzącą na wózku popychanym przez

matkę. Teraz jednak, gdy brat zmanifestował swoją obecność, nie mogę nadal go ignorować. Otwieram oczy i powoli spoglądam w dół, na niego.

– Dzień dobry, Sylvain.

– Cześć, Thibault! Dawno cię nie było!

Mam ochotę westchnąć, lecz się powstrzymuję. Mój brat pozostał sobą. Sam już nawet nie wiem, dlaczego miałem nadzieję, że wypadek go odmieni. Nie potrafi powiedzieć nic, co nie byłoby próbą żartu. Poważna rozmowa z nim to nieustanne wyzwanie.

– Ciekawe czemu – odpowiadam, mierząc go wzrokiem.

Brat nie jest do mnie zbyt podobny. Jego kasztanowe włosy zawsze lepiej się układały niż moje, a niebieskie oczy zniewoliły więcej dziewczyn, niż ośmieliłbym się przypuszczać. Na policzkach dostrzegam jednak kilka blizn. I kolejną na łuku brwiowym. Błądzą spojrzeniem po jego ciele. Jedna ręka w gipsie, obie nogi w szynach. Lekarz powiedział, że deska rozdzielcza samochodu dosłownie złożyła się na jego kolanach. Kiedyś zainkasowałem cios w kolano – ból był potworny. Nic dziwnego, że brat stracił przytomność i że jego organizm pogrążył się w śpiączce na sześć dni. Bez względu na wszystko, co mam mu za złe, na pewno dostał za swoje. Tylko że ból to za mało, by wybaczyć.

– Jak zawsze krzepiący – rzuca.

Spodziewałem się bezczelnego dowcipkowania, ale ton brata okazuje się w końcu bardziej obojętny, niż przewidywałem. Można by niemal sądzić, że Sylvain jest zraniony. To do niego niepodobne. Chyba mnie nabiera.

– Jak zawsze beztroski – oświadczam sucho.

– Dość tego.

Oczekiwałem takich słów po matce, ale nie. Był to głos jej przyjaciółki. Kobieta spogląda z wyraźną wymówką to na mojego brata, to na mnie. Po chwili pojmuję dlaczego, widząc dłonie matki zaciśnięte kurczowo na poręczach wózka.

– Przepraszam, mamó, nie chciałem...

Obaj z bratem milkniemy i po raz pierwszy w czasie dzisiejszego spotkania czujemy łączące nas więzy krwi. Słowa popłynęły z naszych ust równocześnie jak na zawołanie. Oczy matki robią się okrągłe, ale magia chwili nie trwa długo. Po kolejnym oddechu czar pryska.

Kładę rękę na jej dłoni, aby ją pocieszyć. Patrzy na mnie bliska łez. Całuję ją w policzek i szepczę do ucha:

– Przykro mi, jeszcze nie jestem gotów.

Właśnie wtedy Clara zaczyna się wiercić. Zainteresowanie matki, a także Amelii, skupia się na mojej zachwycającej chrześnicy, odpowiadam więc na pytania o jej zdrowie, o rodziców, którzy wyjechali na weekend, i o sposób, w jaki się nią zajmuję. One zaś wymieniają uwagi na temat tego, jak postępowały z własnymi dziećmi, słucham ich z roztargnieniem, wpatrzony w maleńką rączkę, która usiłuje pochwycić uchwyt od zamka błyskawicznego przy mojej kurtce.

– U Juliena i Gaëlle wszystko w porządku? – pyta cicho brat.

Zdecydowanie jego nowy sposób mówienia różni się od tego, który zawsze z nim kojarzyłem. Nie potrafię określić, czy mnie to denerwuje czy też nie.

– Co cię to może obchodzić? – odzywam się nadal wpatrzony w Clarę.

– Przestań, Thibault. Przynajmniej odpowiedz na moje pytanie.

– W porządku.

– A kiedy wyjeżdżają, to ty opiekujesz się ich córeczką?

– Nie widać?

– Thibault...

Chyba pierwszy raz w życiu słyszę, jak wzdycha. Zazwyczaj bezustannie drwi, z szyderczym grymasem, który zawsze miałem ochotę zerwać mu z twarzy. Wydaje się jednak szczerzy. Może powinienem zrobić wysiłek.

– Dziś jest pierwszy raz.

– Wygląda na to, że świetnie dajesz sobie radę.

Ton jego głosu ponownie wprawia mnie w osłupienie i każe nań spojrzeć. Ten wpatruje się w Clarę osobliwym wzrokiem. Z pewnością nie w ten sam sposób co ja, wydaje mi się jednak, że dostrzegam w jego oczach cień czułości i żalu. Trwa to ułamek sekundy.

– Wprawiasz się? – wypala, śmiejąc się znowu.

Najwyraźniej śmiech ten nie pochodzi z głębi serca. Można by sądzić, że coś się za nim kryje, jakby brzydki figiel. Bardzo zresztą brzydki, ponieważ po chwili na jego twarzy maluje się wyraz przerażającej trzeźwości. Szalenie trudno mi rozszyfrować jego zachowanie. Nie wiem, jak odpowiedzieć.

Mógłbym zaprzeczyć, co wywołałoby tyradę, podczas której znów by ze mnie kpił. Mógłbym przytaknąć, wtedy jednak z pewnością posypałyby się na mnie kolejne pytania. Zamiast tego starannie dobieram każde słowo.

– Korzystam z okazji.

Zdaje się, że po raz pierwszy od dłuższego czasu właśnie zaskoczyłem brata. Nie odpowiada, tylko wpatruje się w Clarę i we mnie. Po czym przenosi wzrok gdzieś w dal, na koniec korytarza. Doznaję dziwnego skurczu żołądka, ściska mnie także w gardle. Uświadamiam sobie, że mam ochotę mówić dalej, ale nie jestem w stanie. Wobec tego nie dodaję już nic więcej i czekam, aż matka i jej przyjaciółka skończą rozmowę.

– Idziesz z nami? – próbuje matka.

– Ja...

– Chyba tu nie zostaniesz!

– Muszę... jakoś przetrwać to wszystko.

Rzucam okiem na brata. Sylvain ciągle wpatruje się w koniec korytarza. Jest tam okno z widokiem na zewnątrz, wątpię jednak, żeby naprawdę go obchodziło, podobnie jak chmury, które można przez nie dostrzec. Wydaje się jeszcze bardziej pogrążony w zadumie. Matka powiedziała kiedyś, że spędza czas na rozmyślaniach. Może miała rację, wierząc w niego. Mnie w każdym razie nigdy się nie udało przeprowadzić z nim prawdziwej rozmowy.

– Dobrze... Jak chcesz – odzywa się matka. – Zjedziesz chociaż windą razem z nami?

Na szczęście zdążyłem się już zastanowić nad tym, jak zostać w szpitalu bez informowania o tym całego świata.

– Wolę schody, przecież wiesz.

– Aha.

Bez trudu wyczuwam jej rozczarowanie, ale nawet gdybym rzeczywiście zamierzał odejść, i tak nie odpowiedziałbym inaczej. Matka uśmiecha się smutno i wspiera na poręczach wózka, aby go popchnąć. Jej przyjaciółka kiwa mi głową na pożegnanie. Brat nadal spogląda pustym wzrokiem.

Tkwię nieruchomo, dopóki drzwi windy się za nimi nie zamykają. Mam zamęt w głowie. Gdy tylko rozlega się trzask, czuję się tak, jakbym był zegarem, który ktoś właśnie nakręcił. Z roztargnieniem głaszczę Clarę po główce przez czapkę, jednocześnie ruszając do celu. Zdążyłem już zauważyć zdjęcie gór przyklejone taśmą pod cyframi numeru. Znam to zdjęcie na pamięć. Wiem nawet, gdzie je zrobiono, poszukałem w weekend w Internecie.

Kładę dłoń na klamce, drugą popycham drzwi, po czym głęboko wciągam powietrze. Nie wiem dlaczego, ale jestem spięty.

15.

ELSA

Nowy głos. Przejrzysty. Wolny od wszelkich zanieczyszczeń. Niczym świeżo spadły śnieg. Złoty płatek, który się do mnie zbliża. Niemal najcudowniejszy dźwięk, jaki kiedykolwiek słyszałam, po bardziej poważnym głosie, który rozlega się cicho po sali. Tęcza i płatek – naprawdę nie wyobrażam sobie, jak to może współistnieć ze względu na temperaturę, ale współistnieje w mojej sali.

Wtem przesywa mnie żywe wspomnienie. Tak, już to widziałam. Bez wątpienia to było na lodowcu. Przez noc padał śnieg, który następnie topniał, ponieważ słońce wstało na czystym niebie. Woda płynęła potokami supraglacialnymi, krętymi strumieniami powstałymi w wyniku topnienia lodu, które wiją się zupełnie jak wąż. Drobną szczeliną w lodowcu wywoływała miniwodospad, przez który można było zobaczyć tęczę, jeśli ustawiło się w odpowiednim miejscu. Śnieg i tęcza razem. Zatem to możliwe.

Mam ochotę się uśmiechnąć. Do własnego wspomnienia. Do cudownego podarunku, jaki ofiarował mi właśnie Thibault, przyprowadziwszy ze sobą tę małą osobkę.

Nagle wszystko się wali. Thibault ma ze sobą niemowlę. Mój mózg układa na miejscu i natychmiast rozwiązuje wszystkie równania powiązane z tą sytuacją. W jednej chwili moje dobre samopoczucie tonie dwadzieścia metrów pod lodem. Mam wrażenie, że się duszę.

Wpadam w panikę. Mój umysł uważa, że znów jestem uwięziona pod śniegiem z lipcowej lawiny. Wszystko wokół na mnie napiera, ja zaś, podobnie jak latem, nie mogę w żaden sposób wykrzyknąć przerażenia. W mojej głowie są wyłącznie burza i rozdarcie. Mija już dziesięć dni, od kiedy nie śnią mi się koszmary. Właśnie przeżywam sumę wszystkich tych osobliwości, czuwając. Przerażenie w czystej formie.

Pośrodku całej tej burzy, gdzieś bardzo daleko, słyszę jednak jakiś głos, zagłuszony przez wycie wiatru, które przesywa mnie ze wszystkich stron.

Usiłuję skupić się na tym dźwięku, nadać mu barwę, fakturę, zapach – cokolwiek, co pozwoliłoby mi uciec z tego więzienia lęku. Próbuję skoncentrować na nim całą uwagę, odsuwając wspomnienia wypadku. Ledwie jednak udaje mi się je oddalić, natychmiast wracają z jeszcze większą gwałtownością. Krzyczę w myślach do każdego, kto zdoła mnie ocalić, i nagle wszystko ustaje.

– Elsa! Elsa! Na litość boską, co się dzieje?

Moja tęcza się chwieje. Kolory drżą. Thibaulta dosłownie ogarnęła trwoga. Niemowlę się rozplakało. Nowa kakofonia dźwięków powinna być dla mnie nieznośna, zwłaszcza przy samym uchu, ale nie, działa kojąco bardziej niż cokolwiek na świecie. Słyszę tykanie zegarka, który oddala się i przybliża, szelest moich włosów, nieustający szept.

– Elsa. Elsa. Elsa.

Niemowlę płacze na całego, po czym wszystkie dźwięki w pobliżu mnie cichną.

– Przepraszam, Claro. Bałem się o Elbę. Cicho. Cicho. Już dobrze.

Niemowlę cicho kwili i po kilku sekundach się uspokaja. Z tego wynika, że nie tylko ja jestem pod urokiem głosu Thibaulta.

Drzwi do sali otwierają się z hukiem. Stukot szybkich kroków, z pewnością dwóch osób. Wszystko dzieje się z zawrotną szybkością.

– Ale... pan tutaj?

Mój internista. Jednocześnie zaskoczony i rozgniewany.

– Proszę się nią zająć! – mówi Thibault. – Jakie to ma, do cholery, znaczenie, czy ja tu jestem czy nie!

– Niemowlę będzie mnie rozpraszać – odpowiada internista.

– Mowy nie ma, zostaję!

– Panie doktorze?

Kobiecy głos. Z pewnością pielęgniarka, której dłonie uwijają się nade mną już od pewnego czasu.

– Tak? – odzywa się internista.

– Kilka połączeń się zerwało, ale stan jest stabilny – stwierdza pielęgniarka.

– Co?

– Powtarzam, stan jest stabilny.

– To znaczy, że czuje się dobrze? – przerywa Thibault.

– Pan jest niepoprawny! – irytuje się internista.

– Ejże! Dostała tak potężnego skurczu, że już myślałem, że ją połamie! – rzuca Thibault głosem, w którym tęcza zmieniała kolor na czerwony. – A jaki mam być, według pana?

– Co pan zrobił? – pyta internista.

– Ja? Nic!

– Niektóre przewody są rozłączone, a pan mówi, że nic nie zrobił?

– Ona prawie usiadła. A przy tej sile skurczu te wasze ustrojstwa mogły się spokojnie porozłączać!

– Nasze ustrojstwa utrzymują ją przy życiu!

– W takim razie dlaczego stan jest stabilny?

Niemowlę znów zaczyna płakać. Thibault momentalnie skupia swoją uwagę na nim. Tym razem szepcze nieco dłużej, zanim je uspokoi, niemal krzyczy. Z kolei internista podchodzi do pielęgniarki, słyszę, jak rozmawiają o sprawach technicznych. Dociera do mnie kilka kliknięć rurek, turkot kółek kroplówki, szelest pościeli. Mała Clara się uspokoiła.

– Przepraszam – oznajmia internista.

Wnioskuje, że wszystko ze mną w porządku. Jednocześnie ośmielam się mieć nadzieję, że mój instynkt samozachowawczy odezwałby się, gdyby groziło mi niebezpieczeństwo... Celowo nie kończę myśli.

– Przepraszam, że się uniosłem – odpowiada Thibault, którego głos nabrał z powrotem normalnej barwy.

– Twierdzi pan, że miała skurcz? – dopytuje internista.

– Trwało to sekundę, ale wydaje mi się, że to była najdłuższa sekunda w moim życiu.

– Może pan opisać, co pan widział?

Chwila milczenia, jakby Thibault zbierał myśli. Pielęgniarka nadal się przy mnie krząta.

– To się stało nagle. Właśnie miałem zdjąć Clarze czapeczkę, kiedy pulsoksymetr, to ustrojstwo, które mi pan pokazywał poprzednim razem, zaczął strasznie szybko pikać. Sekundę później Elsa wygięła się w nieprawdopodobny sposób. Jak już mówiłem, to było takie gwałtowne... Nie zawracałem sobie głowy resztą aparatów ani kroplówek, skupiłem się wyłącznie na niej.

– Rozumiem.

Internista daje kilka wskazówek pielęgniarce i pyta dalej:

– Kiedy pan przyszedł, nie wydarzyło się nic szczególnego?

– Nie, nic. Naprawdę. Byłem tu zaledwie od minuty. Nawet nie zdążyłem jeszcze wyjąć Clary z nosidełek. I, jak pan może zauważyć, ciągle w nich jest. Mogę panu zająć chwilę?

– Proszę.

A zatem Clara, ten mały złoty płatek śniegu, jest przytulona do piersi Thibaulta. To by tłumaczyło, dlaczego wydawane przez nią odgłosy były tak blisko.

– To pańskie dziecko? – pyta internista.

Na ułamek sekundy całe moje ciało znów wpada w amok. Czuję, że burza zaczyna robić spustoszenie w mojej głowie.

– Nie, to córeczka zaprzyjaźnionego małżeństwa.

Wszystko wraca do normy. Clara nie jest córką Thibaulta. Ogromna ulga.

Tuż po tym stwierdzeniu sama biję się w myślach po twarzy. Co ze mną jest nie tak, żeby doprowadzać się do takiego stanu? Jaki to by miało ze mną związək, gdyby Thibault był tatą małego złotego płatka śniegu? Trzeba spojrzeć prawdzie w oczy. Muszę strzec się własnych emocji. W miarę jak czepiam się Thibaulta, coraz bardziej go zawłaszczam.

– Świetnie – mówi internista. – Zdaje pan sobie sprawę, że normalnie nie należy zabierać niemowląt na ten oddział?

– Nie wiedziałem. Czy mimo to mogę zostać?

– Dziś przymkam oczy. Następnym razem proszę jednak tego nie robić.

Chyba pielęgniarka skończyła wszystko sprawdzać, wydaje mi się bowiem, że słyszę, jak wygładza pościel i zakłada mi resztę czujników. Po kilku chwilach otrzymuję potwierdzenie, słysząc metaliczny dźwięk karty zdejmowanej z poręczy łóżka.

– Panie doktorze, wypełni ją pan?

– Proszę wypełnić za mnie, jeśli pani tak miła.

Internista dyktuje coś w niezrozumiałym żargonie, następnie podpisuje się na dole karty, którą wręcza mu pielęgniarka. Kobieta opuszcza salę.

Thibault zapewne przestał się krzątać – słyszę, jak z łatwością hušta Clarę w ramionach. Nie sędę jednak, żeby posunął się aż do zdjęcia butów. Skoro przyszedł z niemowlęciem, na pewno nie zamierza spać.

– Nie odpowiedział pan na moje pytanie – odzywa się znienacka.

– Proszę? – dziwi się internista.

– Jak to możliwe, że chociaż te wszystkie ustrojstwa się porozłączały, ona nadal oddycha?

– Organizm utrzymuje ją przy życiu przez jakieś dwie godziny. Jest w stanie samodzielnie oddychać i przez ten czas funkcje życiowe zostają podtrzymane. Później znów będzie potrzebowała wspomagania.

– To normalne?

– Niekiedy się zdarza. Dla nas to sygnał, że organizm jeszcze nie doszedł do siebie i że konieczna jest śpiączka.

Zdecydowanie wolałabym, żeby to internista rozmawiał z moimi rodzicami o odłączeniu mnie, nie ordynator. On przedstawia sprawy mniej kategorycznie. Mówi o mojej śpiączce prawie tak, jakby to była naturalna i łagodna choroba.

– Ma pan jakąś wizję, jak długo w niej pozostanie? – pyta Thibault.

– Nie mogę odpowiedzieć na to pytanie.

– Dlaczego? Nie wie pan?

– Ponieważ pan nie jest członkiem rodziny.

Internista niemal przeprosił, udzielając odpowiedzi. Czuję, że chciałby wyjawić więcej, ale się powstrzymuje.

– Zostawiam pana z nią – mówi, aby położyć kres wahaniu. – Miłego dnia.

– Dla pana również.

Internista także wychodzi i zostawia nas – Clare, Thibaulta i mnie – samych. Nadal jestem roztrzęsiona po tym, co się stało. Zapada cisza. Nie słychać nawet fikania niemowlęcia. Zastanawiam się, co się dzieje. Mam wrażenie, że moja tęcza traci kolory.

16.

THIBAULT

Muszę się uspokoić.

Nie, jestem spokojny. Raczej muszę przemówić sobie do rozsądku. Julien miał słuszość.

Właśnie zakochuję się w dziewczynie w śpiączce. Naprawdę nie ma w tym nic zdrowego. Choć kiedy zobaczyłem ją przed chwilą z szeroko otwartymi oczami, jak poderwała się w jakimś szalonym podskoku, zareagowałem odruchowo.

Odruchowo... Sam się siebie boję, tym bardziej że z ust wyrywa mi się szept.

– Elso... Prawie nic o tobie nie wiem, a jednak...

Zawieszam głos. Po raz pierwszy w rzeczywistości nie zwracam się do mieszkanki tej sali. Nie czuję żadnej potrzeby, żeby dokończyć głośno zdanie. Dalszy ciąg sam rysuje mi się w głowie. Uświadamiam sobie wówczas, że muszę przypominać brata podczas rozmowy dziesięć minut temu. Podobieństwo między nami dwoma przyprawia mnie o lekkie mdłości, ale z pewnością spoglądam tak samo wymijającym wzrokiem, jak on, kiedy wpatrywał się w szare niebo za oknem.

Clara wierci mi się na rękach, patrzę więc, gdzie by tu ją położyć, aby mogła swobodnie pofikać. Wówczas uzmysławiam sobie wszystkie błędy, które popełniłem jako jeszcze niedoświadczony ojciec chrzestny. Zabranie jej do szpitala było dużym egoizmem. Nie pomyślałem nawet o wzięciu jakiegoś kocyka wraz z zabawkami i całą resztą, żeby ją czymś zająć. Wszystko wyliczyłem, żeby nie musieć taszczyć ze sobą butelki ani pieluchy, ale nie zadbałem o resztę. Jedyne możliwości, to położyć Clarę na łóżku obok Elsy, tylko że w tym celu potrzebowalibyśmy trochę więcej miejsca.

Rozkładałam swój skafander na podłodze i kładę na nim Clarę na czas, aż nie zorganizuję jej bardziej przyjemnej przestrzeni obok nieruchomego ciała. Zastygam na moment. Elsa wydaje się taka spokojna w porównaniu

z tym, co było przed chwilą. Ani śladu twardych policzków i zeszywniałych dłoni w naprężonym ciele.

Skurcz ten miał jeden pozytywny aspekt, chociaż mimo wszystko wolałbym, żeby się nie wydarzył, mianowicie mogłem zobaczyć oczy Elsy. Ten błady błękit, który wstrząsnął mną równie mocno, jak stan, w jakim się znajdowała. Zastanawiam się przez chwilę i przypominam sobie, gdzie już widziałem ten odcień. Na zdjęciu na drzwiach. Błękit lodowca, po którym szła.

Dopóki nie ujrzałem tego zdjęcia, nigdy bym nie przypuszczał, że lód może być niebieski. Dla mnie lód jest biały, ewentualnie przezroczysty, jeśli ma się dostatecznie czysty i gładki blok. To znaczy szron w zamrażalniku albo okrągłe kostki lodu w pubie. Dysponuję dość ograniczonymi punktami odniesienia. Nikt mi nigdy nie pokazał niebieskiego lodu, nie licząc aromatyzowanej jadalnej wersji, a i tak uznałem to za ohydne.

Tu, na tej fotografii, odkryłem, czego potrafi dokonać nasza planeta. Zdziwiło mnie to, mimo że zajmując się ochroną środowiska, miewałem do czynienia z analizą zagadnień związanych z lodem morskim i lodowcami. Ponieważ jednak w tym się nie specjalizowałem, ograniczyło się to do dwóch pierwszych lat na studiach. Później skupiłem się na czymś innym. Elsa sprowadziła mnie na ziemię. Albo raczej na lód.

Wzdycham, kręcąc głową. Dziesięć dni, jak spotkałem ją na swojej drodze, dziesięć dni, jak mój świat zaczął się kręcić wokół niej. Nie mam żadnej nadziei, że wkrótce znów zobaczę ten błękit, który jest lodowy wyłącznie za sprawą swojego koloru, za to mam nadzieję, że pewnego dnia jeszcze kiedyś w ogóle go zobaczę. Przeznaczeniem Elsy nie jest pozostanie w śpiączce przez całe lata tylko dlatego, że internista nie chciał odpowiedzieć na moje pytanie. Może nie śmiał przyznać, że ona ma przed sobą jeszcze trzy miesiące. Trzy miesiące – niektórym osobom może się to wydać tak długo.

Dla odmiany udzielił mi garści informacji, których nie należy lekceważyć. Elsa jest w stanie przeżyć dwie godziny bez tej całej elektroniki. Już ostatnim razem dotarło do mnie, że większa jej część to najróżniejsze czujniki, nie zdawałem sobie jednak sprawy, że można to wszystko odłączyć na kilka chwil.

Teraz wiem i to mi pasuje.

Pochyliam się nad nią i chwytam przewód od respiratora. Drzę na myśl, że wykonam ten gest i spowoduję coś nieodwracalnego. Przed pięcioma

minutami miałem jednak dowód, że przez pewien czas nie będzie to miało żadnego wpływu.

Zaciskam zęby i zamykam oczy. Klik. Właśnie odczepiłem przezroczystą rurkę od respiratora. Na monitorze obok ciągle słyszę regularne i uspokajające pikanie. Nie mam odwagi wyłączyć maszyny, która nadal pompuje w próżnię. Ekipy medyczne z pewnością muszą mieć sposób, żeby śledzić wszystko na odległość.

Wyciągam się nad łóżkiem i przesuwam stojak kroplówki. Korzystam z tego, żeby wypiąć pozostałe dwa, trzy przewody i przemieścić Elbę. Na końcu trzymam dłoń na pulsoksymetrze zamkniętym na jej palcu wskazującym. To jedyny wymóg czasu, jaki mam, jeśli nie chcę, żeby pielęgniarki wpadły tu w trybie pilnym.

Zdażyłem już wsunąć rękę pod ciało Elsy. Wiem, że od ostatniego razu nie zrobiłem żadnych postępów, ale dziś postanawiam, że osiągnę cel, nawet gdyby miał mnie złapać skurcz w ramieniu. Naprężam mięśnie, żeby ją podnieść, i jednocześnie zdejmuję z jej palca pulsoksymetr. Drugą ręką łapię ją czym prędzej w talii i z żalosnym pomrukiem udaje mi się przeciągnąć Elbę o jakieś dwadzieścia centymetrów.

Adrenalina każe mi natychmiast włożyć jej na palec pulsoksymetr, następnie podłączam wszystkie ustrojstwa, które poodczepiałem. Układam także z powrotem pozostałe przewody. Doskonale – Elsa wygląda tak samo jak kilka sekund temu, za to leży dwadzieścia centymetrów dalej. Jediną mniej doskonałą rzeczą jest skurcz, jaki się pojawił równocześnie nad moimi łopatkami, ale zapominam o bólu, tym bardziej że stwierdziłem, że warto go znieść.

Prostuję się i zerkam na Clarę. Moja chrześnica leży na plecach tam, gdzie ją zostawiłem, jej oczka zaś zaczynają się zamykać. Na grubej podpince mojego skafandra czuje się zapewne jak na ciepłym i miękkim materacu. Przez chwilę wyobrażam sobie, że jestem na jej miejscu, i od razu senność rzuca mi wyzwanie. Możliwe, że przesunięcie Elsy przyniesie mi w końcu inną korzyść.

Biorę Clarę i kładę na łóżku obok Elsy. Mała fika z zadowoleniem, miejsce to musi być bardziej przytulne niż mój skafander na wywoskowanej podłodze. Czym prędzej ściągam buty i siadam na brzegu materaca, aby przyjrzeć się całości.

Wiem, że Gaëlle i Julien niekiedy śpią na plecach, z Clarą leżącą płasko na brzuszku i przytuloną do ich piersi, lecz ja sobie nie ufam, szczególnie

przy tak ograniczonej przestrzeni. Trudno, zostanę na boku, z Clarą między Elszą a mną. Nie będzie ryzyka, że spadnie.

Jedyny warunek, to żebym nie zasnął, ale chociaż za każdym razem, gdy moja chrześnica otwiera usteczka do ziewania, ogarnia mnie senność, wiem, że pozostanę wystarczająco czujny, by jej pilnować. Kładę się na krawędzi materaca, aby zostawić jej jak najwięcej miejsca, szczerze jednak wierzę, że nie zauważyłaby, gdybym przytulił ją trochę mocniej. Wydaje mi się, że skoro jej ręce są nieruchome, zasnęła.

Błądząc więc wzrokiem po osobie, która znajduje się tuż za nią. Prawe ramię Elsy jest wygięte pod dziwnym kątem, uświadamiam więc sobie, że przesunąwszy ją, zostawiłem je w poprzek jej brzucha. Chwytam je ostrożnie, jakbym się bał, że ją obudzę, i układam wzdłuż ciała. Tylko że obok niej leży Clara i mimo wszelkich wysiłków jestem zmuszony pozostawić bezwładną kończynę dotykającą chrześnicy. Najwyraźniej małej to absolutnie nie przeszkadza, nie drgnie bowiem ani na milimetr. Owijam się zatem wokół Clary, aby utworzyć coś w rodzaju kokonu. Moje kolana napotyka nogi Elsy, czoło zaś napotyka jej ramię.

Z tak bliska woń jaśminu, który zazwyczaj się nad nią unosi, wydaje się mocniejsza. Albo może to jej zapach przenika bardziej przez pościel? Na chwilę zamykam oczy i nagle chce mi się płakać. Szloch wydobywa się z moich ust, zanim zdążę go powstrzymać. Mam tak mocno rozchyłone usta, jakbym wymiotował kulę żalu.

Jestem godny politowania. Słaby. Dopiero leżąc na szpitalnym łóżku obok kobiety w śpiączce i pogrążonego we śnie niemowlęcia, wreszcie pozwalam łzom płynąć. A przecież płakałem już w zeszłym tygodniu, kiedy był przy mnie Julien, ale teraz to zupełnie co innego. Te dwie osoby obecne w sali nigdy nie zdradzą, jak dużo wylałem łez ani jak boleśnie łkałem. Mogę się nie krępować.

Płaczę i nie mogę przestać. Płaczę nad własną arogancją i słabością, nad własnymi pragnieniami. Płaczę, ponieważ nie zawsze potrafię rozmawiać z bratem. Płaczę nad zazdrością o Gaëlle i Julię, o ich zgodne małżeństwo, o ich idealną rodzinę. Marzę, żeby być na ich miejscu, zamiast tego jednak zabieram ich córeczkę w odwiedzinach do szpitala i schylam głowę za każdym razem, gdy jakaś kobieta uśmiecha się do mnie z czułością.

Nagle robi mi się zimno, chociaż wiem, że tylko w mojej głowie. Nie żebym zmarł, po prostu chciałbym znaleźć się w czyichś ramionach, które

by mnie pocieszyły. Nie w ramionach matki, nie w ramionach Julienu, tym bardziej nie w ramionach brata. Nie, jedyne ramiona, które ewentualnie mogłyby dodać mi dzisiaj otuchy, spoczywają nieruchomo kilka centymetrów ode mnie. I dokładnie wiem, dlaczego tak myślę. Potrzebuję tych ramion z tego prostego powodu, że nie mogę ich mieć teraz – i że jeśli ich pragnę, będę musiał się o nie bić. Z pewnością po raz pierwszy w życiu.

Zawsze wszystko mi łatwo przychodziło. Powodzenie na egzaminach, studia, etapy życiowe. Nawet z Cindy poszło mi łatwo. I patrząc wstecz, mogę również powiedzieć, że jej odejście było łatwe, dała mi bowiem wystarczająco dużo powodów, żebym jej nie cierpiał, dzięki czemu szybko przetrwałem zerwanie. Wszystko to są skutki uboczne, które okazały się mniej oczywiste, ja zaś pozwoliłem, żeby mnie to przerosło. Pozbierałem się i poszukałem nowego mieszkania, ale ostatecznie to jedyny cel, jaki rzeczywiście osiągnąłem. Cierpię z powodu wypadku brata, chociaż wcale nie zawiniłem. Chyba najwyższy czas się z tego wyplątać.

Chyba najwyższy czas się z tego wyplątać.

Przestaję szlochać równie nagle, jak zacząłem. Oto moja decyzja. Oto jak będę walczył. Będę walczył o siebie i będę walczył o nią. Chcę, żeby Elsa się obudziła, i sam chcę się obudzić. Dwa koła ratunkowe, które zgodnie współdziałają. Ja będę stroną świadomą za nas oboje, ona będzie stroną... Ee... Tak naprawdę to nie wiem, jaką stroną mogłaby być, lecz chcę wierzyć, że coś zziała.

Ostatnie łzy spływają mi już po uśmiechniętej twarzy.

Wtedy czuję pod palcami jakieś ciepło, spoglądam więc w dół. Zaciskam wargi, odkrywając, że właśnie pieszczę ramię Elsy.

Muszę się uspokoić.

Nie, przecież jestem spokojny. Muszę iść za głosem rozsądku. Julien miał rację.

Zakochałem się w dziewczynie w śpiączce.

W tej chwili wydaje się to najzdrowszą rzeczą, jaka mi się kiedykolwiek przytrafiła.

17.

ELSA

Prawdziwa rozkosz. Leżę obok tęczy i złotego płatka śniegu. Pod zamkniętymi powiekami miga mi cała masa kolorów, odcieni, mnóstwo drobnych błysków, łagodnych i zarazem lśniących. Wygląda na to, że niemowlę zasnęło, ponieważ jego oddech jest całkowicie spokojny. Oddech Thibaulta wskazuje, że czuwa. Mój wskazuje...

Mój wskazuje na to, że Thibault źle podłączył respirator.

Śledziłam każdy jego ruch, nie zdołałam skojarzyć wszystkich dźwięków i czujników, ale dźwięk respiratora rozpoznałam bezbłędnie. Słyszę cichutki, leciutki świst. Rurka od powietrza przechodzi tuż nad moim uchem. Wśród całej reszty jestem w stanie rozróżnić stróżkę tlenu, która ulatnia się w mojej sali.

Nie mam powodu wpadać w panikę, gdybym nawet była do tego zdolna. Do płuc dochodzi wystarczająco dużo powietrza, żebym mogła oddychać. Nie trzeba się bać.

Strach... Nie zamierzam specjalnie się starać, żeby poczuć ten strach, skupiam się więc na ćwiczeniu, które zwykle wykonuję, gdy jest Thibault.

Chcę odwrócić głowę i otworzyć oczy.

Chcę odwrócić głowę i otworzyć oczy.

Chcę odwrócić głowę i otworzyć oczy.

Nagle w samym środku tej umysłowej wyliczanki zjawia się intruz. Ciepło. Łagodność. Dotyk.

Uleciało. Musiałam się pomylić.

Chcę odwrócić głowę i otworzyć oczy.

Chcę odwrócić głowę i otworzyć oczy.

Znów łagodność.

Daj spokój, co takiego mogłabyś poczuć?

Chcę odwrócić głowę i otworzyć oczy.

Ciepło. Umiejscowione.

Umiejscowione? Gdzie? No gdzie?

Już go nie ma.

Tylko że ja się wcale nie pomyliłam. Zwłaszcza że w chwili, gdy poczułam to ciepło, przed oczami pojawiła mi się fioletowa plama.

Poczułam... Skąd pewność, że nie wymyśliłam tego ciepła? Przy całym tym treningu autosugestii jak odróżnić rzeczywistość od fantazji?

Porzucam pytania. Decyduję, że to rzeczywiste. W końcu przecież ostatnio salowa podobno usłyszała, jak śpiewam. Dobra... Z tym śpiewaniem to z pewnością przesada. Być może po prostu odetchnęłam ciężiej niż zwykle. Tylko że ona wydawała się taka przekonana. A przy grającej mi w głowie muzyce chciałam uwierzyć, że nareszcie dałam otaczającemu mnie światu jakiś znak.

Śmieję się w środku – mam wrażenie, że jestem kosmitą, który chce nawiązać kontakt z mieszkańcami tej planety. Kosmitą, który na razie potrafi się porozumiewać wyłącznie za pomocą kolorów. W dodatku „porozumiewać się” to o wiele za dużo powiedziane. Normalnie porozumiewanie się odbywa się w dwóch kierunkach. W tym wypadku dokładnie w jed...

Niespodziewane ciepło.

Wyładowanie elektryczne.

Pikanie pulsoksymetru staje się szybsze i krótsze, po kilku chwilach się uspokaja. Obok mnie Thibault się porusza. Chyba usiłuje spojrzeć na mały ekran, po którym sunie wskaźnik uderzeń mojego serca. Zastyga, jakby starał się zrozumieć lub na coś czekał. Zapewne zmienia zdanie albo się uspokaja, ponieważ kolejne ruchy wskazują, że się kładzie z powrotem. Tylko do połowy.

W tym wypadku także mogę się mylić. Zwłaszcza że nie pojmuję, dlaczego miałyby tylko usiąść. Zazwyczaj jednak gdy Thibault mości się obok mnie, przez pewien czas wierci się jak kot szukający miejsca. W tym wypadku nic takiego nie słyszałam. Nie ma się czym przejmować, na pewno rozmyśla, zastanawia się, pilnuje Clary albo co tam jeszcze. Nieważne. Jest tutaj, tylko to się liczy. Ponieważ chwilowo ja mam zajęcie i doskonale wiem, że idzie mi o wiele lepiej, kiedy jest tutaj Thibault.

Chcę odwrócić głowę i otworzyć oczy. Chcę odwrócić głowę i otworzyć oczy.

Ciepło i dotyk.

Na ramieniu.

Jednocześnie aparat po mojej lewej stronie wydaje cztery szybkie piknięcia, po czym wraca do normy.

– Na litość boską, co się dzieje?

Chociaż powiedział to szeptem, jest oczywiste, że Thibault się niepokoi. W końcu przecież mnie przesunął, co mogło spowodować właściwie wszystko. Dobra, również źle podłączył respirator, tylko że o tym nie wie. Coś mi jednak mówi, że przyspieszone bicie serca nie ma nic wspólnego z pompą, do której jestem podłączona zaledwie w połowie.

Zdołałam umiejscowić ciepło na ramieniu.

Poczułam. Naprawdę. Tym razem to nie wyobraźnia. Jestem tego pewna. Na kilka chwil mózg namierzył ramię. Za to nie wiem, które – lewe czy prawe. Ale poczułam.

I chcę znów poczuć.

Potrzeba dotyku. Nagle wyobrażam ją sobie jako zależność, głębokie uzależnienie, które trzeba by leczyć wielomiesięcznym odwykiem. Niedająca się zaspokoić potrzeba, która mogłaby mi ścisnąć gardło, przytępić myśli, przyprawić o drzenie aż po koniuszki palców.

Moje pragnienie spełnia się kilka oddechów później.

Znów czuję.

Ciepło, łagodność, dotyk.

Prawe ramię, tym razem to pewne. Wiem jednak, że nie mogę nim poruszyć. Nie warto nawet próbować. Skupiam się na drobnych bodźcach nerwowych, usiłując skojarzyć je ze wspomnieniami. Po czymś, co trwa zapewne długą chwilę, jestem w stanie rozróżnić dwie strefy „ciepła, dotyku, łagodności”. Jedną nieruchomą. Drugą przemieszczającą się. Przynajmniej takie odnoszę wrażenie.

To szaleństwo... Nie czuję nóg ani rąk, ani niczego innego, potrafię za to oddzielić dwie strefy, które muszą mieć mniej niż trzy centymetry kwadratowe.

Z zamyślenia wrywa mnie nagle pikanie monitora po prawej stronie, który wyraźnie zwariował. Tym razem to ja się zastanawiam, co się dzieje. Już nic nie pojmuję. Już nic nie czuję. To znaczy tak, czuję jedną ze stref ciepła i dotyku, tę nieruchomą. Dla odmiany miejsce, w którym występowało wrażenie ruchu, przestało istnieć. Chciałabym zrozumieć, co ze mną jest.

Wtem hałasy ucichły. Porównując to ze wspomnieniami, powiedziałabym niemal, że mózg specjalnie wyłączył słuch, aby skupić się

na czym innym. Tylko na czym?

Wyławiam z oddali pisk, który przeraziłby każdego lekarza, i zastanawiam się, dlaczego żaden z nich jeszcze nie wpadł do mojej sali. Moje poczucie czasu zostało potwornie zaburzone, nie umiem stwierdzić, czy puls mi zwariował przed sekundą, czy przed godziną.

Po raz pierwszy słuch mi szwankuje. Może respirator naprawdę był niezbędny. Może to moje ostatnie świadome chwile. Mam ochotę zacisnąć zęby i walczyć, żeby odzyskać wszystkie zmysły. Albo raczej zmysł słuchu. Tak bardzo chciałabym zrozumieć.

Wszystko kłębi się w mojej głowie. Kolory, faktury, myśli. Po raz kolejny nie wiem, czy przechodzę przez to od dwóch dni, czy tylko od kilku minut, po czym stopniowo wracam do siebie. Słyszę, jak pikanie staje się regularne, słyszę silnik respiratora, słyszę przepływ powietrza przez rurkę, słyszę Thibaulta i jego łyzy.

Słyszałam je już przed chwilą. Ciężkie, gęste, pełne goryczy, biorąc pod uwagę szarawe odcienie, które przemknęły mi przed oczami. W tym wypadku ich barwa jest zupełnie inna. Jest nawet raczej dziwna. Można by powiedzieć: mieszanina smutku i radości. Niezrozumiała. Porzucam tę analizę.

Słyszę także, jak moje ciało robi głęboki wdech.

To z kolei jest zaskakujące. Chociaż może po takim napływie krwi mój organizm musi się na nowo zaopatrzyć. Ciągle jednak pozostaje pytanie „Dlaczego?”.

Dlaczego... Mam wrażenie, że to jedyne pytanie, jakie jestem w stanie sobie dzisiaj zadać.

18.

THIBAUT

Nie potrafiłem się oprzeć. Pocałowałem ją.

Spodziewałem się, że to będzie zimne. Pierwszy błąd.

Spodziewałem się, że to będzie sztywne. Drugi błąd.

Oczywiście nie istniała szansa, żeby Elsa odpowiedziała na mój pocałunek, ale to było miękkie. Wystarczająco miękkie, żeby moje wspomnienia skojarzyły ten kontakt z jakimkolwiek pocałunkiem złożonym na śpiącym ciele. To rodzaj pocałunku w środku nocy, kiedy partnerka jeszcze śpi. Być może ten, którym właśnie próbujemy ją obudzić. Ten, który sprawia, że noc przybiera zupełnie inny obrót – albo czysto sentymentalny, albo czysto fizyczny, albo jedno i drugie. Zastanawiam się, od jak dawna tak naprawdę nie dzieliłem z nikim takiej chwili.

Teraz jednak, w tej szpitalnej sali, nie wiem, co mnie napadło.

Niektórzy powiedzieliby: „To było silniejsze ode mnie”. Nie lubię tego zwrotu. Ja powiedziałbym raczej...

To było oczywiste.

Pocałowałem ją.

Przygryzam zagięty palec wskazujący, żeby pozbyć się napięcia. Minęły już dwie godziny, odkąd wróciłem do mieszkania Juliena i Gaëlle, lecz nadal jestem przesadnie podekscytowany. To z pewnością adrenalina wywołała całą sytuację i być może także te cholerne hormony, które zaczynają buzować, kiedy budzą się uczucia. Aż do niedawna pławiłem się w jakiejś euforii, idąc do mieszkania niemal na oślep. Ależ człowiek potrafi być śmieszny, kiedy jest zakochany...

Gaworzenie Clary momentalnie sprowadza mnie na ziemię. O tej porze powinienem jej przygotować wieczorne mleko.

Po powrocie odruchowo włączyłem telewizor, ale bardzo przyciszyłem dźwięk. Być może zrobiłem to, aby mieć towarzystwo, choć – moim zdaniem – głównie po to, żeby nie myśleć. Szkopuł w tym, że to nie działa. Nawet Clarze nie udaje się wyrwać mnie z zadumy.

Kiedy mleko jest gotowe, kładę Clarę na sobie i pozwalam spokojnie ssać z butelki. Błądzą wzrokiem po salonie i wreszcie znajduję cel. Instrukcję obsługi spacerówki. To prawda, mam plany na jutro i powinienem się nauczyć rozkładać to cholerne ustrojstwo. Pod stolikiem leży jednak coś innego, co przykuwa moją uwagę.

Ciekawe, że dojrzałem tę książkę, ponieważ jest dobrze ukryta wśród czasopism. Przecież sam ją tu ostatnio położyłem – wcisnąłem celowo, żeby zapomnieć o niej przed wyjściem. Waham się jeszcze przez chwilę. Bardzo mnie ciekawi, dlaczego Julien mi ją kupił – on, który od tygodnia powtarza, żebym bardzo uważał na siebie i na to, co dzieje się w mojej głowie i w moim sercu. Może myśli, że to mnie zniechęci do odwiedzin u Elsy. Może chce się po prostu przyczynić do pogłębienia mojej wiedzy medycznej. To ostatnie przypuszczenie budzi jednak we mnie spore wątpliwości.

Tkwię nieruchomo, niezdecydowany, dopóki Clara nie kończy jeść. Przypomina mi to bitwę na spojrzenia. Ja wpatruję się w książkę, aby zmusić ją do lewitacji w moją stronę, książka rzuca mi wyzwanie, żebym ją chwycił. Na szczęście dla książki udaje jej się zyskać odroczenie na czas potrzebny na położenie Clary spać. Na nieszczęście dla niej dopadam ją około godziny dwudziestej pierwszej, po kolacji i prysznicu, niczym żołnierz, który wreszcie jest gotów do bitwy.

Książkę rozpoczyna przedmowa, którą skwapliwie sobie odpuszczam. Spis treści wydaje się dobrze skonstruowany, ale równie szybko go pomijam, aby przejść do wprowadzenia. W ciągu pięciu sekund zdążyłem już przewrócić dobre dziesięć stron, próbując dotrzeć do sedna sprawy.

Wyjaśnienia rozpoczynają się dość prosto, przy użyciu kilku naukowych określeń. Szybko jednak terminologia staje się zbyt fachowa. Kiedy spoglądam na zegar, jest dwudziesta pierwsza dziesięć. Nie, to niemożliwe... Mam wrażenie, że łamię sobie głowę nad tą książką już od ponad godziny. Zdecydowanie pozostanie przykryta czasopismami. Poddaję się.

Coś mi się wydaje, że jakiejś części mnie nie uśmiecha się czytanie o tym, jak marne szanse na przebudzenie ma ktoś pogrążony w śpiączce.

Zupełnie się nie orientuję w stanie Elsy, nikt nie chce o tym ze mną rozmawiać. W końcu dochodzę do wniosku, że wolałbym, aby nikt o tym ze mną nie rozmawiał. Wolę być ślepy i nic nie wiedzieć. Nie wiedząc nic,

ciągle mam nadzieję. Nadzieja zaś jest wszystkim, co pozwala mi dziś iść naprzód.

Dwudziesta pierwsza piętnaście, biorę instrukcję obsługi spacerówki. Dyskretnie wracam do pokoju Clary po źródło mojego niezadowolenia, po czym przesuwam stolik, aby zrobić sobie trochę miejsca. Gestykulacja, jaka po tym następuje, przypomina zapewne bardzo kiepski balet. Przemieniam się w jakiegoś strasznego tancerza, lichego partnera spacerówki, która zgadza się ugiąć, albo raczej rozgiąć, pod moimi żądaniem dopiero po numerze wykonanym przez bezlitosny duet.

W końcu o dwudziestej drugiej triumfalnie zapowiadam gwóźdź programu. Niemniej jednak zostawiam rozłożoną spacerówkę w wejściu. Wprawdzie złożyłem ją i rozłożyłem pięć razy z rzędu, aby mieć pewność, że zapamiętałem właściwy ruch, i tak się boję, że jutro rano nie będę już umiał tego powtórzyć.

Przygotowuję wszystko, czego będę potrzebował dla chrześnicy, która obudzi mnie w środku nocy, i cichutko kładę się na łóżku. Walka ze spacerówką musiała mnie wyczerpać bardziej, niż przypuszczałem, ponieważ prędko zasypiam.

Okolo czwartej rano nieprzytomny podaję Clarze mleko, po czym ponownie zapadam w głęboki sen.

Budzik dzwoni o siódmej. Albo raczej mój telefon wibruje o siódmej. Rzucam się na niego, aby nie zakłócić odpoczynku tego małego cudu, który dzieli ze mną pokój.

To niesamowite, jak człowiek powiela podobne zachowania w skądinąd zupełnie odmiennych sytuacjach. Pamiętam, że przez trzy lata budziłem się w ten sam sposób, aby nie przeszkadzać Cindy, która drzemała kwadrans dłużej ode mnie. Robiłem jej śniadanie, z początku z miłością, później z przyzwyczajenia. Po zastanowieniu dochodzę do wniosku, że podziękowania słyszałem jedynie w pierwszych tygodniach. Nie zważałem na to – byłem zakochany, potem przywykłem. Dziś jestem po prostu oddany. W dodatku wiem, że Clara nie puści mnie w trąbę.

Myję się, golę i ubieram, aby mieć czas wyłącznie dla Clary, kiedy się obudzi, co wkrótce następuje. Opatulam ją w mnóstwo warstw, aby zgodnie z zaleceniami Gaëlle, miała ciepło. Nie zapominam także o różowej czapeczce, którą podarowałem jej w dniu narodzin. Znajduję ją starannie ułożoną z resztą ubranek „na wyjście”, jak mówi Julien. Dobrze się składa, ponieważ akurat planuję „wyjście”.

Za to nieco wyjątkowe. To będzie nowość dla mojej chrześnicy. Dla mnie również. Nigdy jeszcze nie trenowałem spacerówkojoggingu. Wiem tylko tyle, że kupiony przez Julię model wózka się do tego nadaje. Trochę się jednak obawiam, ale to raczej ekscytacja niż nerwowość. Tymczasem po raz pierwszy od początku grudnia nie wyglądam już tak bardzo jak kosmonauta. Kiedy zamykam za sobą drzwi, kurtka wisi na wieszaku.

Jazda windą ze spacerówką okazuje się mniej trudna, niż sobie wyobrażałem, w przeciwieństwie do zwykłego wyjścia z budynku. O dziewiątej rano w niedzielę nie bardzo kto mógłby mi przytrzymać drzwi, właściwie nie ma nikogo. Każę Clarze zatkać uszy na czas, gdy puszczam długą wiązaną przekleństw, przekraczając próg budynku. Ledwie wydostaję się na zewnątrz, nagle mam wrażenie, że odżywam.

Nie w pełni pojmuję wszystko, co się ze mną dzieje, delectuję się za to czymś tak prostym jak promienie słońca przeświecające przez chmury. Właściwie nie powinno padać, mimo to zakładam plastikową osłonę na spacerówkę. Nie chciałbym, żeby Clara zmarła.

Zaczynam, zmierzając w szybkim tempie w stronę parku. Po kilkuset metrach stwierdzam, że buty, które pożyczyłem od Julię, są znakomite. Jeśli spacerówka tak samo dobrze nada się do joggingu, sprawi mi to większą przyjemność, niż się spodziewałem. Dotarłszy do asfaltowych alejek przecinających olbrzymią zieloną przestrzeń, stopniowo przyspieszam. Okrążam truchtem cały park, z początku niezdarne, później coraz bardziej pewnie.

Leżąca w spacerówce Clara wydaje się bardziej rozbudzona niż kiedykolwiek. Najwyraźniej nowe doświadczenie wprawia ją w zachwyt. Jeszcze przed kilkoma dniami odnosiłem się do tego bardzo sceptycznie, ale teraz czuję się przekonany. Zaczynam nawet snuć plany bardziej regularnych sesji. Muszę porozmawiać o tym z Julienem. Moglibyśmy od czasu do czasu, ot tak, pobiegać sobie razem. Zastanawiam się nawet, czy Gaëlle by się do nas nie przyłączyła.

Około dziesiątej park nieco bardziej się zapełnia, choć o wiele mniej, niż sobie wyobrażałem. Z tego prostego powodu, że słońce zaczyna ostatecznie znikać za chmurami. Ruszam więc z powrotem do domu, pod koniec nawet znów biegnę, ponieważ zaczyna padać deszcz.

Docieram przemoczony od potu i deszczu, ale najpierw zajmuję się małym aniołkiem, który przysnął w spacerówce. Po przebraniu i zmianie pieluszki Clara kategorycznie domaga się pozostania na rękach. Krążę po

salonie, zabawiając ją, w miarę jednak jak światła ubywa, wpadam w coraz gorszy nastrój. Jeszcze nie minęło południe, a można by sądzić, że jest noc. Jakoś dziwnie przypomina to coś, w co wczoraj po południu wpatrywał się mój brat.

Gdy przez chmury przebija promień słońca, podchodzę do okna i próbuję odnaleźć wrażenie, jakie towarzyszyło mi przy porannym wyjściu. Nic nie powraca. Zupełnie tak, jakby mój organizm wszystko zapomniał.

W oddali pada deszcz. Słońce rozjaśnia tylko jeden punkt, przy którym pojawia się i znika bledziutka tęcza. Coś jakby iskrzące światełko, które przypomina aż nadto pewną linię na pewnym ekranie w pewnej szpitalnej sali. Zakreślam łuk, pokazując Clarze kolory, chociaż doskonale wiem, że nie będzie pamiętała tej niedzieli, kiedy to ojciec chrzestny nauczył ją, jak obserwować takie zjawisko.

Wzdycham z palcem skierowanym ku tęczy. Stałem się apatyczny, można by sądzić, że naśladuję nową osobowość brata. Clara chyba to wyczuła, ponieważ próbuje wydostać się z moich ramion. Kładę ją do łóżeczka i wracam do okna, jakby przyciągany magnesem.

Rzęsisty deszcz w gruncie rzeczy odzwierciedla mój stan ducha. Nagle mam ochotę wykrzyknąć swój ból, ale wiem, że tego rodzaju postawa zaczyna wywierać dobroczynny wpływ. Dość już się napłakałem. Powziąłem pewne postanowienia. Nienawidzę burz, lecz zdaje się, że akurat ta tęcza przywraca mi nadzieję.

Burze muszą się przecież na coś przydać.

19.

ELSA

Brzydzi mnie omdlewający odgłos pocałunku mojej siostry i jej obecnego kochasia. Jak ona śmie robić to w mojej sali? Oczywiście nigdy nie musiała zadawać sobie pytań na temat chłopaków. Wystarczy skinąć na jednego ze stada, które wiecznie się za nią ciągnie. Rzeczony kochaś najwyraźniej nie zastanawiał się ani przez chwilę, zanim oddał pocałunek.

Dźwięki wydawane przez niektóre materiały pozwalają nawet przypuszczać, że wsuwa ręce pod bluzkę mojej siostry. Słyszę jej śmiech, chyba jednak zmieniła zdanie, ponieważ przestali się wreszcie pożerać wargami.

Wzdycham w myślach. Owszem, miałam dość słuchania, jak się całują, ale owszem, byłam także trochę zazdrosna. Zazdrosna nie dlatego, że siostra mówiła do mnie mniej niż zwykle, tylko raczej dlatego, że nie doświadczyłam tego rodzaju bliskości od czasu, który wydaje mi się wiecznością.

Kiedy obudziłam się dziś rano, straciłam nieco poczucie czasu, później przyszła siostra i wtedy dotarło do mnie, że jest środa. Nie zdołałam ustalić dokładnej daty, dopóki nie odebrała telefonu. Zdaje się, że jest dziesiąty, ale nie mam pewności. W każdym razie mogę powiedzieć, że Boże Narodzenie jest za mniej więcej dwa tygodnie. Zastanawiam się, na jakiz to prezent mnie skazą.

Jak nic – na otchłań.

Jaki prezent można by ofiarować córce w śpiączce? Zwłaszcza że jej urodziny były cztery tygodnie wcześniej, lekarze myślą zaś tylko o tym, żeby ją odłączyć.

Pamiętam zeszłoroczne Boże Narodzenie – było nudne jak flaki z olejem. Utknęłam na jednym z tych wlokących się bez końca świątecznych obiadów, w czasie których spotyka się zawsze tych samych ludzi i je się zawsze te same potrawy, chociaż pragnęłam wyłącznie jednego: przypiąć narty i poszaleć na stokach w dniu, kiedy przy wyciągach prawie nikogo nie

ma. Matka parokrotnie mnie zgromiła, że jestem nietowarzyska. Skwitowałam tę uwagę, mówiąc, że nie pojmuję, dlaczego siostrze wolno było przyprowadzić chłopaka, z którym chodzi od dwóch tygodni, podczas gdy mnie nie pozwolono na obecność wieloletniego przyjaciela.

Przyjacielem, którego chciałam zaprosić, był Steve. Cała rodzina już go znała, ale mi odmówiono. Ojciec nie cierpiał go od chwili, gdy się dowiedział, że to mój partner od wypraw. Matka ignorowała go od chwili, gdy się dowiedziała, że to tylko mój partner od wypraw, nie zaś po prostu partner. Siostra...

Co do siostry, nie mam zielonego pojęcia, co sobie myślała, ale nagle odnoszę wrażenie, że zaraz się dowiem. Za drzwiami słychać kilka głosów i wydaje mi się, że rozpoznaję akurat głos Steve'a. Ogarnia mnie radość, i to na dobre. Nawet mnie zalewa, ponieważ moje zwycięstwo tygodnia polega na tym, że znów odczuwam emocje.

Czuję, co krąży w mojej krwi. Czuję te chemiczne komunikaty, które przeze mnie przepływają, a które pochodzą z mózgu i tam wracają naładowane informacjami. Dziś doświadczam niesmaku, następnie radości, za to wczoraj, o ile się nie mylę, miałam prawo do żalu i złości.

Żal i złość były przeznaczone dla ordynatora i internisty, którzy wpadli z grzecznościową wizytą. W gruncie rzeczy przyszli po prostu porozmawiać o moim przypadku. Zupełnie jakby musieli mieć mnie przed oczami, żeby wytaczać lepsze argumenty. Dowiedziawszy się, że internista zawiadomił rodzinę o moim sobotnim podskoku, ordynator zrobił mu niezłe kazanie. Internista bronił się, twierdząc, że to całkowicie normalne. Ordynator podkreślił, że wpisując to przekłete „minus X” w karcie, pominięto nieistotne szczegóły. Mój podskok był jedynie odruchem, komunikatem nerwowym, za który absolutnie nie odpowiadał mózg, tylko układ autonomiczny. Odstawiłam terminy medyczne na bok, choć byłam ciekawa argumentów mojego oficjalnego lekarza. Kiedy wróciłam do siebie, w sali nie było już nikogo.

W tym wypadku jednak jest ze mną pięć osób, które robią ogromny hałas.

– Pauline! – wykrzykuje Rebeka. – Nie sądziłam, że cię zobaczę! Naprawdę super, że tu jesteś. Jak się masz?

Siostra odpowiada żywiołowo Rebecce. Doskonale sobie wyobrażam zakłopotaną minę jej chłopaka na widok trójki nieznajomych. Przedstawia

ich sobie. Jej facet wydaje ledwie pomruk na powitanie. Myślę, że nie minie dziesięć sekund jak da nogę.

Steve i Alex chichoczą w kącie, podczas gdy Rebeka jak zwykle się zamartwia.

– Sądzisz, że go wystraszyliśmy?

– Och, wyluzuj, Rebeko! – odpowiada moja siostra. – Po prostu jest trochę dziki.

– Zważywszy na sposób, w jaki obejmował cię w talii, określenie „dziki” jest całkiem na miejscu – mówi ze śmiechem Alex.

– Alex! – wykrzykują jednocześnie obie dziewczyny.

– Dobra, chyba wolno się trochę pośmiać, nie?

– A ja się z nim zgadzam – dodaje Steve.

– Ja... Ee... Przykro mi.

Zatkało mnie. Był to głos mojej siostry, tylko jakiś odmieniony. Coś w rodzaju cichego skrępowanego szeptu, niebrzmiącego zbyt przekonująco. To naprawdę do niej niepodobne... I nagle do mnie dociera.

Moja siostra i Steve. Ratunku... Czyżby moja siostra zakochała się w Stevie?

Teraz, kiedy przypuszczenie to przyszło mi do głowy, zastanawiam się, dlaczego nie pomyślałam o tym wcześniej. Skądinąd wydaje się to takie oczywiste! Ale nie, musiałam zapaść w śpiączkę, żeby zdać sobie z tego sprawę. Wszystkie te wskazówki, których wcześniej nie dostrzegałam. Oto dlaczego nigdy nie potrafiłam ubrać w słowa tego, co moja siostra sądziła na jego temat.

Myśl ta pozwala mi na fizjologiczne przetestowanie mojej obecnej emocji, czyli wzruszenia. Mam bowiem przeogromną nadzieję, że siostra zdoła wyznać, co czuje. Zgoda, być może nie w tej szpitalnej sali. Zwłaszcza że Steve nie należy do tych, którzy tracą czas na wyjaśnienia, nawet przy dziewczynach.

Chyba tylko przy mnie próbował być subtelny, ale zabrakło mu szczęścia. To nie zadziałało, mimo że szukam właśnie tej cechy charakteru.

Odmalowuję sobie obrazek Steve'a i siostry razem. Uśmiecham się w środku na ten widok. Wyobrażam sobie, że naprawdę się uśmiecham.

– Dziś wygląda na szczęśliwą – zauważa Rebeka.

Wnioskuje, że mówi o mnie, ponieważ jej kroki przybliżyły się do łóżka. Mam ochotę krzyczeć ze szczęścia, czując na lewym ramieniu dotyk jej dłoni. To moje drugie zwycięstwo od wizyty Thibaulta.

– Chociaż tak naprawdę nie ma powodu.

Na dźwięk głosu siostry krew ścina mi się w żyłach. Kolejna emocja. Lęk. Jeszcze nie doszłam do strachu. I szczerze mówiąc, po raz pierwszy nie chcę czuć.

– Co masz na myśli, Pauline? – pyta Steve.

– Nie, nic.

– Chwileczkę, chyba nie sądzisz, że damy się trzymać w niepewności bez żadnych wyjaśnień!

Co to ja mówiłam... Totalny brak subtelności u Steve'a.

– Nie wolno mi z wami o tym rozmawiać – ciągnie moja siostra.

– Jak to: nie wolno?

– Ponieważ nie należycie do rodziny.

Steve pewnie gotuje się w środku. Wnioskuje, że Rebeka podeszła do mojej siostry.

– Pauline, przecież wiesz, że dla Elsy jesteśmy jak rodzina, chociaż nie łączą nas żadne więzy krwi. Po tym, co powiedziałaś, nie możesz nas trzymać w niepewności. Co się dzieje?

O, to się nazywa takt. Dziękuję w milczeniu Rebecce za łagodną, choć stanowczą interwencję. Trójka moich przyjaciół domaga się odpowiedzi i nie odejdzie, dopóki jej nie otrzyma.

– Naprawdę muszę wam tłumaczyć?

Głos siostry rozdziera mi serce. Myślę, że ona zaraz się rozpłacze.

– Ona się nie obudzi, zgadza się?

Głos Steve'a jest równie zimny jak lodowce, na które zwykle urządzaliśmy wyprawy. W moim umyśle jego kolory właśnie przeszły od głębokiej czerwieni do najbardziej mroźnego błękitu, jaki w ogóle istnieje. Za dużo emocji jak dla mnie. Mam niemal ochotę uciec od tej rozmowy.

– Lekarze twierdzą, że nie.

Ton siostry dopełnia wyjaśnień. Nikt się nie odzywa. Przynajmniej nie od razu.

Zgodnie z wszelkimi przewidywaniami pierwszy zabiera głos Alex.

– Dzięki za cynk. Jestem pewien, że Elsa chciałaby, żebyś nam o tym powiedziała.

– Nie mam zielonego pojęcia, czego chciałaby Elsa, i myślę, że nigdy się tego nie dowiem – odpowiada moja siostra.

– Uspokój się, Pauline. Nie ma sensu doprowadzać się do takiego stanu.

– Jak to: nie ma sensu? Doprowadzam się do stanu, jaki mi się podoba!

Zdaje się, że nigdy jeszcze nie słyszałam, żeby moja siostra wyrażała się w taki sposób.

W tej samej chwili drzwi ponownie się otwierają. Słyszę, jak czwórka osób w sali jednocześnie robi wdech. Chyba to nie chłopak siostry wraca?

– Ee... Wygląda na to, że przychodzę nie w porę.

Thibault. Moja tęcza. Której trudno będzie rozładować naelektryzowaną atmosferę.

– Raczej nie! – rzuca moja siostra. – Coś ty za jeden?

– Uspokój się, Pauline.

Tym razem polecenie padło z ust Steve'a. Jestem wzruszona i zarazem zaskoczona.

– Chodź ze mną – ciągnie.

– Dokąd? – cedzi moja siostra.

– Na zewnątrz. Musisz się uspokoić.

Domyślam się, że chwytą ją za ramię i wyciąga na korytarz. Drzwi zatrząskują się za nimi. W sali zapada głucha cisza.

Właśnie tak sądziłam. Mimo że nie ma mojej siostry i Steve'a, w sali nadal trwa burza.

– Dzień dobry... – mówi Thibault, podchodząc bliżej. – Naprawdę uważam, że zjawiam się nie w porę. Albo zrobiłem coś nie tak?

Wyobrażam sobie, że moja tęcza jest skruszona, nie bardzo wiedząc, co począć. Przynajmniej to można wyczytać w jego głosie. Z miejsca ogarnia mnie pragnienie, żeby moje ćwiczenie się udało: „Odwrócić głowę i otworzyć oczy”. Tak bardzo chciałabym go zobaczyć.

– Nie, po prostu siostra Elsy jest trochę... nie w sosie – mówi ostrożnie Alex.

– Nie wydawała się nie w sosie – protestuje Thibault.

Nikt nie odpowiada. Słyszę, jak zbliża się do mnie. Stawiam w stan pogotowia wszystkie części mózgu, które bardzo chciałyby działać. Skupiwszy się, wyczuwam dotyk na czole, we włosach i na policzku, jednocześnie słyszę przesuwaną się po nich dłoń. Mam wrażenie, że zatapiam się w tym, tak jakby łagodne ciepło było równie majestatyczne jak ocean. Chociaż wrażenie jest równie delikatne jak skrzydło motyla.

Oddech Thibaulta jest całkiem blisko, tak samo blisko jak w ciągu tych dni, kiedy zasypiał obok mnie.

– Nie zostanę dzisiaj, Elso – szepcze najciszej jak się da. – Masz gości, którzy przyszli cię zobaczyć. Nie zachowam się jak egoista i nie zatrzymam

cię tylko dla siebie.

Pomieszane emocje. Beładna mieszanina zazdrości, pragnienia, smutku i jeszcze czegoś, czego nie potrafię naprawdę oddzielić.

Wyraźne doznanie. Thibault całuje mnie w policzek. To jak eksplozja smaków. Koncentruję najdrobniejsze cząsteczki mózgu, nawet te nieaktywne, na tym, co odczuwam. Myślę, że mogłabym dokładnie opisać kształt jego ust, krągłość warg, najmniejszy prążek na tej różowej skórze, o której dosłownie marzę, żeby ją pocałować.

Bardziej niż kiedykolwiek chcę odwrócić głowę i otworzyć oczy.

Ciepło znika, nim udaje mi się tego dokonać.

Nie mogę zatopić się w dotyku, zatapiam się więc we własnym smutku, słysząc, jak Thibault żegna się z Rebeką i Alekssem. Wychodzi z sali, jestem w oddzielnym świecie. Nawet głosy przyjaciół nie są w stanie ściągnąć mnie z powrotem. Udaje mi się jednak wyłowić z tego wszystkiego kilka słów, tak jakby dźwięki spowijały chmury.

– Myślisz, że powinniśmy mu o tym powiedzieć? Teraz wygląda tak, jakby był z nią blisko...

– Nie. Pozwól mu marzyć. Niech zostanie chociaż ktoś, kto jeszcze jest do tego zdolny.

20.

THIBAUT

Mniej więcej co trzy minuty spoglądam na zmianę to na zegarek, to na zegar w moim gabinecie, tak jakby jeden z nich mógłby mnie okłamać. Od rana nie potrafię się skupić, to okropne. W pracy nad dokumentami, które mam przed oczami, nie posunąłem się ani o krok. Zastanawiam się nawet, czy rzeczywiście poruszyły się o centymetr, odkąd je tutaj położyłem.

Dokładnie wiem, co się ze mną dzieje. Odczuwam brak, który będzie można wyrównać dopiero jutro, ponieważ wczoraj nie mogłem się z nią zobaczyć. To znaczy, mogłem się z nią zobaczyć, ale tylko przez dwie minuty, i musiałem wykorzystać całą swoją uprzejmość, żeby nie zostać i nie zawłaszczyć Elsy na całą godzinę, jaką miałem do dyspozycji. Z tego powodu błąkałem się po szpitalnych korytarzach, wielokrotnie mijając drzwi do sali numer pięćdziesiąt dwa, ale także te do sali mojego brata. Matka zostawiła je uchylone, tak jakby chciała mnie skusić po raz enty.

Miała rację. Dałem się skusić. Wszedłem do sali bez słowa. Próbowali skłonić mnie do rozmowy, chwyciłem jednak jakieś czasopismo, nawet nie podnosząc na nich wzroku, i przycupnąłem w kącie, ponieważ matka zajmowała jedyne niewygodne krzesło przeznaczone dla gości.

Przysłuchiwałem się ich pogawędce z roztargnieniem, przeglądając strony czasopisma, które okazało się zbiorem najbardziej niedorzecznych artykułów. Nie zauważyłem nawet, że matka wyszła. Dopiero gdy brat odchrząknął, w końcu podniosłem wzrok i stwierdziłem, że jesteśmy sami. Wpatrywaliśmy się w siebie w milczeniu, następnie brat się odezwał. Z początku była to bardziej niż banalna rozmowa, po czym znienacka zaczął z zupełnie innej beczki.

– Dlaczego mnie nie odwiedzasz?

– Naprawdę się nad tym zastanawiasz? – odrzekłem bezbarwnym głosem.

– Właściwie... nie – odparł z westchnieniem. – Uważasz, że zasługuję na to, co mnie spotkało. Ale zadam to pytanie inaczej. Gdzie się pałaszasz,

kiedy mama jest tutaj? Siedzisz w samochodzie?

Wtedy złożyłem czasopismo, zerknąłem na zamknięte drzwi i postanowiłem wyłożyć kawę na ławę. Opowiedziałem o napadach chandry na schodach, o atakach złości, o pomyleniu sal przed dwoma tygodniami, o spotkaniu z Elsą. Opowiedziałem o wszystkich chwilach wahania, a także o chwili, w której uświadomiłem sobie własne uczucia do dziewczyny w śpiączce. Wyznałem również, że nie zawsze potrafię się pogodzić z myślą, że mój brat zabił dwie osoby tylko dlatego, że był zbyt głupi, by usiąść za kierownicą.

Wyrąbałem to wszystko za jednym zamachem, on jednak pojął całą historię. W pewnym momencie wydało mi się nawet, że widzę w jego oczach słaby błysk, ale nie, to nie mogło się zdarzyć.

– Ciągle masz do mnie tak wielki żal? – zapytał, gdy skończyłem monolog.

– Jeszcze jaki...

– Wobec tego co tu robisz?

– Jak to?

– Dlaczego się pałaszasz po mojej sali? Nie chciała cię dzisiaj widzieć?

Poderwałem się na nogi i w niecałe dwie sekundy już byłem przy nim, z dłonią na jego piersiach, z twarzą dwadzieścia centymetrów od jego twarzy.

– Zabraniam ci mówić o niej w taki sposób.

Wytrzymałem jego wzrok przez długą chwilę, dopóki go nie odwrócił. Słowa, jakie potem nastąpiły, kazały mi się cofnąć ze zdumienia.

– Naprawdę się zakochałeś.

Nie zostało to powiedziane ze złościwością ani z kpina. Zostało powiedziane z zazdrością. Nie zrozumiałem nic z tego, co się działo. Zwłaszcza że mój brat nadal mówił.

– Naprawdę się zakochałeś, a ja ci zazdroszczę. Nie tego, że się zakochałeś, tylko tego, że jesteś zdolny odczuwać tego rodzaju emocje. Nigdy nie byłem superszczery albo... głęboki. Tak, to jest właściwe słowo. Nigdy nie byłem głęboki w tym, co czułem do ludzi. Czy ja wiem? Bałem się, że oni mnie nie kochają? Albo może miałem to gdzieś. A dziś uważam, że to... beznadziejne. To jednak nie znaczy, że potrafię.

Dopóki mówił, tkwiłem bez ruchu, później dotarło do mnie, że skończył. Byłem naprawdę pokonany. W ogóle nie dałem matce wiary, gdy mówiła, że mój brat rozmyśla o tym, co mu się przydarzyło.

Pewnie powinienem był.

– Wystarczy spróbować – rzuciłem, wracając na swoje miejsce w kącie sali.

– Chciałbym – odparł prosto z mostu.

– To na co czekasz?

– Sam nie wiem.

Od tej chwili błądził wzrokiem na zewnątrz i odzywał się wyłącznie do matki, kiedy ta wróciła. Gdy mieliśmy wychodzić, wpatrywał się jednak we mnie przez kilka sekund. Najbardziej bezładna mieszanina, jaką kiedykolwiek widziałem. W jego oczach było takie pomieszanie uczuć i emocji, że momentalnie zadałem sobie pytanie: Jak mógł mi powiedzieć, że nic nie odczuwa? Następnie kiwnąłem mu głową na pożegnanie albo żeby go zachęcić sam nie wiem do czego. Jego odpowiedź była jeszcze bardziej dyskretna niż moja i na tym poprzestaliśmy.

W samochodzie matka usiłowała się dowiedzieć, co się stało w ciągu dziesięciu minut jej nieobecności. Byłem bliski wrażenia, że celowo zostawiła nas samych. Kiedy odwiozłem ją pod dom, chciała, żebym został. Jeden jedyny raz zgodziłem się bez wahania. Nie będę znów prosił Julię, żeby dotrzymał mi wieczorem towarzystwa, tym bardziej że w niedzielę jest chrzest Clary, a on ma co innego do roboty niż niańczenie najlepszego przyjaciela.

Teraz zaś od trzech godzin się pilnuję, żeby do niego nie zadzwonić, ponieważ czuję, że wieczór będzie bardzo ciężki. Nie mam ochoty iść do matki, zasypie mnie bowiem pytaniami. Nie mam ochoty iść do żadnego kolegi, bo zasypie mnie jeszcze większą liczbą pytań. Mam ochotę po prostu ją zobaczyć.

Nagle w głowie otwiera mi się gra paragrafowa. Na cały dzień zacięła się na stronie setnej albo na „czystej kartce”, jak lubię ją nazywać. Tym razem jest zupełnie tak, jakby powiew wiatru przewrócił kartki na stronę dziewięćdziesiątą dziewiątą: „Rób to, na co masz ochotę”.

Co mnie powstrzymuje przed odwiedzeniem Elsy dziś wieczorem? Odwiedziny są dozwolone codziennie, zmieniają się tylko godziny. Dziś mamy czwartek. Normalnie jest to możliwe między piętnastą a osiemnastą. Ułamek sekundy później znam odpowiedź. Kończę o osiemnastej. Nie ma więc żadnego sposobu, żeby się udało.

Owszem, jest jeden sposób.

Nie zawracam sobie nawet głowy, żeby uśmiechnąć się na stronie pięćdziesiątej czwartej: „Zrób wszystko, co możliwe, żeby osiągnąć cel”, i pędzę do pokoju szefa. W mojej grze paragrafowej nie było napisane, co zrobić, żeby osiągnąć cel, po prostu było napisane „wszystko”. Wybieram częściową prawdomówność – nie mam czasu niczego zmyślać.

– Muszę załatwić bardzo ważną sprawę. Mogę wyjść wcześniej?

Zwierzchnik spogląda na mnie podejrzliwie. Odkąd pracuję w tej firmie, nigdy nie przedłożyłem żadnej osobistej prośby, ale z powodu wybuchów złości w stosunku do Cindy, kiedy zrywaliśmy ze sobą, choć sięgają rok wstecz, na moich aktach osobowych umieszczono duży czerwony krzyżyk.

– Co to za ważna sprawa? – pyta z westchnieniem zwierzchnik.

– To skomplikowane – odpowiadam z wahaniem.

– Odnoszę wrażenie, że to pan jest skomplikowany, Thibault.

– To całkiem możliwe.

Moja odpowiedź wywołuje uśmiech na jego twarzy, ja zaś czuję, że wygrałem.

– Co według pana znaczy „wcześniej”? – pyta, widząc, że już opuszczam jego gabinet.

– Natychmiast? – podsuwam, powtarzając sobie, że najwyżej usłyszę grzeczną odmowę.

– Niech pan idzie. Niech pan się wynosi. Za to jutro proszę tu być o siódmej rano.

W ramach podziękowania kiwam głową, po czym gnam do pokoju po swoje rzeczy. Serce wali mi jak młotem, z powodu biegu po schodach albo zwycięstwa – nie wiem. Mam to głęboko w nosie.

Wiem tylko jedno.

Zaraz ją zobaczę.

21.

ELSA

Boże Narodzenie przyszło dwa tygodnie wcześniej. Mamy czwartek i jest tutaj Thibault.

Przebywa w mojej sali już od dobrej chwili. Zjawił się w euforii. Opowiedział mi swój osobliwy dzień i oznajmił nawet, że urwał się z pracy, aby mnie odwiedzić. Słyszając tę wiadomość, poczułam zakłopotanie. Tym bardziej że to jedna z niewielu rozmów tego typu, jakie ze mną przeprowadził, o ile można to nazwać rozmową. Jego barwny głos był pełen połyskujących odcieni. W końcu przybrał aksamitną fakturę, a ja przestałam już wszystko rozumieć. Tak naprawdę zresztą nadal nie bardzo rozumiem, ale nie szkodzi. Czuję się dobrze, i to się liczy.

Mimo „minus X” nabazgranego na mojej karcie leczenia czuję się dobrze.

Skądinąd wydaje mi się, że Thibault to jedyna osoba nieświadoma tego szczegółu. Może właśnie dlatego czuję się dobrze, kiedy on tu jest. Może właśnie dlatego w jego obecności wracają mi zmysły. Uwielbiam rodzinę i przyjaciół, ale... Chcę się obudzić za wszelką cenę naprawdę dla Thibaulta.

Teraz, podobnie jak za każdym razem, leży obok mnie. Podobnie jak za każdym razem, źle podłączył respirator, co wywoła utyskiwania pielęgniarki, jak tylko to zobaczy. Jak dotąd jest przekonana, że rurka się wyślizguje. Nawet nie przypuszcza, że ktoś ją regularnie odłącza.

Odnoszę zresztą wrażenie, że Thibault wprawił się w przemieszczaniu mnie. Albo wyrobił sobie mięśnie. W ciągu raptem kilku dni byłoby to zaskakujące. Niemniej jednak musiałam zostać dziś przesunięta na skraj łóżka, kiedy bowiem mościł się na moim materacu, słyszałam, jak wzdycha z zadowoleniem. Choć nie mam jeszcze pewności, czy śpi.

– Elsa...

Nie, nie śpi. Albo mówi przez sen. Tylko że ten szept należy do kogoś całkowicie rozbudzonego.

– Elsa...

Miałabym ochotę zadrzeć. Jakże chciałabym mu odpowiedzieć. W ciągu dwóch tygodni jego imię przewinęło się przez moją głowę więcej razy niż jakakolwiek inna myśl od dwóch miesięcy. To jedna z niewielu pewności, jakie mam co do niego. Imię. Co do reszty, tylko sobie wyobrażam, jak może wyglądać.

W ciągu godzin samotności miałam czas sklasyfikować zmysły. Z początku wyszłam z założenia, że najważniejszy jest wzrok, leżąc jednak odosobniona i mając do dyspozycji jedynie słuch, powiedziałam sobie, że słyszenie to już i tak ogromny atut. Co do smaku, zdecydowałam, że może być drugorzędny. Co do węchu, uświadomiłam sobie, że chciałabym poznać zapach Thibaulta. W tej samej chwili ciche pikanie obok mnie szaleńczo przyspieszyło na kilka sekund, po czym wróciłam do moich ćwiczeń umysłowych. Dochodzę jednak do wniosku, że żadne z nich nie jest skuteczne, kiedy Thibault leży obok mnie.

Dziś zaś bardziej niż kiedykolwiek chciałabym zobaczyć jego twarz, kolor oczu, przyglądać się jego dłoniom, które za pierwszym razem sprawiły, że moje ramiona przeszły prąd.

Chciałabym go poczuć, dowiedzieć się, czy używa jakiegoś zapachu, nauczyć się rozpoznawać woń jego skóry. Chciałabym całym ciałem dotknąć jego ciała.

Zmysł smaku odkładam jednak na bok, ponieważ kiedy poświęcam mu więcej uwagi, pulsoksymetr wariuje ze zbyt żelazną konsekwencją. Za każdym razem, gdy wyobrażałam sobie, że całuję Thibaulta, przywołując w pamięci wspomnienie dotyku jego warg na policzku, słyszałam wpadającą pielęgniarkę. Kiedy zdarzyło się to czwarty raz w ciągu mniej niż pół dnia, lekarz dyżurny powiedział, żeby nie zawracać mu tym głowy. Pamiętam jednak, że kazał przypomnieć swojemu koledze, mojemu stałemu lekarzowi, aby zrobił mi tomografię. Lecz gdy zobaczył w mojej karcie „minus X”, natychmiast się wycofał i polecił pielęgniarce, żeby zapomniała, co przed chwilą powiedział.

Interludium to dało mi krótkotrwałą nadzieję na pokazanie światu, że nadal funkcjonuję. Tylko że oni wszyscy polegają na czujnikach o najsłabszej amplitudzie, z których ani jeden nie pokazuje oznak mojej aktywności mózgowej. A przecież... Przecież ja żyję!

Mam ochotę to wykrzyczeć.

Ja żyję!

– Elso... Kiedy zamierzasz się obudzić?

Głos Thibaulta sprawia, że chce mi się płakać. Potrafię nawet wyczuć gruczoły łzowe, które starają się uaktywnić. To niesamowite, że człowiek może je namierzyć we własnym ciele. Oczywiście to żadne wielkie zwycięstwo, jeśli po przebudzeniu obwieszczę z dumą, że jestem w stanie je zlokalizować, ale w tym wypadku to prawdziwa rozkosz móc po raz kolejny dostrzec określone części własnego organizmu. Czuć jest jedynie etapem na drodze do ruchu. To rodzaj *credo*, które sobie wymyśliłam. Mój mózg jest zdolny do przyjmowania informacji. Teraz chciałabym, żeby je wysyłał.

Chciałabym również móc dać odpowiedź Thibaultowi. Wątpliwości z miejsca sprawiają, że ponownie się pogrążam. Wiem, że potrzebuję czasu, aby się obudzić. Tylko że ja nie mam tego czasu. „Minus X” w mojej karcie niedługo przekształci się być może w „minus coś”. I choć mam nadzieję, że to coś będzie tak wielkie jak to możliwe, doskonale wiem, że nie będzie nieskończone. Rodzice będą się z pewnością gryźć, podejmując taką decyzję. Nie „widziałam” ich od czasu rozmowy z ordynatorem, wiem, że zastanawiają się nad tym. Ale na ich miejscu, gdybym miała się w końcu zdecydować na tak, wolałabym, żeby to nie trwało długo.

– Chcę, żebyś się obudziła.

Tych kilka słów, wypowiedzianych najłagodniejszym szeptem, odrywa mnie od złych myśli. Jestem rozdarta między ironią w stylu „Mnie to mówisz?” a pełnym wzruszenia „Dziękuję...”. Mogę sobie tylko wyobrazić, że mówię jedno albo drugie. Najwyraźniej ciało wyczuwa moje pragnienie, ponieważ słyszę, jak wzdycham. Wydaje mi się nawet, że czuję, jak przepona porusza mi się w brzuchu. Kolejny postęp. Gdyby tylko Thibault mógł być stale przy mnie.

Wyobrażam go więc sobie, jak leży zwinięty w kłębek obok mnie o każdej porze dnia i nocy, oddychając, drżąc, obecny jak nigdy. Znów myślę o jego wargach na moim policzku. Bicie serca na monitorze przyspiesza mi lekko, ale nie ma się czym przejmować. Myśli same szybują ku czemuś, przed czym wzbraniam się od jakiegoś czasu, ale nie potrafię się powstrzymać. Pikanie staje się jeszcze szybsze, a ja nakazuję mózgowi z całych sił, żeby nad tym wszystkim panował. Należy wierzyć, że to działa.

Od tego momentu mojej wyobraźni odbija. Poważnie.

Potem wszystko zastyga.

Wzdłuż nóg idzie ku górze jakieś doznanie.

Zimno mi.

– Elso. Musisz się obudzić i z powrotem nabrać trochę mięśni!

Kpiący ton Thibaulta zaskakuje mnie równie mocno jak doznanie zimna. Ale o czym on mówi?

– Pozwoliłem sobie obejrzeć twoje nogi. Mam nadzieję, że nie jesteś zła. Tylko odsunąłem róg prześcieradła. Nie ma w tym nic niestosownego, widzę wyłącznie twoje stopy i kolana. Zastanawiam się właśnie, jak wyglądały wcześniej.

Chce mi się śmiać. Co mogłoby być aż tak ciekawego w moich nogach?

– Poszperałem trochę, żeby się dowiedzieć, co to tak naprawdę jest wspinaczka wysokogórska. Czytając to wszystko, pomyślałem sobie, że musisz być piekielnie umięśniona! Ale teraz, moja piękna, trzeba będzie się zdrowo napracować, jak się obudzisz!

Znów mam ochotę śmiać się bez końca, odpowiedzieć Thibaultowi, że będę ćwiczyć, ile tylko zechce, i że chwilowo zupełnie mam gdzieś, że moje łydki są suche jak gałęzie. Mam to gdzieś! Zimno mi, Thibault! Zimno mi! Wyobrażam sobie?

– Jestem w tobie zakochany, Elso.

Raz. Dwa. Trzy. Biiiiiiiiiiiiip!

W momencie, gdy moja klatka piersiowa się wygina, pulsoksymetr wydaje głośny dźwięk. Mięśnie karku natychmiast sztywnieją, głowa odchyła się lekko do tyłu. Mięśnie w łopatkach się napinają. Miednica się cofa. Mam przerywany oddech. Potem wszystko się rozluźnia.

Czuję mrowienie w całym ciele, jakby posmak czy raczej po-poczucie tego, co mi się właśnie przydarzyło. Przez całą sekundę byłam w pełni świadoma własnego ciała. Powtórz to, Thibault, błagam cię. Chcę znów być sobą.

– Elso... Ja... Wydaje mi się, że mnie słyszałaś.

Tak, słyszałam cię, Thibault! Oczywiście że tak! Słyszę cię już od dwóch tygodni! I chciałabym, żebyś powtarzał to ciągle na nowo. Żeby mnie wybudzić, żeby mnie uspokoić, dla czystej przyjemności, że to wiem.

Wiem, że jedna osoba na tym świecie we mnie wierzy.

Słyszę jednak tylko głośny szelest pościeli i ciężar ciała, które podnosi się z materaca. Czuję, jak moje ciało zostaje przesunięte z powrotem na środek łóżka. Następnie Thibault wkłada buty i ubranie. Znam jego rytuał

na pamięć. Sweter, kurtka, zamek błyskawiczny, szalik, rękawiczki, czapka w kieszeni i dłoń na moich włosach.

Jego ciężar na skraju łóżka.

– Wiem, że mnie słyszysz, Elso.

Jego wargi na moim policzku.

Pikanie pulsoksymetru przy dotyku.

– Za każdym razem dajesz mi tego dowód.

W tej samej chwili słyszę, że ktoś biegnie korytarzem, szybkie kroki mijają jednak moje drzwi bez zatrzymywania się. Najwyraźniej przypomina to Thibaultowi o tym, co miał właśnie zrobić.

– Do jutra...

Jeszcze jeden całus i Thibault odchodzi.

Mój mózg zgromadził więcej informacji niż kiedykolwiek. A teraz do roboty.

22.

THIBAUT

– Proszę zrobić przejście!

Przywieram czym prędzej do ściany korytarza, nagły ton pielęgniarki daje mi bowiem jasno do zrozumienia, że nie ma czasu na uprzejmości. Nie wiem, co się dzieje, ale na piątym piętrze panuje rwetes. Sanitariusze i lekarze biegają w sposób z całą pewnością jak najbardziej zorganizowany, choć mnie wydaje się to raczej chaotyczne. Coś musiało się stać, tylko że ja mam to głęboko w nosie.

Mój umysł poszybował gdzie indziej. Gdzieś między ciałem a sercem. Jeszcze nigdy nie wyznałem miłości w takich okolicznościach. Jednocześnie mogę się założyć z każdym, że nie jest w stanie mi pokazać podobnej sytuacji.

Decyduję się na schody, ponieważ wszystkie windy zarekwirowano na potrzeby nagłego przypadku, który najwyraźniej wywołał panikę wśród połowy piętra. Kiedy docieram na parter, tam również panuje już poruszenie. Opuszczam budynek i przemykam pod ścianą, aby nie tarasować drogi ludziom w kitylach, którzy wybiegają na zewnątrz. W odległości trzydziestu metrów dostrzegam zbiegowisko szpitalnego personelu. Pewnie to jest przyczyna zamieszania.

Zbliżam się do samochodu, myślami nadal zakotwiczony na piątym piętrze, przy wątłym ciełe z sali numer pięćdziesiąt dwa. Ciele, które chciałbym zamknąć w ramionach. Na widok tych nóg, które po miesiącach bezruchu zrobiły się takie chude i kruche, powściągnąłem jednak egoistyczne pragnienie i po prostu usiadłem obok niej, zanim odszedłem. Za bardzo bym się bał, że coś złamię.

Po dwudziestu minutach przyjeżdżam pod dom, tak naprawdę sam nie wiedząc, jak się tu znalazłem. Siadam na kanapie – wszystkie moje zmysły są uśpione. Każdy gest wykonuję odruchowo i z przyzwyczajenia. Podczas gdy sączę sok gruszkowy, powoli kielkuje mi w głowie pewna myśl.

Kocham kogoś i ten ktoś to usłyszał.

Wzdycham głęboko i przygryzam dolną wargę, usiłując bezskutecznie powstrzymać uśmiech. Każdy, kto kazałby mi wyjaśnić tę sytuację, uznałby mnie za wariata. Odsuwam od siebie tę myśl, powtarzając sobie, że gdybym ją spotkał i pokochał, zanim zapadła w śpiączkę, w gruncie rzeczy moje położenie niewiele by się różniło.

Dzwonek telefonu każe mi opuścić kanapę i sen na jawie.

– Halo – mówię, ziewając.

– Tak wcześnie, a ty już jesteś zmęczony?

– Julien... To teraz już mi nawet ziewać nie wolno?

– Nie wtedy, kiedy do ciebie dzwonię!

– Dobra, w takim razie po co dzwonicz?

Mój najlepszy przyjaciel przystępuje do drobnego przesłuchania na temat chrztu Clary, zręcznie przygotowanego przez swoją żonę. Czy dobrze przemyślałem to i to, nie wolno mi zapomnieć o tym i o tym, w czasie ceremonii powinienem zrobić to i to, i tak dalej.

– Pamiętam wszystko, nie martw się! Co Gaëlle próbuje osiągnąć? Urządzić mi ostatni egzamin na ojca chrzestnego? Zeszły weekend nie wystarczył?

– Tak, tak, świetnie się opiekowałeś Clary. Gaëlle była naprawdę zadowolona.

– No więc?

– Nie, staram się tylko trochę odstresować.

Tym razem Julien zbija mnie z pantafelku. Mój najlepszy przyjaciel w stresie?

– Co jest z tobą? – pytam natychmiast.

– Och, po prostu ja i Gaëlle trochę się denerwujemy z powodu organizacji chrztu.

Ton głosu Juliana sprawia, że się waham.

– Julien... Czego ty właściwie ode mnie oczekujesz?

– Masz czas wieczorem?

– Oczywiście, że dla ciebie mam czas! Ale co się dzieje?

Odpowiedzi Juliana naprawdę zaczynają mnie niepokoić.

– Och, nic takiego, nie martw się!

– Wobec tego w jakim celu to wszystko?

– Po prostu muszę ci powiedzieć jedną rzecz. Możemy się spotkać w pubie? Albo nie, lepiej u ciebie. Pasowałoby ci?

– Jasne, super! Ale jesteś pewien, że wszystko w porządku?

– Całkowicie. To na razie.

Julien się rozłącza. Stoję przez chwilę niezdecydowany, po czym porzucam pomysł, żeby oddzwonić i dowiedzieć się więcej. Zaraz będzie u mnie, lepiej zatem cierpliwie poczekać.

Omiatam wzrokiem mieszkanie. Po powrocie tak naprawdę nie zwróciłem na to uwagi, byłem bowiem skupiony na tym, co robię, tylko w połowie, ale mój salon jest w opłakanym stanie.

Wykorzystuję pół godziny, które zabierze Julienowi dojazd, żeby trochę posprzątać, następnie robię przegląd tego, czym mogę go poczęstować poza sokiem gruszkowym. Po pięciu minutach aktywnych poszukiwań odpowiedź jest oczywista: niczym. Trudno, przecież to mój najlepszy przyjaciel, nie będzie miał do mnie żalu.

Dzwoni domofon. Otwieram drzwi i czekam na Juliena na progu. Gdy zjawia się minutę później, wpatruję się weń, usiłując zrozumieć powód jego niespodziewanej wizyty. Cmoka mnie na powitanie i prędko wchodzi, zdejmując buty, pędzi do salonu i opada na kanapę.

Pokazuję mu bez słowa butelkę z sokiem gruszkowym. Odpowiada machnięciem ręki, że to mu pasuje. Od rozmowy przez domofon żaden z nas się nie odezwał. Siadam naprzeciw niego i mierzę go wzrokiem. Rozśmiesza mnie to, ponieważ na ogół jest odwrotnie.

– Dlaczego rżysz? – pyta.

– Ostatnimi czasy to raczej ty oczekiwałeś, że będę mówił. Tym razem musisz się zdecydować otworzyć usta.

Julien kiwa głową, a ja widzę wypływający mu na usta uśmiech. Następnie prostuje się, zaciska dłonie – znak, że naprawdę się lęka – i mocno nabiera powietrza.

– Gaëlle jest w ciąży.

W ciągu ułamka sekundy kłębi się we mnie całe mnóstwo uczuć. Szczęście ze względu na przyjaciela, zazdrość o niego, radość ze względu na Clarę, która zyska braciszka albo siostrzyczkę, niepokój o parę przyjaciół, którzy będą mieli w domu drugie dziecko, i wtedy pojmuję potrzebę Juliena, aby się „odstresować”, jak oznajmił przez telefon. Mimo to kwituję wszystko jednym słowem:

– Genialnie!

Julien wpatruje się we mnie i wreszcie widzę, jak jego twarz się rozjaśnia.

– Sam to powiedziałaś!

Wstaję i podchodzę, żeby go uściskać. Czuję całe jego wzruszenie na myśl, że zostanie ojcem po raz drugi. Dostrzegam nawet kilka łez, na pewno z radości, bo niby z jakiego innego powodu?

– A u ciebie wszystko w porządku? – pyta, siadając z powrotem na kanapie.

– Po takiej nowinie? Oczywiście!

– Nie, no... To znaczy...

Rozumiem lekkie zakłopotanie Julienu. Wie, że uwielbiam dzieci. Wszyscy wiedzą. I wie również, że ich brak zaczyna mi doskwierać.

– Jest dobrze, Julien. Nie łam się. Znajdę kogoś, jak przyjdzie czas.

– To niesamowity krok naprzód! – wykrzykuje szczerze.

– Jasne, wiem. Wyjaśnisz mi jednak, co cię tak stresowało?

Wolę zmienić temat, nie mam ochoty rozmawiać o mojej sytuacji z Elsą.

– Cóż, właśnie to mnie martwiło – wyznaje.

– Co?

– Ty.

– Ja?

– To, że muszę ci o tym powiedzieć.

Gdyby moje zasady męskości nie były tak silne w podobnych sytuacjach, zalałbym się łzami. Kiedy rozplakałem się po raz ostatni w pubie, odstawiłem je na bok, teraz jednak twardo się ich trzymam.

– Julien... Naprawdę możesz przestać się tym zadręczać. Owszem, trochę ci zazdrozczę tej cudownej rodziny, ale myślę, że jestem gotów do założenia własnej, daj więc sobie spokój, dobra?

Julien najwyraźniej sprawdza na mojej twarzy, czy nie przemyciłem gdzieś jakiegoś łgarstwa. Wygląda na to, że nic nie znalazł. Kiwa głową, ja zaś uśmiecham się do niego z rozbawieniem. Parskamy śmiechem, gdy mój telefon znowu dzwoni.

– Przepraszam, zaraz wracam – mówię wśród wybuchów wspólnej radości.

Odbieram, nie patrząc, z kim się łączę, nadal pełen euforii wywołanej nowiną, którą dopiero co usłyszałem. Słyszac dźwięki stanowiące tło dla kobiecego głosu w słuchawce, nagle odzyskuję powagę. Nie jestem w stanie dokładnie skojarzyć ich z określonym miejscem, ale coś mi podpowiada, że to nie jest niewinny telefon.

– Pan Gramont?

– Tak, to ja.

– Dobry wieczór. Dzwonię ze szpitala Rosalines.

Krew ścina mi się w żyłach. Kobięcy głos znika za ekranem dźwiękowym, który mój mózg sam wytwarza, aby ukryć informacje, jednocześnie szukając możliwych powodów takiego telefonu. Pierwszą osobą, jaka przychodzi mi na myśl, jest Elsa. Tylko nie rozumiem, dlaczego szpital miałby się ze mną kontaktować w jej sprawie.

– Halo? Pan Gramont? Jest pan tam jeszcze?

– Ee... Tak, proszę mi wybaczyć. Nic nie słyszałem. Może pani łaskawie powtórzyć?

– Mówiłam, że kontaktuję się z panem, ponieważ nie udało mi się zadzwonić do drugiej osoby, do pani Gramont. To chyba pańska mama, prawda?

– Owszem, zgadza się. Co się dzieje?

– Ja... Jest mi naprawdę przykro, że muszę to panu oznajmić przez telefon, ale... Pański brat zmarł. Wskoczył z okna swojej sali jakąś godzinę temu. Próbowaliśmy go reanimować, ale daremnie. Cała ekipa jest zdania, że to samobójstwo. Naprawdę mi przykro. Trzeba by... Trzeba by zjawić się w szpitalu, żeby załatwić sprawy urzędowe, i... Sam pan rozumie.

Jeśli jeszcze raz powie, że jej przykro, rozłączę się.

– Panie Gramont?

Miękną mi kolana. Jest mi potwornie zimno. Chociaż w głowie mam zupełną pustkę, mimo to znajduję sposób, żeby odpowiedzieć.

– Przyjadę za trzydzieści minut z panią Gramont.

Odkładałam słuchawkę, nie pozwalając kobiecie nic więcej dodać. Oddaliłem się odruchowo, żeby nie przeszkadzać Julienowi rozmową przez telefon. W końcu czuję, jak to on zbliża się za moimi plecami.

– Thibault? Co się dzieje?

Z początku nadal stoję twarzą do okna, po czym powoli się odwracam. Moje zasady męskości właśnie rozpadają się na tysiąc kawałków.

– Chodzi o Sylvaina...

Julien pojmuje w lot. Nie wyobrażam sobie jednak, jak to jest możliwe. Albo po prostu wyczuł, że wydarzyło się coś istotnego.

– Trzeba jechać do szpitala?

– Najpierw muszę wstąpić po matkę.

– Aż tak?

Kiwam głową, niezdolny wymówić ani słowa więcej. Julien krząta się koło mnie, podczas gdy ja nadal tkwię bez ruchu, rzuca mi buty i skafander kosmiczny. Sam nie wiem, jak daję radę wylądować w jego aucie na fotelu pasażera. Nie wiem również, jak matka ląduje z tyłu. Już nic nie wiem. Nic a nic. Nic poza bólem i tą pieprzoną barierą, którą człowiek usiłuje wznieść wokół siebie.

23.

ELSA

Powiedział „do jutra”.

Niedługo minie tydzień.

Przeżywałam nasz ostatni dotyk niezliczoną ilość razy, aby się przekonać, czy się nie pomyliłam, ale nie. Jestem pewna, że powiedział „do jutra”. Z początku byłam dość spokojna. Może miał coś innego do roboty. Co nie przeszkodziło mi poczuć odrobiny zazdrości.

W ciągu tygodnia pojawiła się słaba nadzieja, kiedy usłyszałam dźwięk otwieranych drzwi, ale to był tylko lekarz. Nie ustaliłam, który dokładnie, miałam jednak wyraźne podejrzenie, że to mój internista. Wydaje mi się, że przejrzał moją historię choroby i coś na niej nabazgrał. Stał także dłużej przed moimi monitorami, jakby je studiował, następnie odszedł bez słowa. Po co zresztą miałyby się odzywać?

Doświadczyłam wtedy nowych emocji. Rozczarowania, chwilowego niepokoju. Strachu.

W końcu musiał mnie przecież dopaść strach. Chociaż wolałabym, żeby zjawił się ostatni. Zwłaszcza że to nie jest ten rodzaj strachu, który lubię odczuwać.

Na lodowcu, mając na stopach kolce, na widok mostu śnieżnego albo szczeliny zawsze trochę się bałam. Był to jednak strach z kontrolowaną adrenaliną, jak powtarzałam Steve’owi. Wiedzieliśmy, że niemal wszystko zależy wyłącznie od nas, od sposobu, w jaki się przeprowadzamy, od naszej delikatności i szybkości, od naszej zręczności i inteligencji. Zawsze istniała część zależna od szczęścia, ale – szczerze mówiąc – człowiek nie uprawia wspinaczki, jeśli przy każdym kroku nie godzi się na podjęcie ryzyka.

Dziś odczuwam strach, który zżera mnie od środka. W ogóle nie jestem w stanie nad nim zapanować, nie mam żadnego sposobu, żeby zdusić go za pomocą innych emocji. Czeka, czekanie to trwa zaś bez końca.

Najpierw się przestraszyłam, że Thibault już nigdy nie wróci. Spowodowałoby to, że moje ćwiczenia nie byłyby już tak skuteczne, nie

obudziłabym się więc na czas. W samym środku tego wszystkiego przestraszyłam się, że coś mu się stało. Krótko mówiąc, było pewne, że mój organizm zacznie znów funkcjonować wokół tej okropnej chemii.

Na szczęście pobudziło to trochę resztę. Silniej wraca mi zmysł dotyku. Wydaje mi się nawet, że poczułam słabą woń jaśminu, gdy opiekunka skropiła mi lekko szyję, nie wiem jednak, czy to owoc mojej wyobraźni, czy też informacja była rzeczywista. Po raz kolejny postanowiłam uznać, że była rzeczywista. Nawet gdyby człowiek miał umrzeć, lepiej postarać się zgromadzić jak najwięcej informacji, choćby miało się z tym wiązać jedynie poczucie zapachu jaśminu. Albo wymyślenie go.

Odnoszę wrażenie, że jestem wypchanym byle jak workiem. Workiem pełnym mnóstwa równie groteskowych co naturalnych rzeczy, które nawzajem się splątały. Tak naprawdę nie rozróżniam już zalewających mnie informacji. Jest ich coraz więcej. Zupełnie jakby ich nadmiar miał mi zaraz rozsadzić mózg. Jakby strefy aktywne miały tylko kilka nanometrów kwadratowych powierzchni, a w ciągu ostatnich trzech tygodni cała przestrzeń została zajęta. Wszystko tłoczy się, nakłada jedno na drugie. Obawiam się, że w końcu się pomiesza. Właśnie dlatego codziennie sobie powtarzam, że może jeszcze nie minął tydzień, jak Thibault powiedział „do jutra”, ale radio salowej co noc potwierdza datę.

To dziwne, ponieważ moja siostra także nie zjawiała się w środę. Może miała egzaminy? Może ostatnia wizyta zbyt mocno nią wstrząsnęła? Nie mam żadnej nadziei, że zdążyła już poderwać Steve’a. On absolutnie nie jest częścią goniącego ją peletonu. Mam po prostu nadzieję, że jej się uda. Steve zasługuje na piękny związek i najwyższa pora, żeby ona taki stworzyła.

Ja również tak bardzo chciałabym stworzyć piękny związek.

Odnoszę wrażenie, że takie myśli są niezbędne i zarazem śmieszne. Jak w moim stanie mogę przykładać aż tak wielką wagę do związku dwojga ludzi? Powinnam chcieć żyć po to, żeby się ruszać, wrócić na lodowiec, zobaczyć rodzinę, spotykać się z ludźmi, odkrywać świat, uśmiechać się bez końca oraz nieustannie się śmiać. Wiem, że są to sprawy, które mają dla mnie znaczenie. Ogromne. Wiem także jednak, że uczucie miłości jest czymś, co dodaje temu wszystkiemu kolorów.

Uśmiecham się w myślach. Dzięki moim historiom o kolorach mogłabym udzielić siostrze wielu informacji. To by jej się naprawdę przydało na Akademii Sztuk Pięknych. Nie życzę jej, by znalazła się na moim miejscu,

żeby odkryć wszystko to, czego się nauczyłam, ale chciałabym się tym z nią podzielić. Nie wiem, czy potrafiłaby to przenieść do rzeczywistego świata za pomocą farb i pędzli, warto byłoby jednak spróbować.

Jasne, zaczynam zbaczać z tematu. Muszę przestać myśleć. To znaczy – muszę przestać myśleć o tylu rzeczach jednocześnie. O tylu osobach. Przez to wszystko mi się płacze.

Wczoraj, to znaczy... w dniu, który uważam za wczoraj, znalazłam rozwiązanie. Wpadłam na nie już jakiś czas temu, ale nie uświadamiałam sobie wcześniej, jak bardzo ta drobna aktywność pozwoli mi zapomnieć o całej reszcie. Dopiero gdy do niej przystąpiłam, zdałam sobie sprawę, jak bardzo pokrzepia ona mój umysł. Wobec tego powtarzam ją teraz.

Chcę odwrócić głowę i otworzyć oczy.

Chcę odwrócić głowę i otworzyć oczy.

Od czasu do czasu w środek wślizguje się jakaś ukradkowa myśl. W stylu „chcę kochać”, ale natychmiast ją odpędzam. To by mnie oddaliło od tematu i miało bardziej zgubne następstwa.

Chcę odwrócić głowę i otworzyć oczy.

Nawet jeśli stanie się to na ułamek sekundy, zanim mój umysł zgaśnie na dobre, chcę odwrócić głowę i otworzyć oczy.

24.

THIBAUT

Trzaśnięcie drzwi na moim piętrze wyrywa mnie ze snu. Z trudem otwieram oczy i pozwalam źrenicom oswoić się z ciemnością.

W kącie pokoju mały zegar elektroniczny pokazuje drugą czterdzieści cztery. Słyszę płynny pomruk lodówki w kuchni, warkot jednego czy dwóch samochodów na dole, na ulicy. Blisko mnie jarzy się kilka czerwonych wskaźników. Pomarańczowe latarnie miejskie wpuszczają do mieszkania nieco światła.

Gdyby nie ten piekielny ucisk w żołądku, powiedziałbym, że to zwyczajna, spokojna noc, kiedy przysnąłem, czytając na kanapie. Tylko że na stole w salonie nie leży żadna książka, jedynie zwłoki po butelce soku gruszkowego, ja zaś nie myłem się od dwóch dni. Albo może trzech...

Odsuwam stary koc stopami i się prostuję. Kręci mi się w głowie. Zdaje się, że od dwudziestu czterech godzin nic nie jadłem. Właściwie jak długo siedzę na kanapie?

Lepiej, żebym nie szukał odpowiedzi.

Żołądek ściska mi się jeszcze mocniej. Nie potrafię stwierdzić, czy jestem głodny czy nie. Tak czy inaczej, rozsądnie byłoby coś zjeść.

Wstaję niezgrabnie i ruszam do kuchni. Lodówka nadal jest w miarę zapełniona, ale pierwsze produkty żywnościowe, jakie z niej wyjmuję, są zarówno nieciekawe, jak i zepsute. W końcu decyduję się na siekany stek i makaron. Posiłek idealnego studenta, ale prawie o trzeciej w nocy tylko na to mam ochotę.

Wstawiam wodę, kładę obok makaron. Patelnia zaczyna się rozgrzewać, wrzucam więc na nią kawałek mięsa. Wykonuję ostatnie czynności, czyli wyjmuję talerz, sztućce i durszlak w całkowitej mgle, po czym opadam na krzesło.

Zrobiłem to wszystko w ciemnościach, kierując się wyłącznie nikłym blaskiem ulicznych latarni. Nie wiem, jak by mi się jadło w takim półmroku, ale wiem, że nie mam ochoty spróbować. Przewracam krzesło do

tyłu, żeby dosięgnąć okapu. Mam wystarczająco długą rękę, żeby wcisnąć wyłącznik. Żółty blask pozostaje za moimi plecami, zapewnia jednak dość światła, abym zdołał rozróżnić, co mnie otacza. Wystarczy.

W salonie moją uwagę przykuwa inna lampka, migająca na biało. To komórka. Kilka dni temu ją także odstawiłem na bok, podobnie jak telefon stacjonarny. Zadałem sobie nawet trud i zmieniłem komunikat na pocztę głosowej, mówiąc, że jeśli jest coś naprawdę ważnego, należy nagrać wiadomość, a ja ją odsłucham. W przeciwnym razie ludziom nie pozostawało nic innego, jak się rozłączyć. Pamiętam, że dwa razy słyszałem głos mamy pytającej, jak się czuję. Julienna i Gaëlle również. Poza pierwszym dniem już jednak nic więcej.

Co do komórki, nie zadałem sobie tyle fatygi. Nie zamierzałem wysłać całemu światu wiadomości, żeby wyjaśnić swoją sytuację. Pewnie mam ze trzydzieści rozmaitych powiadomień. Wiadomości głosowe i esemesy zajmą mi cały ranek. Wiem, że będą od Julienna i mojej matki, a także od członków rodziny i, co gorsza, wiem, że wszyscy oni będą wspominać o bożonarodzeniowym obiedzie, który ma się odbyć za kilka dni. Od ostatniej soboty mój kuzyn pewnie także próbował się ze mną skontaktować.

Za moimi plecami wrze woda. Wstaję, żeby wsypać do niej makaron, przewracam stek, na którego zapach już leci mi ślinka, w myślach zaś uspokajam żołądek, dając mu do zrozumienia, że wkrótce posiłek będzie gotowy. To dziwne, do jakiego stopnia nasze prymitywne instynkty potrafią się objawić w chwilach, w których w ogóle się tego nie spodziewamy. Rozpaczam po śmierci brata, moje ciało domaga się zaś jedzenia. Mogłoby się to wydawać pozbawione sensu, ale nie, taki jest naturalny cykl życia.

Tak samo powiedział człowiek, który pochował mojego brata w ostatnią sobotę. Wszystko jest tylko cyklem. Rodzimy się, żyjemy, umieramy. To cykliczne, przechodzi na następnych, dopóki oni też nie znikną. Co do mnie, nie wiem, gdzie zacząłem, ale jedno jest pewne, mianowicie mam wrażenie, że utkwiałem pośrodku koła bez możliwości wyjścia.

Właściwie tak, doskonale wiem, gdzie zacząłem. Zacząłem w ostatni czwartek, kiedy przyjechaliśmy do szpitala z moją matką i Julienem. Szybko się potwierdziło, że mój brat rzeczywiście popełnił samobójstwo – i że to nie był wypadek. Zostawił w sali kilka wskazówek, z których jedna była przeznaczona osobiście dla mnie. Kiedy byliśmy mali, powiedzieliśmy

sobie, że zostaniemy pilotami samolotów pasażerskich i będziemy latać razem. Na papierowym samolocie leżącym na łóżku napisał:

Każdy z nas poleciał w swoją stronę, tylko nie wybraliśmy tego samego pasa do lądowania.

Pod spodem widniała uśmiechnięta buźka i choć skojarzenie ze sposobem, w jaki położył kres swojemu życiu, mogłoby budzić niepokój, wiem, że mój brat miał na myśli po prostu wybór drogi życiowej.

Później wszystko potoczyło się tak naprawdę bez mojego udziału. Papiery, pogrzeb, szef, który daje mi dwa tygodnie urlopu, chrzest Clary, podczas którego wszyscy zostawili mnie w spokoju, ponieważ Gaëlle i Julien uprzedzili większość gości. Zdołałem zmusić się do uśmiechu, kiedy wziąłem Clare na ręce i złożyłem podpis w wielkiej księdze, tuż po uroczystości zaś wyszedłem. Po powrocie do domu zmieniłem komunikat na poczcie głosowej. Od tej pory nie miałem z nikim kontaktu.

Zapach smażonego mięsa sprowadza mnie na ziemię. Przygotowuję sobie porcję i stawiam talerz na stole. Zdumiewa mnie żarłoczność, z jaką pochłaniam posiłek. Wypijam pół butelki wody i napełniam ją ponownie przed powrotem do salonu. Nie wiem, czy to dlatego, że się najadłem, czy po prostu dlatego, że obudziłem się o takiej godzinie, ale potwornie chce mi się spać. Opadam na kanapę, po raz pierwszy od kilku dni z prawdziwym zamiarem zaśnięcia. Nie zdążam policzyć do trzech, a już znów spowija mnie mrok.

Tym razem budzi mnie dzwonek do drzwi. Pospieszny rzut oka na zegar. Dochodzi jedenasta rano. Salon zalewa światło, mimo to spałem głębokim snem. Ponownie podskakuję na przenikliwy dźwięk dzwonka i mruczę niewyraźnie „idę”, wyplątując się spod koca.

Zdaje się, że małe lustro za drzwiami wejściowymi służy mi po raz pierwszy w tym roku, ponieważ w ciągu trzech sekund usiłuję doprowadzić włosy do ładu. Co do reszty, jestem ubrany w te same rzeczy od niepamiętnych czasów, ale to i tak lepsze niż nic.

Otwieram drzwi z mocnym postanowieniem wysłania osoby, która za nimi stoi, do diabła, ale na widok babci sąsiadki powstrzymuję się od uwag.

– A, jest pan! – wykrzykuje kobieta. – Nie wiedziałam, czy wyjechał pan na wakacje czy nie, bo pańska skrzynka na listy aż pęka w szwach! Pozwoliłam sobie wyjąć to, co wystawało. Proszę. I... Powinien pan wziąć prysznic.

Puszczą do mnie oko, ja zaś patrzę osłupiały, jak wraca do swojego mieszkania. Wtedy dociera do mnie, że to ona trzasnęła drzwiami o trzeciej w nocy. Ma zdumiewającą energię jak na swój wiek. I nie traci czasu na uprzejmości.

Najpierw zerkam na listy, które mi wręczyła. Nic specjalnie ważnego, zanoszę więc wszystko do salonu. Waham się między kawą a prysznicem i decyduję, że najpierw kawa, następnie prysznic. Z łazienki wyciąga mnie głód i znów sortuję żywność w lodówce. Podczas gdy mój posiłek spokojnie się pichci, biorę stos korespondencji i udaję, że mnie to interesuje.

Miałem rację, nie ma tu nic pilnego. Prawdę mówiąc, to zupełnie zbędna korespondencja. Gdy wynoszę wszystko do drzwi, w moim polu widzenia ukazuje się migające białe światelko komórki. Stwierdzam, że zamiast otwierać listy, z dwojga złego już lepiej zająć się telefonem.

Przeglądam pospiesznie wiadomości tekstowe i odpowiadam króciutko Julienowi, kuzynowi i matce. Nie mam ochoty do nikogo dzwonić. Następnie przychodzi kolej na wiadomości z poczty głosowej, przełączam więc telefon na tryb głośnomówiący, żeby je odsłuchać, co pewien czas krzycząc z kuchni, gdzie doglądam jedzenia, „Usunąć”. Jestem już chyba przy dwunastej, kiedy rozlega się nowy głos.

– Dzień dobry, Thibault. Tu Rebeka. Pamiętasz, spotkaliśmy się dwa razy w szpitalu. Pewnie wydaje ci się dziwne, że mam twój numer, ale wydebiłam go od szpitalnego personelu. Chciałam cię uprzedzić, a Alex i Steve się ze mną zgadzają. Elsa niedługo zostanie odłączona. To tyle. Rodzina ustaliła termin za cztery dni. Nie wiem, czy chcesz przyjść się pożegnać, czy coś w tym rodzaju. Teraz już masz mój numer, dzwoń więc bez wahania.

W okamgnieniu ciało i umysł są znów na chodzie. Rzucam się do telefonu, żeby ponownie odsłuchać wiadomość, i walczę z klawiaturą. Po minucie udaje mi się wreszcie dowiedzieć, z jakiego dnia pochodzi wiadomość. Rebeka dzwoniła w poniedziałek, szesnastego. Jeśli wierzyć temu, co wyświetla się na telefonie, teraz jest dwudziesty. Nie trzeba zbytniego wysiłku, żeby pojąć, że „za cztery dni” oznacza dzisiaj. Mój wewnętrzny zegar staje, po czym w głowie wszystko powoli uruchamia się na nowo.

Wyłączam gaz i dopadam do moich rzeczy. Nie tracę czasu na zasnuwanie butów ani włożenie kurtki. Kiedy dobiegam do samochodu,

nie wiem nawet, czy zamknąłem drzwi na klucz. Jedyne, co wiem, to że byłem największym kretynem wśród wszystkich facetów na świecie.

Jak mogłem o niej zapomnieć? Jak mogłem zapomnieć o Elsie?

Prowadząc samochód, uświadamiam sobie, że wcale o niej nie zapomniałem, tylko przestałem w nią wierzyć. Samobójstwo brata wywróciło do góry nogami wszystkie moje poglądy na temat tego, czy Elsa potrafi mnie usłyszeć. Dopóki mój brat tam leżał, była dla mnie przepustką. Kiedy nas opuścił, wydało mi się, że Elsa również mnie opuszcza. Tylko że w końcu to ja ją opuściłem. Co za kretyn...

Wiem, że potrafi mnie usłyszeć. Jestem tego pewien.

Wobec tego pytanie, jakie muszę sobie teraz zadać, nie brzmi: „Jak mogłem być aż tak głupi, żeby odsunąć to na bok?”, ale: „Dlaczego oni mają zamiar ją odłączyć?”.

I właśnie z tym pytaniem wpadam na korytarz na piątym piętrze szpitala, przygotowując serce i umysł na pełną przekonania argumentację, którą przyjdzie mi przedstawić za kilka minut.

25.

ELSA

Boję się.

Przynajmniej to jasne. Jestem przerażona.

Zresztą chyba nie ja jedna. Lekarz z internistą wyszli dawno temu. Zostali tylko na początku, przy części medycznej. Mam ochotę powiedzieć „części elektrycznej”, ponieważ, szczerze mówiąc, nawet sześciolatek potrafiłby powyłączać całą moją aparaturę.

W tym momencie są ze mną trzy osoby. W tej małej sali było nas, łącznie ze mną, dziewięcioro. Niezły tłok. Steve, Rebeka i Alex wyszli przed chwilą. O ile dobrze zrozumiałam, mają czekać na dole. Już na samą myśl chce mi się rzygać. Moi przyjaciele czekają właśnie, aż ja... Co za okropieństwo. Na ich miejscu już bym zdążyła zwrócić obiad i chciałabym uciec jak najdalej. Oni uciekli zaledwie pięć pięter w dół. Stwarza to pewną odległość, ale przecież i tak znajdują się w obrębie szpitala.

Rodzice i siostra są tutaj, oni także czekają. Mam ochotę im powiedzieć, żeby wypieprzali. Nie chcę ich miłości, a tym bardziej rozpaczy. Nie wierzyli we mnie, to po prostu wstrętne. Choć może, w gruncie rzeczy, mają rację. Co to za życie, w którym mogę jedynie brać i nic nie dawać? Jeśli mam spędzić resztę życia, wyłącznie słysząc i czując, zastanawiam się, czy nie lepiej...

Drzwi się otwierają. Kroki są szybkie, oddech przyspieszony. Rodzice sprawiają wrażenie zaskoczonych. Sądząc po rytmie pochlipywania, nie jest to zatem lekarz, który zmienił zdanie.

– Dzień dobry – mówi matka z bezbrzeżnym smutkiem. – Przyszedł pan do...

– Mamo – przerywa jej moja siostra – do kogo miałyby niby przyjść? Chodźmy stąd, dajmy mu dwie minuty spokoju. Jesteśmy tu już od półtorej godziny, tak zaraz nie odejdzie.

Ton głosu siostry, wyrażający stanowczość i zarazem cierpienie ponad miarę, mnie dobija.

– Dlaczego to robicie?

Serce podskakuje mi w piersi, zaburzając na chwilę słabnące tętno, ale nikt nie zwraca na to uwagi.

Moja tęcza.

Nie rozpoznałam go po chodzie ani po oddechu, chociaż bez szumu respiratora w sali jest dość cicho. Może w mózgu rzeczywiście zaczyna mi brakować tlenu, przecież oddycham samodzielnie, albo raczej próbuję, od ponad godziny. Mój mózg wie, że to trudne, robię wszystko, żeby się trzymać. Teraz jednak, gdy usłyszałam głos Thibaulta, to tak jakby mój organizm chciał się uczeplić ostatniej nadziei.

Matka zaczyna dukać coś na kształt zdania.

– Jak to: „dlaczego”?

– Mamo, nie do wiary! Dlaczego ją odłączamy! Co? Właśnie to chce wiedzieć! Nie, nie o to chodzi? Nie to chce pan wiedzieć?

Gorycz mojej siostry rozbrzmiewa w całej sali. Myślę, że nigdy nie zgadzała się z rodzicami co do odłączenia mnie.

– Owszem, właśnie to chciałbym wiedzieć – odzywa się wreszcie Thibault.

– Ich proszę zapytać! – wypluwa moja siostra i opuszcza salę.

– Pauline! – woła matka. – Wracaj! Co za... Pójdę po nią.

– Daj jej spokój – wzdycha ojciec.

– Nie, pójdę po nią.

Drzwi się zatraskują. Wyobrażam sobie ojca i Thibaulta razem w sali. W innych okolicznościach spotkanie mogłoby być bardzo interesujące. Tylko że teraz mam przed sobą dwie jednakowo zagubione dusze.

Thibault podchodzi bliżej i całuje mnie w policzek. Wewnętrznie widzę doskonale, jak ojciec sztywnieje. Nie ma zielonego pojęcia, kim jest Thibault, a jeśli się dobrze zastanowić, nie można stwierdzić, żebym sama rzeczywiście to wiedziała, ale widok nieznanego, który całuje jego córkę, raczej nie jest mu obojętny.

– Nadal oddychasz... – szepcze mi do ucha z ulgą Thibault, po czym się wyprostowuje. – No więc? – pyta ojca, ciągle trzymając dłoń na moim ramieniu.

– Nie ma już żadnej nadziei – mówi ojciec przygnębionym tonem.

– To dlatego, że tak zdecydowaliście.

– Sądzi pan, że to była łatwa decyzja?

Ojciec zaczyna wpadać w złość. Mam ochotę ostrzec Thibaulta, ale nie mogę nic zrobić. Poprzestaję więc na słuchaniu. Właściwie przecież to potrafię najlepiej. Na te kilka chwil, które mi jeszcze zostały.

– To łatwiejsze, niż w to uwierzyć – odpowiada Thibault. – Ona słyszy! Wie, że tu jesteśmy! Jak możecie ją skazywać?

– Tak, wiem – mówi z chwilową irytacją ojciec. – Cała ta gadka, że niby ludzie w śpiączce nas słyszą. Ale musi pan to sobie jasno powiedzieć: Elsa dokonała wyboru i postanowiła nas opuścić.

– Ona nie dokonała żadnego wyboru! Niby co miałyby wybrać w takim stanie?

Mam ochotę oświadczyć Thibaultowi, że się myli. Owszem, dokonałam wyboru i postanowiłam spróbować. Niestety, to nie zadziałało w porę.

– Po pierwsze, kim pan jest? – pyta zniecierpliwiona matka.

– Przyjacielem Elsy.

Znam tę odpowiedź na pamięć. Nie wiem, dlaczego, ale dzisiaj sprawia mi ona lekki zawód.

– Nigdy pana nie widziałem – ciągnie ojciec. – Należy pan do tej grupy, która towarzyszy jej w wyprawach na te... na te lodowce?

Wymówił ostatnie słowo z takim obrzydzeniem, że jednocześnie musiał się skrzywić.

– Nie. Ale do diabła z tym! Nie możecie jej odłączyć. Nie, dopóki się nie obudzi!

– Elsa się nie obudzi.

– Co pan o tym wie? Przecież mówię, że ona nas słyszy.

– Właśnie tak! A ja nie muszę pana słuchać, pana, rzekomego przyjaciela, o którym nigdy nie słyszałem i który nie ma pojęcia, przez co ja i żona przeszliśmy, żeby podjąć taką decyzję! Kocham moją córkę! Żona i ja kochamy naszą córkę! Jakim prawem pozwala pan sobie wygłaszać swoje zdanie?

Na koniec ojciec zaczął krzyczeć. Głos Thibaulta staje się jeszcze cichszy. Swoją kwestię wypowiada niemal szeptem.

– Ponieważ kocham pańską córkę.

Na przemian uczucie to gorąca, to zimna. Mrowienie w palcach. Pulsoksymetr, jedyne urządzenie, do którego jeszcze jestem podłączona, odzwierciedla przyspieszone bicie mojego serca. Słyszę, jak Thibault odwraca się ku mnie.

– Elsa? Elsa, wiem, że mnie słyszysz! Widział pan? – woła do mojego ojca. – Zareagowała.

– Niech pan przestanie, to samoistna czynność ruchowa. Lekarze nam to wyjaśnili. Proszę ją teraz zostawić.

Gniew ojca przerodził się w rozpacz.

– Mowy nie ma! – oznajmia Thibault. – Nie ruszę się stąd.

– Cóż... Niech pan robi, jak pan chce. Ale... Co pan wyprawia?

Tym razem w głosie ojca słyszę wyraźnie niepokój. Namierzam zatem dźwięk, do którego zdążyłam się raczej przyzwyczaić, czyli przesuwanie całej mojej aparatury. Sęk w tym, że nie jestem podłączona do żadnego urządzenia. Wnioskuje, że Thibault zamierza zainstalować wszystko z powrotem. Tylko że nie potrafi założyć kroplówki ani wsunąć mi do nosa rurek.

– To, co sam powinien pan być zrobić – mówi skupiony na mnie Thibault.

– Ależ pan oszalał... Niechże pan przestanie! Niech pan natychmiast przestanie!

– Niech pan spróbuje mnie powstrzymać.

Ton Thibaulta zmroziłby każdego. W jednej chwili tęcza zastygła w kolorze niebieskobiałym, godnym najtwardszego lodowca, jaki znam.

– Idę po lekarzy.

Ojciec się oddala, drzwi trzaskają. Zostaję sama z Thibaultem.

Popycha maszyny, szuka przewodów. Zdaje się jednak, że pielęgniarki za mocno przyłożyły się do pracy. W sali najwyraźniej nie ma już nic poza respiratorem, który jest zbyt ciężki, żeby go przemieszczać, i pulsoksymetrem, który obwieści ostateczną decyzję. Czuję czyjąś drżącą dłoń na ramieniu.

– Elso, proszę cię. Wiem, że mnie słyszysz. Ja się w ogóle nie znam na śpiączce. Ale wiem, że tu jesteś. Proszę cię...

Drzwi do sali otwierają się z hukiem, ale dochodzący dźwięk jest przytłumiony. Słyszę ojca. Chyba czyjeś szybkie kroki kierują się ku mnie. Albo ku Thibaultowi, ponieważ czuję, jak go ode mnie odrywają. Hałasy słabną coraz bardziej. Udaje mi się po prostu rozpoznać krzyki wśród głośnego, a zarazem osobliwie cichego zgiełku. Histeryczne wrzaski lekarza, internisty, ojca, matki i siostry. Steve także tu jest. Mówi do kogoś, a nawet krzyczy.

Czuję się jednocześnie lekka i ciężka. Sama już nie wiem, gdzie jestem. Wszystko się zlewa. Podobnie jak za każdym razem, gdy wszystko się

zlewa, chronię się w moim ćwiczeniu.

Tylko jeden raz.

Tylko jeden raz, zanim wszystko zniknie.

26.

THIBAULT

Wygłuszyłem wszystko, co dzieje się wokół mnie. Jestem skupiony wyłącznie na niej. Całym moim ciałem kierują odruchy albo mój mózg dosłownie zafiksował się na dwóch celach: postarać się uwolnić z uścisku Steve'a i patrzeć na nią.

Jeśli ona przestanie oddychać, chyba przestanę wraz z nią.

Teraz, kiedy skończyłem się szarpać, słysząc jedynie pomruki, oddechy, szepty. A także szlochy. Być może jestem tego częścią. Nieważne. Wszystkim tym dźwiękom nadaje jednak rytm powolne, przeraźliwie powolne pikanie monitora.

Świecąca krzywa mnie hipnotyzuje. Spoglądam to na nią, to na Elbę, ze świadomością, że po raz pierwszy mogę słyszeć jej oddech bez sztuczek. Wydaje się taki wolny, taki wątpy.

Nie mam odwagi otworzyć ust przy wszystkich otaczających mnie ludziach. Chcę Elbie tak wiele powiedzieć. Zarazem jednak wszystko można by sprowadzić do kilku słów. Nagle rozluźniam ramiona – ucisk Steve'a stopniowo słabnie.

– Musisz pozwolić jej odejść, koleś.

Wysuwam głowę do przodu, oczy zaś napełniają mi się łzami. Usta powtarzają w kółko imię Elsy, nie przekraczając bariery szeptu, po czym w ostatnim przypływie nadziei odzyskuję głos.

– Elso, pokaż im!

Czuję, jak oczy wszystkich kierują się na mnie.

Monitor nadal pika, lekko zwalniając. Tak mocno zaciskam pięści, że muszę mieć zupełnie białe dłonie. W głowie rozpoczynam wsteczne odliczanie. Dziesięć... Dziewięć... Elso, obudź się... Osiem... Siedem... Dalej, wiem, że mnie słyszałaś... Sześć... Zareagowałaś, kiedy... Pięć... Cztery...

– Co to...?

Liczenie przerywa mi głos młodej dziewczyny, który miałem już okazję słyszeć. Przypuszczam, że to siostra Elsy. Chociaż nie są do siebie zbyt podobne, zdążyłem zauważyć pewne cechy wspólne w ich rysach.

– Wygląda na to, że jej serce przyspiesza...

Podnoszę głowę. Siostra Elsy ma rację, wartości na ekranie są wyższe niż te, które widziałem ostatnio. Spoglądam na lekarzy po mojej lewej stronie. Rozpoznaję jednego z nich, tego, który objaśniał mi elektroniczne wspomaganie Elsy. Obaj sprawiają wrażenie zakłopotanych, wydaje mi się jednak, że w oczach internisty dostrzegam iskierkę nadziei. Jego zwierzchnik kręci przecząco głową i szepcze mu coś na ucho. Internista odwraca się do rodziny.

– Samoistne.

To jedyna rzecz, jaką wypowiada. Nie chcę nigdy więcej słyszeć tego słowa w życiu.

Tylko jeden raz. Tylko jeden raz.

Pochłania to każdą najdrobniejszą cząsteczkę mojego mózgu.

Nic więcej nie słyszę. Pragnę wyłącznie jednego.

Tylko jeden raz.

Chcę odwrócić głowę i otworzyć oczy.

Moje serce przestaje bić w chwili, gdy jej serce przyspiesza. Zatapiam się w tym spojrzeniu, które widziałem tylko raz. Moje wargi rozchylają się w oddechu wspólnym dla wszystkich obecnych w sali. Wszystko trwa w zawieszeniu.

Wiem, że wskazówki mojego zegara nadal się obracają, ale całkowity bezruch otaczających mnie osób, w tym Steve'a, wywiera na mnie efekt jakby przerwy w czasie. Mam wrażenie, że jestem uprzywilejowany, tylko ja zbliżam się do niej.

Zamykam oczy. Było za dużo światła. Otwieram je z powrotem powoli, a wtedy on jest nade mną. Nie powiem zaraz, że wołałam go jako tęczę, ponieważ mój mózg nie potrafi jeszcze odczytywać wszystkich widocznych kolorów. Wiem tylko tyle, że mi się udało, a jego słowa są odbiciem moich myśli.

– Jesteś tu.

Jestem tu.